

Ann Major

Bliźniaczki

PROLOG

Słońce zachodzące za odległymi górami napęłniało przestrzeń czerwonym światłem. Od północy rozległ się grzmot. Wieczór był chłodny.

Cztery ostatnie dni Mike Greywolf spędził na płaskowyżu, pasąc owce i teraz, gdy promienie słońca oświetlały wierzchołki gór, poczuł, że czas już wracać do domu. Był głodny, zziębnięty i nie mógł się już doczekać chwili, gdy znów usiadzie przy kominku w towarzystwie rodziny, nad wielką miską baraniego gulaszu babci. Był nawet gotów po raz kolejny wysłuchać opowieści dziadka o Długim Marszu Indian Nawaho i cierpliwie doczekać chwili, aż z drewna płonącego w kominku pozostaną tylko czerwone węgielki, a dziadek opuści siwą głowę na piersi i wyda z siebie donośne chrapanie.

Naraz z doliny pod płaskowzgórzem dobiegły

dwa wystrzały, a po chwili cała seria, niczym odgłos wystrzelonej racy. Jednak najbardziej poruszył go krzyk. Odruchowo rzucił się na ziemię i zsunął po stromym, niebezpiecznym urwisku w stronę, skąd dochodziły strzały. Nad jego głową rozległa się kolejna seria i znów przeraźliwe krzyki. Tym razem Mike poczuł na plecach zimny dreszcz. Krzyki dochodziły od strony hoganu jego ojca, położonego nisko w dolinie.

Po chwili wszystko ucichło i w kanionie znów zaległa cisza. Mike poczuł, że krew w jego żyłach zastyga na lód. Zapomniał o owcach. Zamknął oczy i poturlał się w dół, nie zważając na strącane kamienie i ostre odłamki skał, które boleśnie raniły jego ciało. Musiał jak najszybciej dostać się do doliny.

Zajął mu to jednak prawie godzinę, a gdy wreszcie dotarł na miejsce, miał wrażenie, że znajduje się w jakimś upiornym, odwróconym na lewą stronę świecie. Ciało miał ciężkie jak gład, jakby za chwilę miało przebić skorupę ziemską i znaleźć się w piekielnych otchłaniach ognistego jądra, a mimo to stopy niosły go przed siebie, jakby nie podlegały prawu grawitacji. Przez wieczność, która trwała może sekundę, przebywał zawieszony poza wymiarami, w piekielnej i bezkształtnej otchłani. A potem spadł na ziemię.

Nad hoganem pojawił się myszołów. Wylądował na ziemi, zwinął wielkie, podobne do czarnej

peleryny skrzydła i podskakując, zmierzał w stronę progu. Słysząc było skomlenie psów i wycie kojotów. W pustym kanionie zawodził złowieszczo wiatr.

Odgłosy śmierci.

Na przedburzowym niebie migotały gwiazdy. Mike zobaczył obok siebie czworonożny cień i krzyknął ze strachu. Ale to był tylko pies, który podszedł bliżej i polizał go po dłoni.

Mike ostrożnie zbliżył się do chaty. Zaraz za progiem omal nie wpadł w kałużę krwi. Powietrze przesiąknięte było dziwnym metalicznym zapachem. We wnętrzu domu panował mrok, rozjaśniony jedynie przez żar paleniska. Jeszcze zanim Mike zobaczył trzy ciała rozciągnięte na ziemi, do oczu napłynęły mu łzy.

Dziadek, jak zawsze, miał na głowie czerwoną przepaskę. Kula trafiła go prosto w czoło, gdy chciał dołożyć do piecyka sosnowe polano.

– Boże! – szepnął Mike drżącym, przejętym zgrozą głosem. Przyłożył dłoń do ust i zwymiotował. Opadł na kolana i dopiero teraz zobaczył obok siebie ciało babci, z którego poderwała się chmara brzęczących much. Wpadały mu do oczu, do uszu, pływały w kałużach krwi. Zamachał rękami i poderwał się z krzykiem. Przypomniawszy sobie piękny, krwistoczerwony zachód słońca, który wypełnił cały kanion magicznym blaskiem. Krew. Wszędzie krew. Czarne, gęstniejące kałuże krwi.

Wstał z wysiłkiem, ocierając głowę o belkę stropu. Był wysoki jak na swój wiek. Miał orli nos, wyraziste rysy twarzy i czarnogranatowe włosy. Wszyscy pokpiwali z niego, bo był zbyt przystojny i miał za jasną cerę. A do tego oczy... Miał jej oczy. Najczęściej żartowała z niego babcia. Na myśl o niej z jego gardła wyrwał się szloch. Była dla niego i babcią, i matką. Popatrzył na jej ciało zwinięte na dywaniku i jego twarz pociemniała, a w zielonych oczach pojawił się błysk nienawiści.

To była robota białych. Żałował, że jego również nie zabili.

Żołądek znów podszedł mu do gardła. Zakrył usta dłonią i na uginających się nogach wyszedł z chaty. Zaraz za progiem zgiął się w pół.

W kilka godzin później, gdy już pogrzebał rodzinę, na urwisku rozległo się wycie kojotów. Mike opadł na ziemię, otoczył kolana dłońmi i kołysał się w przód i w tył, wsłuchując się w głosy duchów zmarłych. W ciemnościach usłyszał głos swojego dziadka:

– Wyjedź z Dinehtah. Masz żyć.

Błyskawica rozświetliła kanion, od strony płaskowyżu nadciągnął ostry i zimny wiatr. Gwiazdy przed oczami Mike'a zawirowały. Miał wrażenie, że od tych słów zawirował cały kosmos.

Zobaczył biegnącą w jego stronę postać oto-

czoną złotym światłem. To była dziewczyna o brązowych oczach i rudych włosach. Biała dziewczyna.

– Wyjedź z Dinehtah i żyj – powtórzył głos.

Mike rzucił się do biegu. Biegł w stronę tego światła i dziewczyny, która wciąż pozostawała poza jego zasięgiem. Nie obejrzał się ani razu, nawet nie pożegnał się z dziadkiem. Hogan był miejscem śmierci. Wiedział, że już nigdy nie będzie mógł wrócić do domu.

CZEŚĆ PIERWSZA

PRZESZŁOŚĆ

*Zazdrośni o to nie pytają;
Nie zawsze oni zazdroszczą dlatego,
Że mają powód taki lub owaki,
Ale zazdroszczą, bo zazdroszczą, zazdrość
Jest to poczwara, co się sama płodzi,
Sama wylęga.¹*

¹ William Szekspir „Otello”, przeł. Józef Paszkowski, Warszawa 1974 (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdyby tylko Frances Shayne potrafiła jakoś wyczuć nieszczęście, zanim nadeszło. Jednak wychodząc z łazienki do pokoju, w którym ryczał telewizor, nie miała pojęcia, że koszmar jest tak blisko. Na widok młodej, pełnej buntu indiańskiej twarzy widocznej na ekranie, ogarnęło ją drżenie. Zielone oczy patrzyły na nią przenikliwie i lodowato.

Może to dobrze, że policja plemienna go nie znalazła. Frances dobrze знаła ten typ mężczyzn. Rzucająca się w oczy uroda nie mogła mu wyjść na dobre. Była pewna, że jeśli ten chłopak przeżyje, złamie wiele dziewczęcych serc.

Zbrodnia w rezerwacie. Mordercy na wolności. Możliwe porwanie.

Zmarszczyła brwi i rozejrzała się po sypialni

w poszukiwaniu pilota. Tragiczna historia nastolatka należała do tych wiadomości, których najbardziej nie cierpiała, a teraz potrzebowała chwili spokoju, by się przygotować na wieczór. Zaglądała pod poduszki, sprawdzała pod gazetami, za pędami bluszczu, ale pilota nigdzie ani śladu.

Twarz znikła z ekranu i w jej miejsce pojawił się obskurny indiański hogan. Dokoła niego błękały się owce z dzwonkami na szyjach, ciemnoskóre dzieciaki i czarne psy. Na tym tle bezzębny starzec o twarzy pomarszczonej jak wyschnięte jabłko mówił coś w niezrozumiałym języku. Frances nie zawracała sobie głowy czytaniem napisów na dole ekranu. Podobnie jak chyba wszyscy mieszkańcy Nowego Meksyku, znała już całą ponurą historię. Słynny projektant i twórca biżuterii i jego rodzice zostali zastrzeleni, a nastoletni syn zniknął. Morderców nie ujęto. Zabijanie w Stanach Zjednoczonych stało się zdecydowanie zbyt łatwe.

Wpadło jej w oczy słowo *chindi*, a potem wyrażenie: ich duchy błagają o pomstę.

W końcu z ulgą dostrzegła czarną krawędź pilota wystającą spod sterty książek na półce. Wyłączyła telewizor. Co ona sama mogła mieć wspólnego z Nawahami, którzy mieszkali jak jaskiniowcy w jednoizbowym hoganie z dziurą w suficie zamiast komina? Na wszelki wypadek jednak zainstalowała alarm w swojej posiadłości.

Frances nienawidziła brzydoty. Kolekcjonowała piękne przedmioty i... znajomości z ważnymi ludźmi. Jej sypialnia spełniała wszelkie kryteria elegancji rodem z Santa Fe. Drewniane belki na wysokim suficie, narożny kominek, ściany w naturalnych barwach, bezcenne indiańskie dywaniki starannie rozrzucone w artystycznym nieładzie na podłodze z wypolerowanych kamiennych płyt – wszystko to miało swój styl. Nawahowie, pomyślała Frances, zatrzymując wzrok na gustownie zestawionych szarościach, czerniach, brązach, beżach i bielach dywanika. Ten akurat, autorstwa słynnej projektantki Bessie Greywolf, z pewnością był jednym z jej najcenniejszych nabytków.

Zamordowana kobieta też należała do plemienia Nawahów. W wiadomościach podano, że była znaną tkaczką, ale nie podano jej nazwiska. Ciekawe, o kogo chodzi, zastanawiała się Frances, sięgając po słoiczki z kosmetykami.

Pewną ręką obrysowała wąskie, pięknie zarysowane wargi czerwoną konturówką. Rozczesała rude włosy i zwinęła je w lśniący węzeł na karku, a potem stanęła pośrodku pomieszczenia, wdychając zapach piniowego dymu zmieszany z wonią bzu i róż, które Czarina wyhodowała w swojej szklarni i wstawiła w wazony przed wieczornym przyjęciem. Ubrana tylko w czarną satynową koszulkę, Frances uniosła

brwi i popatrzyła w lustrze na swoją szczupłą twarz z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi i prostym nosem. Była uosobieniem klasycznej, chłodnej piękności. Na jej zgrabnym ciele nie sposób było znaleźć ani grama zbędnego tłuszczu. Błada twarz i oczy bez blasku nie szkodziły jej posągowej urodzie. Przypominała lalki, które zbierała i zamykała w szklanych gablotkach.

Zet twierdziła, że Frances jest zbyt szczupła i za blada. Ale co ona mogła wiedzieć? Sama była za gruba, a ubrania kupowała na indiańskich jarmarkach. W miękkim świetle nowych lamp z różowymi abażurami, odbitym od beżowych ścian, Frances wyglądała doskonale. Miała trzydzieści sześć lat, cudowny, wręcz idealny wiek dla kobiety – na tyle jeszcze młoda, by być piękną i wzbudzać pożądanie, ale wystarczająco dojrzała, by nie robić głupstw.

Musiała się teraz ubrać i dopilnować przygotowań na dole. Usłyszała dzwonek przy drzwiach wejściowych, co oznaczało, że pierwsi goście już przybyli. Pewnie nie był to nikt ważny – raczej ci, którym zależało, by się tu pokazać.

Na łóżku leżała przygotowana turkusowa suknia, a obok sznur czarnych pereł, buty i rajstopy. Ten wieczór miał być jej triumfem. Gubernator, czyli Steven – prosił, by zwracała się do niego po imieniu – zapowiedział, że przyjdzie wraz z żoną, małą, głupią Carey. Przyjęcie miało się odbyć na

cześć Indiany, największej artystki i zarazem skandalistki w całym Nowym Meksyku. Na myśl o tym Frances zmarszczyła brwi. Nadmiar artystycznego temperamentu sprawiał, że Indiana była nieprzewidywalna i nieodpowiedzialna. Niejeden już raz wystawiła Frances do wiatru. Kto mógł wiedzieć, co jej chodziło po głowie? Choć z drugiej strony obiecała Czarinie, którą uważała za swą duchową siostrę i guru w sprawach ziołolecznictwa, że przyjdzie.

Zet, zazwyczaj leniwa, w niektórych sytuacjach wykazywała niespotykaną energię. Wstawiała o świcie i przez całe ranki pisała na strychu dzieło, które ze śmiechem nazywała Trzecim Testamentem albo Biblią Zielaństwa. Frances potrząsnęła głową, bo doszła do wniosku, że najlepszy okres w jej życiu miał miejsce, gdy Zet obraziła się o coś i przestała z nią rozmawiać.

Sięgnęła po suknię, gdy na trawniku przed domem rozległ się mrozący krew w żyłach okrzyk. Zastygła i przez głowę przebiegła jej myśl o mordercach. Bliźniaczki! Jednym skokiem znalazła się przy oknie, spodziewając się najgorszego.

Dwie drobne postacie w podkasanych niebieskich spódniczkach galopowały dokoła trawnika na kijach od szczotek. Zraszacz był włączony. Nowe jedwabne sukienki dziewczynek były brudne i mokre, a włosy, dopiero co starannie uczesa-

ne i związane błękitnymi wstążkami, niemiłosiernie potargane. Zawsze bawiły się razem; Kara była prowodyrem wszelkich psikusów. Frances martwiła się o ich przyszłość, szczególnie gdy patrzyła na swój największy skarb, Emmę.

Miała wielkie oczekiwania wobec dzieci i czasami żałowała, że nie pochodzi z jakiejś innej, spokojniejszej rodziny o bardziej przewidywalnych genach. Może zresztą każda rodzina miała swoje kłopoty i swoje słabości. W tej chwili Frances wołała nie myśleć o szalonych wybrykach Shayne'ów, a szczególnie o własnych. Kto by pomyślał, że ona, dama z dobrego towarzystwa, spadkobierczyni ogromnej fortuny zbudowanej na handlu nieruchomościami i ropie naftowej, kiedykolwiek...

Ale przeszłość odeszła. Frances doskonale radziła sobie jako matka, kobieta interesu i gospodyni. Centrum jej królestwa stanowił wielki gliniany pałac położony na północ od Santa Fe, Casa New Mexico, otoczony szmaragdowymi trawnikami, topolami, szemrzącymi fontannami, stawami i rabatami pełnymi barwnych kwiatów. Rezydencja ozdobiona mnóstwem balkonów, tarasów i patio przypominała niewielkie pueblo. Wysokie mury miały chronić trójkę jej dzieci. Im bardziej jednak Frances chciała je chronić, tym mocniej one wyrwały się na wolność. Bitwy ze

Stuartem przemieniały się w prawdziwe wojny. A gdyby bliźniaczki... Kara...

Myśl o tym, że Kara mogłaby narazić Emmę na jakieś niebezpieczeństwo, pchnęła Frances w stronę szuflady, w której była schowana srebrna piersiówka. Przy drugim łyku usłyszała na dole huk rozbijanego szkła, krzyk Kary, szloch Emmy i głos Zet na schodach. W ostatniej chwili wrzuciła piersiówkę do szuflady. W drzwiach pojawiła się pulchna sylwetka Zet w kwiecistej spódnicy i turkusowych naszyjnikach. Frances szybko narzuciła na siebie suknię i perły i pobięła na dół, a siostra poszła za nią.

W salonie muzycznym, na jej najlepszym indiańskim dywaniku, lśniły okruchy ulubionego kryształowego wazonu Frances. Stojąca obok Gloria Dobson histerycznie wymachiwała rękami. Z jej palca kapła krew, a z czarnej, jedwabnej sukni spływała woda.

Bliźniaczki siedziały skulone w kącie po drugiej stronie pokoju. Twarz Kary była obrazem wcielonej niewinności. Z oczu Emmy, wypełnionych poczuciem winy i przerażeniem, spływały łzy. Frances przyklękła przed nią i dziewczynka rzuciła się w ramiona matki.

– Przepraszam! – wyszłochała.

– No, już dobrze – łagodziła Frances. – Co się stało, skarbie?

– N-nie wiem. Bawiłyśmy się z Karą na dworze... I dalej n-nie wiem...

– A skąd wzięłyście się tu, w salonie? – wypytywała Frances łagodnie.

– Kara na pewno wie...

– Kara? – Głos zabrzmiał tym razem znacznie ostrzej.

Druga z dziewczynek nasunęła na twarz maskę goryla.

– Bo ona zabrała mi maskę i przybiegła tutaj – odrzekła cicho, lecz z pewnością w głosie.

Frances ściągnęła maskę z jej twarzy.

– Jak było naprawdę?

Kara rzuciła jej rozszłoszczone spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

– Nigdy mi nie wierzysz! Tylko ją kochasz! Ją! Wszyscy ją kochają! – krzyknęła i wybiegła z pokoju.

Frances mocniej przytuliła do siebie Emmę, ale dziewczynka kręciła się niecierpliwie, chciała pobiec za rozżaloną siostrą. Frances westchnęła. Kara, Gloria, ten wspaniały wazon, prezent od angielskiego księcia, nawet dzisiejsze przyjęcie – wszystko poszło w zapomnienie. Ważne były tylko łzy w oczach Emmy. Czule odgarnęła rude loki ze spoconego czoła dziewczynki, a gdy mała uspokoiła się, wypuściła ją z objęć i pozwoliła wybiec z salonu za siostrą.

Nierozłączne. Dlaczego zawsze musiały się

trzymać razem? Frances westchnęła i ze ściągniętą twarzą spojrzała na Zet.

– Poszukaj Stuarta. Będzie musiał ich przypilnować.

– Ale on właśnie pokłócił się z Karą. Mówi, że ukradła mu latarkę.

Policzki Zet były podejrzenie zaczerwienione. Frances podniosła głowę i bez słowa wpatrzyła się w drink siostry. Przez dłuższą chwilę obydwie milczały. W końcu Zet poczerwieniała jeszcze bardziej, z rozmachem wylała zawartość szklaneczki na dywan i znikła za drzwiami. Po chwili z góry, z pokoju Stuarta, rozległ się huk. No tak, ten smarkacz znowu rzuca książkami, zapewne podręcznikami do matematyki.

Zadzwoił dzwonek i w drzwiach stanął gubernator, a jednocześnie na schodach pojawił się Stuart. Frances osadziła go na miejscu jednym spojrzeniem. Był wysoki i chudy, proste, jasne włosy opadały mu na czoło, a na nosie miał okulary ze szklami grubymi jak denka od butelek. To był jej syn. Nie miała teraz dla niego czasu. Skinieniem głowy nakazała mu zostać w miejscu, a sama podeszła do gubernatora i jego żony.

– Wspaniale wyglądasz w tej czerwonej sukni – zaszcebiotała w stronę Carey, częstując ją krewetkami z rusztu. Kątem oka zauważyła, że Stuart przycupnął na szczycie schodów, i przez głowę znów przebiegła jej myśl o nastoletnich

mordercach, sprawcach ostatniego zamieszania. Byli niewiele starsi od jej syna.

Carey, jakby czytając w jej myślach, zaczęła mówić o tych morderstwach, opisując je z najdrobniejszymi, najohydniejszymi szczegółami – muchy, rozkładające się ciała. Frances skwitowała te opowieści lekkim śmiechem i szybko zmieniła temat.

– W końcu to wszystko zdarzyło się tak daleko stąd – wzruszyła ramionami.

Gubernator wbił zęby w krewetkę.

– Frances ma rację. To morderstwo może poczekać, przynajmniej dopóki nie skończę jeść.

– A nawet do końca mojego przyjęcia – dodała Frances lekkim tonem.

Wszyscy, z wyjątkiem Stuarta, zaśmiali się uprzejmie. Wszystko toczyło się gładko aż do chwili, gdy Steven zapytał o Indianę.

Frances poczuła przyływ paniki. Rozejrzała się po pokoju i pochwyciła spojrzenie Stuarta. Wydawał się zagubiony i smutny, ale nie zamierzała się nim teraz przejmować. Ważniejsze było upokorzenie, jakiemu będzie musiała stawić czoło, jeśli jej honorowy gość nie pojawi się na przyjęciu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kara i Emma podskakiwały energicznie, jakby miały sprężyny przyczepione do butów. Ich niebieskie sukienki wydymały się przy tym jak otwarte parasolki.

– Zabierz nas do ruin!

Krzyczały tak głośno, że Stuart zasłonił sobie uszy dłońmi i czubkiem buta nakreślił na czerwonej ziemi trzy litery.

– N-I-E – przeczytały dziewczynki głośno i wybuchnęły śmiechem. – Dlaczego nie?

– Dlaczego? Dlaczego? – przedrzeźniał je ze złością. Pragnął znaleźć się jak najdalej od tego domu, tych ścian, od matki i sióstr. – Dlaczego nie możecie się wreszcie zamknąć? Od samego rana aż do wieczora nie dajecie mi ani chwili spokoju! Można z wami zwariować!

Bliźniaczki nieustannie wślizgiwały się do jego pokoju, podkładały mu rzeczy albo przyciskały klawisze na klawiaturze komputera, przez co później żaden program nie chciał działać jak należy.

– Idźcie się pohuścić – wrzasnął.

Kara pokazała mu język.

– Wy małe potwory! Dlaczego to ja ciągle muszę się wami zajmować?

– Bo jesteś naszym bratem – wyjaśniła Emma.

– Wolałbym, żebyście się nigdy nie urodziły.

– Bo my jesteśmy bliźniaczkami, a ty nie – dodała Kara.

Owszem, wszyscy uważali je z tego powodu za ósmy cud świata, nawet przyjaciele Stuarta zachwycali się ich urodą i podobieństwem. Matka chwaliła się nimi od chwili urodzenia. A czy o nim kiedykolwiek powiedziała coś miłego? Czy przyjaciele na niego zwracali uwagę? Kogo obchodziło, że był najlepszym uczniem w klasie?

Z rudymi, lśniącymi włosami, promiennymi owalnymi twarzyczkami, w tenisówkach, których czubki ubrudzone były czerwoną ziemią, bliźniaczki wyglądały jak dwie wysłanniczki piekieł, zesłane specjalnie po to, by go dręczyć. Zawsze odzywały się jednocześnie, jak na sygnał. Tylko że nie musiały sobie niczego sygnalizować. Czytały sobie w myślach, zupełnie jakby miały wspólny umysł. Gdy chciały, różniły się jak woda

i ogień, i wtedy Emma przyjmowała rolę tej dobrej, a Kara tej złej.

– Zabierz nas do lasu albo na pustynię! – błagały go z identycznym wyrazem oczu.

Nic z tego! – pomyślał Stuart. Przypomniat sobie maski, przez które zbiły wazon matki, i zazgrzytał zębami.

Z licznych kominów domostwa unosił się dym. Powietrze pachniało świeżością i wiosenną zieleńią. Ciotka Zet zapowiadała wyjątkowo piękny zachód słońca.

– Stuart, proszę, zabierz nas gdzieś – zaczęła znów Emma.

– Jak nie przestaniecie, to skopię wam tyłki.

– Powiem mamie, że nam grozisz! – ostrzegła Kara.

Emma, która lubiła dramatyczne sceny, osunęła się na kolana i szepnęła wyraziście:

– Ona nic nie powie... jeśli nas zabierzesz.

Stuart spojrział na nią z wściekłością.

– Ile razy mam powtarzać, żeby to do was wreszcie dotarło, gówniary jedne? Nie ma mowy!

W ciemnych oczach Emmy błysnęły łzy.

– Proszę, Stuart, nie złość się na mnie!

– To przestań mi zawracać głowę.

Kara patrzyła na niego z wściekłością.

– Nazwałeś nas gówniarami!

Stuart z desperacją kopnął ścianę. Kara oparła ręce na biodrach i stanęła przed Emmą.

– A co będziesz tu robił? Dorośli i tak nie chcą cię na przyjęciu!

Przygryzł wargi, żeby nie wymknęło mu się kolejne przekleństwo.

– Wielki Nochal! – prychnęła Kara złośliwie.

Stuart poczuł, że robi mu się czerwono przed oczami. Bliźniaczki zlały się w jedną plamę, dwugłowego potwora. Nie był zbyt sprawny fizycznie, nie miał mocnych mięśni, bo większość czasu spędzał albo przy komputerze, albo zgłębiając zagadnienia matematyczne. Dzieci w szkole przezywały go tyczką od fasoli albo drwiły z jego inteligencji. Jednak przyczyną jego największych kompleksów był zbyt duży nos. Czasami, gdy patrzył nań w lustrze w łazience, miał ochotę wziąć nóż i raz na zawsze rozwiązać ten problem.

A teraz Kara patrzyła na jego nos z wyraźnym obrzydzeniem.

– Błeee!

Stuart rzucił się w jej stronę, ale zrobiła zręczny unik.

– Wielki Nochal! Wielki Nochal! – wołała, a po chwili: – Mamo, mamo!

Zeskoczył z werandy i w tumanach kurzu pochwyił siostrę za kark. Kara z całej siły kopnęła go w podbrzusze, aż zgiął się wpół. Mocno pociągnął ją za włosy, a ona w rewanzu wbiła zęby w jego dłoń. Trysnęła krew.

– Dzieci...

Matka. Jej drobne piersi unosiły się w szybkim oddechu. Trójka dzieci zastygła w trwożnym wyczekiwaniu. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Stuart poczuł, że ogarnia go paraliż. Puścił Karę tak gwałtownie, że mała z głośnym tąpnięciem upadła na ziemię.

– Stuart, kochanie, czy wszystko jest w porządku?

Matka zawsze pojawiała się w najbardziej nieodpowiednim momencie. Była to jedna z jej wad, obok wścibstwa, snobizmu i skłonności do tyranii. Nie patrzyła na Stuarta, lecz na parking za jego plecami.

– On mnie bije! – jęknęła Kara.

– Cicho – odrzekła Frances ostrym tonem.
– Stuart, chodź do domu. Jeśli zobaczysz Indianę, natychmiast mi o tym powiedz.

Kara otrzepała się, poprawiła wstążkę i znów sprawiała wrażenie wcielonej niewinności. Stuart skrzywił się boleśnie. Frances jednak nie zwracała uwagi na żadne z nich. Dziewczynka popatrzyła na brata i bezgłośnie, samym ruchem warg wyszeptała trzy słowa:

– Tyczka od fasoli!

– Co powiedziałaś, skarbie? – zapytała obojętnym tonem Frances.

Kara uśmiechnęła się niewinnie, zupełnie jak Emma.

– Nic, mamó – odrzekła słodko, rzucając bratu lodowate spojrzenie. Twarz matki złagodniała. Stuart miał ochotę rozerwać siostrę na kawałki.

Emma pociągnęła siostrę za rękę.

– Chodźmy się pohuścić!

Z domu wyszła ciotka Zet, pobrzękując srebrnymi bransoletami.

– Dostawca z restauracji miał wypadek – oznajmiła i Frances natychmiast wbiegła do środka. Cała trójka odetchnęła z wyraźną ulgą. Stuart wyciągnął rękę w stronę Kary, ta jednak wykrzyknęła do Emmy:

– Goń mnie! – Niemal w tej samej sekundzie podstawiała siostrze nogę. Emma przewróciła się i rozplakała, Kara zaś dopadła huśtawki i rozbijała ją energicznie.

– Beksa – mruknął Stuart, patrząc z niechęcią na brudną, zapłakaną twarz siostry. Kopnął słupki werandy i poczuł się trochę lepiej. Zrobili ze mnie niańkę, pomyślał ponuro, siadając na drewnianej podłodze w kącie werandy. Zdjął okulary i wytarł je o poję koszuli. Zupełnie się nie liczył, jakby był nikim. Od chwili gdy urodziły się bliźniaczki, nikt na niego nie zwracał uwagi. Stuart miał wtedy siedem lat. Ojciec, kowboj i pijak, uwielbiał swojego jedyne go syna, ale matka ledwo go zauważała.

Tato odszedł od nich z powodu sióstr. Stuart nie wiedział dokładnie dlaczego, pamiętał tylko,

że mama i Kara dużo czasu spędziły w szpitalu. Ojciec zniknął rankiem w dniu, kiedy miały wrócić do domu. Poszedł na górę, spakował torbę i po prostu wyjechał. Nie pożegnał się, nawet nie uścisnął syna. Stuart bez tchu biegł za oddalającą się chmurą kurzu, pozostawioną przez samochód. A matka, zaraz po powrocie do domu, kazała usunąć portret ojca z rodzinnej galerii w holu.

Czasami Stuart siadywał w galerii i godzinami patrzył na plakietkę z brązu z nazwiskiem i datą urodzenia ojca. Tylko tyle po nim pozostało. Matka nie chciała o nim rozmawiać. Ciotka Zet też nie. Stuart był przekonany, że to вина bliźniaczek.

Ich głosy niosły się teraz przez trawnik.

– Wyżej, Emma! Wyżej!

– Boję się! Łańcuch może się zerwać!

Stuart marzył, by łańcuch się zerwał. Pragnął, by mordercy, o których mówiono w wiadomościach, dopadli jego sióstr. Gdyby je zastrzelono, bez trudu przybrałby zrozpaczony wyraz twarzy, oczywiście wyłącznie na potrzeby telewizji.

Nałożył okulary i zapatrzył się w majaczące na horyzoncie różowawe wzgórze, które ciągnęły się kilometrami, a dalej przechodziły w łańcuch Jemez. Pustynia była bezludną ziemią niczyją, idealną kryjówką dla morderców. Jej dziki i posępny wygląd doskonale pasował do jego nastroju. Poczuł, że dusi się w tym domu, w tych ścianach.

Z okna dobiegały smętne dźwięki skrzypiec i po-brzękiwanie pianina. Matka wydawała przyjęcie stulecia, a jego wystawiła przed drzwi, jak stróżującego psa. Siedz tu, Stuart, i szczekaj, jeśli będą jakieś kłopoty. Ciekawe, czy w nagrodę dostanie sztuczną kość?

Bliźniaczki huśtały się zgodnie, tak wysoko, że spod błękitnych sukienek widać im było majtki. Plecy, jak zawsze, trzymały prosto jak deski, a włosami zamiatały ziemię. Na tle szmaragdowego trawnika wyglądały obrzydliwie ładnie. Stuart ze złością wyciągnął długie, chude nogi i położył je na rzeźbionym stoliku matki. Niemal usłyszał jej głos: „Trzymaj nogi na podłodze. Nie garb się. Plecy mają przylegać do oparcia fotela”. Pieprzę cię, mamó.

Choć znajdował się zaledwie o kilka metrów od rozbawionego towarzystwa, czuł się, jakby zesłano go na wschodnie rubieże Syberii. Przez ścianę dobiegał szcęk szkła i strzępy rozmów, głównie na temat obrazów Indiany Parsons. Stuart z krzywym, nieprzyjemnym uśmiechem obserwował huśtające się bliźniaczki. Parking za huśtawkami zapchany był pojazdami najlepszych marek – mercedesy, lamborghini... same limuzyny. On też kiedyś będzie miał samochód z brzuchatym szoferem w czarnym garniturze i wypasowanych butach. Będzie kimś ważnym i snobki takie jak matka będą go zapraszać na swoje

przyjęcia. Wtedy on, podobnie jak Indiana, pojawi się lub nie, w zależności od widzimisię.

Matka nie zapraszała do siebie byle kogo. Jej snobizm przejawiał się również, a może przede wszystkim, w doborze przyjaciół. Stuart odchylił się na oparcie krzesła i przez okno zerknął do wnętrza domu. Poruszała się niemal bezgłośnie, ale gdziekolwiek się zbliżyła, rozmowy ucichały i głowy zwracały się w jej stronę. Sama jej obecność wywoływała dziwne napięcie.

Serwowała potrawy na najlepszej porcelanie, a koktajle w delikatnych kryształach, ale pozwalała każdemu z gości wypić najwyżej dwa drinki. Oczywiście nigdy nie powiedziała tego wprost, jej zasady były z gatunku niepisanych, jednak na ogół respektowała je nawet ciotka Zet.

Stuart podniósł się i ukradkiem podszedł do ciężkich, rzeźbionych drzwi. Okropne drewniane figurki, których nie cierpiał, zdawały się patrzeć na niego szyderczo ze swej niszy w kącie. Pogrążony w smętnych rozmyślaniach nie zwracał wielkiej uwagi na strzępy konwersacji dobiegające przez otwarte drzwi.

– Indiana obrazuje uniwersalny ruch...

– Myślałam, że tematyka tych obrazów jest erotyczna...

– ...żywe kolory, niesłychane śmiałe pociągnięcia pędzlem...

– ...erotyczne...

- ...pnie drzew na chwilę przed eksplozją...
- ...zaczynasz mnie podniecać...
- ...studiowała u mistrzów...
- A także sypiała z nimi...
- Sypiała z tym indiańskim ogrodnikiem...

Stłumione śmiechy.

– ...podobno żyła jak squaw w jakimś glinianym hoganie...

– Prawdziwa artystka...

– Prawdziwa dziwka – wymamrotał Stuart i usłyszał za sobą miękkie kroki.

– Są zazdrośni – odezwał się czyjś głos za jego plecami. – Podobnie jak ty.

Aż podskoczył z wrażenia. Z cienia wyłoniła się postać kobiety.

– Ale ty... jesteś zaledwie chłopcem.

– Kim do diabła... – wychrypiął Stuart z zaskoczeniem.

Podeszła bliżej. Połowę jej twarzy zasłaniały rozwichrzone czarne włosy, w drugiej połowie błyskało zielone oko. Odgarnęła włosy i teraz zobaczył całą twarz. Kobieta była ubrana w czarną suknię, mocno wydekoltowaną i tak obcisłą, że sprawiała wrażenie, jakby namalowano ją na ciele.

– A niech mnie – westchnął Stuart.

– Właśnie.

Indiana Parsons. Rabata obok werandy w wieczornym półmroku jarzyła się kolorami – fioleto-

we bzy, niebieskie irysy, żółta gazania. Indiana pochyliła się i uśmiechając się do Stuarta, wdychała ich zapach. Wyraźnie widział jej piersi i zdawał sobie sprawę z tego, że ona czyta w jego myślach. Ogarnęła go panika. Jeśli ta suka powie choć jedno słowo matce...

Na jej ustach pojawił się mroczny uśmiech.

Poczuł pustkę w umyśle i przerażający strach.

Rozległo się trzaśnięcie drzwiczek samochodu i dwóch czarnowłosych chłopców mniej więcej w jego wieku – jeden wysoki, a drugi dość pulchny – pobiegło z parkingu w stronę huśtawek.

– Dziwka? – szepnęła Indiana z dwuznacznym uśmiechem.

– Nie mówiłem o pani...

Zielone oczy rozbłyły w półmroku.

– A miałam nadzieję, że o mnie.

Drgnął, gdy lekko dotknęła jego policzka i przesunęła językiem po wargach.

– Dlaczego nie jesteś tam, w środku?

– Pilnuję dzieci – wykrztusił.

Bliźniaczki kłóciły się z przybyszami o miejsca na huśtawkach.

– Och – przypomniała sobie Indiana. – Sando! Raymond! Chodźcie tutaj! Dziewczynki mają już niańkę!

Jego upokorzenie nie mogło być większe. Miał wrażenie, że wchłonęła go czarna dziura. Indiana

roześmiała się głośno i popchnęła synów do wnętrza domu.

– Baw się dobrze – rzuciła w stronę Stuarta.

Z nisko pochyloną głową wpatrywał się w rdzawe kafle podłogi. Za uchylonymi drzwiami zamajaczył cień jego matki, a za nią postać Indiany.

– Czy to dziwne stworzenie na werandzie to... twoje?

– Czy był wobec ciebie niegrzeczny?

– W tym wieku wszyscy tacy są – zaśmiała się Indiana. Jej synowie właśnie zaczęli bawić się w berka.

Frances zatrzasnęła drzwi z wyrazem twarzy, który Stuart odczytał jako: porozmawiam z tobą później.

A niech to jasny szlag. Dziwka.

Ogarnęła go ciemność. Ostatnie promienie słońca znikają z nieba. Wszystko dokoła wydawało się nieruchome.

Zbyt nieruchome.

Potem zarzął jeden z arabów matki, a na niebie pojawiły się czarne sępy, szukając pożywienia. Sępy zawsze przywoływały myśli o śmierci i za to właśnie Stuart je lubił. Na ziemi stawały się brzydkie, poruszały się niezgrabnie, garbiły się i miały okropne dzioby... Upierzeni grabarze. Jednak na tle granatowego nieba ich ruchy nabierały wdzięku i majestatu.

Omen? – pomyślał i zadrżał. W mroku nieodległej pustyni czaiło się coś złowrogiego. Jallowce i pinie rzucały długie, fioletowe cienie na piaszczystą ziemię. Miał ochotę wbiec do domu, usiąść przed swoim komputerem, zapalić i wciągać dym, aż zrobi mu się niedobrze. Bez żadnego powodu zaczął myśleć o tych białych nastolatkach, którzy zabili Nawahów. Może czaili się gdzieś w pobliżu i w tej właśnie chwili mieli go na celowniku? Dobra broń umożliwia oddanie celnego strzału nawet z dużej odległości.

Ogarnięty paniką, cofnął się głębiej w cień, przeszukując wzrokiem zarośla. Mogli mieć noktowizor. Poczuł, że krew zastyga mu w żyłach, ale zobaczył tylko złociste niebo, zielone trawniki, mury domu, huśtawki, biały płot. Wokół panowała cisza.

Dopiero po chwili dotarło do niego, co to oznacza i znieruchomiał z wrażenia.

Huśtawki za szemrzącą fontanną były puste. Bliźniaczki zniknęły. Matka go zabije.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Kara!

Emma z sercem przepelnionym strachem brnęła przed siebie, potykając się o kamienie. Zapadał już zmrok, a ona bała się ciemności. Poza tym chciało jej się pić.

Naraz ścieżka ostro skręciła, a tuż przed sobą Emma zobaczyła wielki głaz, na który usiłowała się wspiąć jej siostra. Powoli, centymetr po centymetrze, ostrożnie szukając wsparcia dla dłoni i stóp, sunęła do góry, aż wreszcie znalazła się na szczycie.

– Chodź tu – zawołała z góry. – Chodź, to zobaczysz, jak daleko doszliśmy!

Powietrze było chłodne, ale czoło Emmy pokryło się potem. Ciężko dysząc, usiadła u stóp głazu i podniosła głowę w stronę swojej odważnej siostry.

- Masz wodę w plecaku?
- Nie mam! Wchodzisz czy nie?

Emma podniosła się i wsunęła czubek lewego buta w szczelinę głazu. Znalazła uchwyt dla spoconych palców i spróbowała się podciągnąć. Gdy wreszcie dotarła na górę, zobaczyła, że Kara stoi na samym skraju przepaści.

Bliźniaczki często wypuszczały się na pustynię i wspinaczka po kamieniach nie była dla nich żadną nowością, ale jeszcze nigdy nie wyprawiły się tak daleko od domu o tak późnej porze.

– Kara, odsuń się od krawędzi – jęknęła Emma.

- Nie bój się, nie spadnę.

Emma ostrożnie przysunęła się trochę bliżej do siostry i spojrzała w dół. Strome urwisko pod nimi pełne było prastarych jaskiń i skalnych szczelin. Emma poczuła, że kręci jej się w głowie. Drzewa i domy jeszcze nigdy nie wydawały się takie małe. Wielkie wzgórza za ich domem wyglądały stąd jak niewielkie sterty kamieni.

Daleko przed nimi słońce chowało się za fioletowymi górami, zostawiając na niebie pomarańczową smugę. A potem drzewa w dole zanurzyły się w białej mgle. Emma szukała wzrokiem domu, ale dostrzegła tylko niewielkie pudełeczka szybko kryjące się w mroku.

Kara wydała z siebie okrzyk wojenny. Po plecach jej siostry przebiegł dreszcz przerażenia.

- Jakim sposobem zaszłyśmy aż tak wysoko?
- szepnęła, cofając się od krawędzi urwiska.
- Przecież ścieżka nie była taka stroma! Jest już ciemno i nogi mnie boją. Jestem zmęczona i głodna. Kara, czy ty nie jesteś głodna?

Kara oparła rękę na biodrach.

- Nie możemy teraz zawrócić! Już prawie jesteśmy na miejscu!

– Kara, proszę cię, proszę, wracajmy do domu! Zakradnę się do kuchni i wyniosę ci trochę czekoladowego tortu!

- Ależ z ciebie beksa! Nawet mój naszyjnik ci nie pomaga?

Emma dotknęła złotego wisiorka z literką K. Zamieniły się wcześniej i Kara wzięła jej E.

- No więc? Teraz jesteś mną, a ja tobą – ciągnęła jej siostra. – To ja powinnam być grzeczna i strachliwa, blee.

Emma zaczerwieniła się.

- W takim razie powinnaś się bać i wracać szybko do domu!

– Ciocia Zet pokazała mi, że tam jest stara misa z czarnymi znakami. Chcę ją znaleźć.

– Nie powinnaś niczego zabierać...

- Nie powinnyśmy też chodzić nigdzie same – przerwała jej Kara z pogróżką w głosie. – Ani zamieniać się naszyjnikami. Udawać jedna drugiej. Przecież to tylko jakaś stara miska!

– Ale jeśli każdy coś sobie weźmie...

– To wracaj do domu! Nic mnie nie obchodzi, co zrobisz.

Kara energicznie zeskoczyła ze skały na ścieżkę, strącając przy tym lawinę kamieni, które z łoskotem potoczyły się w dół.

Emma zacisnęła w dłoni złotą literkę K, odmawiając w duchu żarliwą modlitwę. Gdy Kara znikła z pola jej widzenia, zapatrzyła się w fioletowe cienie pokrywające kanion. Teraz z dziwacznej mgły wystawał już tylko czubek dachu i kominy ich domu. Widok był dziwny, niesamowity. Mgła wznosiła się coraz wyżej. Gdy skryła dom zupełnie, Emma zadrżała.

– Wyżej, Emmo. Musisz wspiąć się wyżej
– usłyszała głos siostry.

Dziewczynka otarła oczy.

– Wolę wrócić do domu.

– Nigdy nie chcesz się ze mną bawić – oświadczyła Kara oskarżycielskim tonem.

– Nieprawda, przecież jesteś moją siostrą.

– To udowodnij mi, że chcesz!

– Chodźmy do sklepu cioci Zet i pobawmy się w księżniczki.

Sklepem nazywały zrujnowany dom, który ich ciotka wypełniła po brzegi zakurzonymi kapeluszami kowbojskimi, pawimi piórami, starymi kołami od wozów, różnymi buteleczkami, szkłem, staroświecką biżuterią i ubraniami. Matka mówiła, że to śmietnik, jednak Emma

uwielbiała chodzić po wielkich pokojach, obwieszona naszyjnikami, w dziwnym kapeluszu ze strusim piórem.

– W tym sklepie śmierdzi kocimi siuškami. Ostatnim razem, kiedy tam byłam, kot mnie ugryzł i palec okropnie mi spuchł – odparła Kara i pobiegła przed siebie po stromym zboczu.

– Kara! – zawołała jej siostra z przerażeniem.

Zanim Emma dotarła do skraju płaskowyżu, było już prawie zupełnie ciemno. Kara znikła gdzieś za stertami kamieni. Emma z lękiem patrzyła na jednoizbowe lepianki z gliny i kamienia. Pobiegła w stronę, gdzie zniknęła jej siostra, ale poślizgnęła się i upadła, raniąc sobie kolana o jakieś potłuczone skorupy.

– Kara!

Jedyną odpowiedzią było pohukiwanie sowy.

Emma przykucnęła i zajęła się wyciąganiem drobnych kamyków z ran na kolanach. Kara mówiła, że jeśli wymkną się z domu, to Stuart na pewno za nimi pójdzie i zabierze je do ruin, a jeśli nie, to tylko poobserwują jelenie i dzikie indyki. Emma bardzo chciała zdobyć indyjskie pióro, ale nie spotkały ani jednego indyka.

Gdyby Stuart tu był, niczego by się nie bała. Jej brat potrafił się śmiać ze wszystkich potworów czających się w mroku.

Sowa znów zahuczała. A może to był duch? Emma poczuła na policzku powiew wiatru i krzyk-

nęła ze strachu. Z wysiłkiem stanęła na nogach i wspięła się na ścieżkę prowadzącą do krawędzi płaskowyżu. Zobaczyła labirynt zrujnowanych ścian, które kiedyś składały się na rzędy domostw wzniesionych dokoła centralnego placu.

Obok niej przemknęła jaszczurka. Wycie wiatru stało się głośniejsze.

Anasazi. Starożytni mieszkańcy tych okolic. To oni mieszkali w domach bez dachów i odprawiali magiczne rytuały. Uprawiali ziemię, walczyli, a potem zniknęli.

Tak jak Kara.

Wiatr porwał jedną ze wstążek Emmy i poniósł ją poza krawędź wzgórza. Emma wychyliła się ostrożnie i o kilka metrów pod sobą zobaczyła ciemne lustro wody. Na ten widok przypomniała sobie, jak bardzo chce jej się pić. Niżej teren porośnięty był sosnami i jałowcem. Gdzieś tam był dom i mama.

Wpatrywała się w ciemną toń jeziora, marząc o lampie Aladyna albo o latającym dywanie, który zabrałby ją do domu. Niczym w transie wyciągnęła rękę i postąpiła o krok do przodu.

– Stój! – wykrzyknęła Kara.

Emma obróciła się na pięcie i oślepiło ją jaskrawe światło. Jej siostra wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Latarki! – zawołała i z jej ręki wytrysnął drugi snop światła.

- Skąd je masz?
- Z plecaka.
- Ale mówiłaś, że...

I wtedy usłyszały ten dźwięk: niski, groźny pomruk wydobywający się z wnętrza starożytnej kiwy – okrągłej jamy u ich stóp.

Emma podbiegła do Kary i przywarła do niej całym ciałem.

- Co to takiego? – zapytała szeptem.
- Może duch.
- Albo... albo umarły człowiek.
- Albo Ana...sa...zi...
- Głupia, to to samo!
- Cicho bądź!

Tuląc się do siebie, rozglądały się gorączkowo po otaczających je skałach i obydwie w tej samej chwili dostrzegły drabinę wystającą z kiwy o kilka metrów od nich. Ciemny otwór wydawał się w tej chwili równie groźny jak piekielna otchłań.

– Skąd się tu wzięła ta drabina? – zdumiała się Emma. – Poprzednim razem na pewno jej nie było...

- Duch – stwierdziła Kara stanowczo.
- Nie mów tak!

Spod ziemi rozległ się pojedynczy ostry krzyk, a po nim zapanowała absolutna cisza. Bliźniaczki na chwilę wstrzymały oddech. Emma nie mogła odżałować, że nie zawróciła i nie pobiegła do domu, gdy jeszcze był na to czas. Ich matka by-

ła silna. Miała zasady. Mówiła im, na których krzesłach mogą siadać, a na których nie. Co wolno im jeść i pić. Słodycze tylko w niedziele... W tej chwili Emma oddałaby wszystko, żeby znów się znaleźć w ramionach surowej matki. Z jej oczu popłynęły łzy, ale nie była w stanie odezwać się ani słowem.

– Idę stąd – stwierdziła Kara. – Gdyby to coś, co tam siedzi, chciało nas zjeść, to już by to zrobiło. Masz tu latarkę. Idź za mną.

Na dnie kiwy coś się poruszyło. Emma wyobraziła sobie olbrzymiego skorpiona, który z gotowym do ataku żądłem wspina się na drabinę, gotów wciągnąć ją w czarną otchłań.

– Pomocy.... – usłyszały naraz. Tym razem głos był słaby i stłumiony. Może to nie był duch ani skorpion, tylko ktoś wystraszony i bezradny?

– Kara, poczekaj! – zawołała Emma.

Oczy jej siostry zapłonęły gniewem.

– Idziesz ze mną? Jestem głodna. Mam ochotę na ten tort czekoladowy, który mi obiecałaś.

– Tort?

– I na mleko też.

– Muszę zobaczyć, kto jest na dole. Nie możemy go tu tak zostawić.

Lęk Emmy minął bez śladu. Miała wrażenie, że kieruje nią jakaś zewnętrzna siła, większa i mądrzejsza nawet od jej matki, i że ta siła ją chroni.

Przykłęła na skraju sipapu, jamy duchów, i skierowała snop światła do środka. Natychmiast jednak zgasła latarkę i odskoczyła gwałtownie.

– Co tam jest? – zapytała Kara.

– Wielkie, czarne koty. Całe mnóstwo.

Tym razem Kara poświeciła swoją latarką. Rzeczywiście, w jamie było mnóstwo kotów. Gliniane ściany pokryte były wizerunkami tańczących czarnych panter.

Emma po raz drugi skierowała światło latarki do środka i tym razem zobaczyła stopy pokryte warstwą zaschniętego błota, wystające z równie brudnych dżinsów. Przesunęła światło wyżej: nad dżinsami ujrzała męski tors w brudnej białej bawełnianej koszulce i ciemną twarz, na widok której zaparło jej dech z zachwytu.

– Kara! – szepnęła, drżąc na całym ciele. Zaświeciła nieznajomemu prosto w twarz. Z wysiłkiem otworzył oczy.

– To jest chłopiec – szepnęła.

Kara również skierowała swoją latarkę w dół.

– Błeee. Jest brudny i ciemny. Okropny. To chyba jakiś... Indianin.

Emma nie mogła oderwać od niego wzroku. Zauważyła, że rysy jego twarzy ściągnęły się z niechęcią. Był stary, chyba nawet starszy od Stuarta. Miał szerokie, atletyczne ramiona, wystające kości policzkowe i ciemną twarz pod szoną granatowoczarnych włosów. Zacisnął moc-

no powieki, a gdy znów je rozchylił, przeszył ją spojrzeniem, od którego zaparło jej dech w piersiach. Pomimo mroku zauważyła, że jego oczy są zielone. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie jak zahipnotyzowani.

– Hej, Kara – szepnęła w końcu. – Pamiętasz tego indiańskiego chłopca, którego pokazywali w telewizji?

Chłopak przymknął oczy i bezgłośnie poruszył ustami.

– Wstań – poprosiła Emma. – Wejdz na drabinę.

Dopiero po chwili zauważyła, że jego noga jest wykręcona pod dziwnym kątem.

Nie mogła go tu zostawić. Naraz wszystko inne przestało być ważne. Wiedziała tylko, że musi zejść na dół i zaopiekować się nim. Złapała się drabiny i jęknęła, gdy drzazgi z nieheblowanego drewna wbiły się w jej poranione palce. Postawiła stopę na pierwszym szczeblu i ostrożnie opuściła się w dół. Na policzku poczuła kolejny poryw wiatru. Było jej zimno, męczył ją głód i pragnienie. Marzyła o powrocie do domu.

– Już idę – zawołała w dół.

Chłopak odpowiedział jej zimnym spojrzeniem, ale nie odezwał się ani słowem.

Drugi szczebel drabiny nie wytrzymał ciężaru Emmy i złamał się z głośnym trzaskiem.

– Kara! – wykrzyknęła, rozpaczliwie chwytając

się dłońmi krawędzi kiwy. Stopa szukała trzeciego szczebla, ale nadaremnie. Emma zawisła na rękach, desperacko machając nogami.

Kara jak sparaliżowana patrzyła na zakrwawione dłonie siostry, powoli zsuwające się w ciemność. Po chwili na krawędzi pozostały tylko ślady krwi. Z dołu rozległ się krzyk i odgłos uderzenia ciała o skałę. Zakryła uszy dłońmi.

Gdy zaświeciła latarką w dół, zobaczyła wpatrzone w nią groźne, zielone oczy. Te oczy zaglądały wprost do jej duszy, widziały wszystko, nawet to, co próbowała ukryć. Nienawidziła go za to. Bała się go. Miała wrażenie, że ten chłopak wyciąga z niej duszę, że widzi jej okrucieństwo i dlatego nią pogardza. Dało jej to dziwne poczucie wolności, ale zarazem, z chwili na chwilę, ten wzrok napełniał ją coraz większym lękiem.

Wreszcie zamknął oczy i Kara odzyskała przytomność umysłu. Widziała obok dłoni siostry srebrzystą latarkę. Szkoda, że nie miała jak jej stamtąd zabrać. Przydałaby się na powrót do domu, na wypadek, gdyby baterie w jej latarce wyczerpały się zbyt szybko.

Przecież Emma jej już nie potrzebowała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy Kara zesła z płaskowyżu, mgła już zniknęła. Pustynię oświetlał księżyc w pełni. W oczach przestraszonej dziewczynki, biegnącej po wąskiej, krętej ścieżce, to światło przemieniało zwykłe kamienie i drzewa w dziwne, widmowe kształty. Przedzierała się przez suche zarośla i nie zamierzała podziwiać uroku lśniących kolców ani srebrzystych koronek pajęczyny. Każdy szelest liścia i każde trzaśnięcie gałązki przypominało jej historie o duchach i goblinach, opowieści Stuarta o niedźwiedziach i pumach zjadających małe dziewczynki. A mogły to być również zwykłe węże czy skorpiony.

Była głodna i chciało jej się pić, stopy miała pokryte pęcherzami, bolały ją nogi. Burczało jej w brzuchu, a we włosy wciąż wplątywały się

suche liście i pajęczyny. Oczami wyobraźni widziała przed sobą wielki kawał czekoladowego tortu.

Jej serce wypełniała złość na Emmę. Gdyby Emma nie uparła się zejść na dół, Kara nie musiałaby teraz wracać do domu sama. I nie chodziło o strach. Nie, przecież była odważna. To tylko wisiołek sprawiał, że zachowywała się jak Emma.

Światło latarki drżało na kamienistej ścieżce. Od czasu do czasu Kara zataczała łuk po okolicznych zaroślach, w których gęsto świeciły żółte oczy. Przypominała sobie wtedy, co mówił Stuart: „Dla wielkiego kota jesteś smaczniejsza niż tort czekoladowy. Jeśli nie wykończy cię jednym kłapnięciem, to schowa sobie resztę na później, a sępy wyjedzą ci oczy”.

Sępy niestrudzenie krążyły po niebie. Kara zaczęła biec szybciej. Nie zatrzymywała się nawet wtedy, gdy brakowało jej tchu. W końcu zobaczyła przed sobą ostatni zakręt, a potem usłyszała podniesione głosy. Przed domem stał samochód szeryfa z migającymi światłami na dachu. We wszystkich oknach paliło się światło.

Kara zatrzymała się jak wryta. Skąd wziął się tu Will Gentry, szeryf, a również, o czym nikt nie miał pojęcia, bliski przyjaciel ciotki Zet? A może on już wiedział... o Emmie? Może sępy go do niej doprowadziły? Czy powiedział już mamie?

Czy będą ją za to winić? Może Will zabierze ją do więzienia? Jak powinna się bronić?

Och, Boże! Jak ma im powiedzieć, że Emma nie żyje? Będą ją oskarżać, krzyczeć, że to wszystko przez nią, bo to ona wyciągnęła siostrę z domu... Przygryzła wargę. Nie! To nie może tak się skończyć. Powie, że to Emma bardzo chciała pójść na wycieczkę.

Wyłączyła latarkę i usunęła się w cień. Potrzebowała chwili do namysłu.

Z domu zaczęli wychodzić ludzie. Przyjęcie chyba jeszcze się nie skończyło. Kara nie mogła opowiadać całej historii przed tak liczną publicznością. Gdyby się zdenerwowała, to zaczęłyby wszystko mylić i mieszać. Emma nie żyła i w niczym już nie można było jej pomóc. W takim razie najlepiej byłoby zakraść się teraz do domu, znaleźć tort, a dopiero potem udawać powrót ze spaceru. W ten sposób przynajmniej nie popsuje matce przyjęcia.

Dokoła domu kręciło się jednak zbyt wielu ludzi, więc Kara nadal tkwiła przykucnięta w cieniu. Szeryf i senator rozmawiali z grupką ludzi stojących na werandzie. Wśród nich znajdowało się małżeństwo – kobieta, która narobiła takiego krzyku, gdy oblano ją wodą w salonie muzycznym, i jej mąż. Stali, obejmując się ramionami. Kobieta płakała. W całej scenie było coś przerażającego.

Wszyscy pozostali nasłuchiwali słów szeryfa, trzymali się jednak w pewnej odległości, jakby chcieli okazać szacunek. Kara słyszała pojedyncze słowa, ale zupełnie ją one nie interesowały. To były sprawy dorosłych.

– Jesteście rodzicami... – mówił surowo Will.

– Tak...

– Okropne. Wypadek... Obawiam się, że nie żyją.

Tak jak Emma.

– Obydwaj...

– Na miejscu.

Tak jak Emma.

– Policja plemienna natychmiast zaczęła pościg. Chłopcy wybiegli prosto na autostradę... potrąciła ich rozpędzona osiemnastokółowa ciężarówka. Jeszcze sześć innych samochodów...

...mokra plama...

Dopiero te słowa przykuły uwagę Kary. Widziała kiedyś królika, którego rozjechała jej matka. Przez dwa tygodnie Kara codziennie chodziła w to miejsce, aż z królika pozostało tylko kilka białych kostek. Zachowała nawet jedną z nich na pamiątkę.

– Mój Davie? I Rick też?

Will oparł dłoń na czarnej, skórzanej kaburze pistoletu i skinął głową.

– Dlaczego? Dlaczego policja ścigała moich synów?

– Za morderstwa w rezerwacie.
– Przecież to nie nasi chłopcy...
– Mamy dowody, że tam byli. Potrójne morderstwo. Analiza balistyczna potwierdziła ich udział...

– Kiedy wydacie nam ciała?

– Niestety, proszę pani, to może trochę potrwać. Ta sprawa została bardzo nagłośniona. A poza tym nie odnaleziono jeszcze tego indiańskiego chłopca, syna i wnuka ofiar. Wszyscy Nawahowie są przekonani, że on też nie żyje, i szukają ciała. Cały rezerwat szykuje się do akcji. Mają psy... ale wie pani, jak to wygląda w tych okolicach. Możliwe, że nigdy nie znajdą ciała tego chłopaka. Widzi pani – ciągnął – ofiary nie były anonimowymi osobami. Calvin Greywolf był bohaterem drugiej wojny światowej i szyfrantem, a zamordowana kobieta to Bessie Greywolf, jego żona, tkaczka o międzynarodowej sławie. Ich synem był Shanto Greywolf, artysta i jubiler, który robił słynne mozaiki z lapis-lazuli i australijskich opali.

Kara pragnęła, żeby Will wreszcie umilkł. Wtedy wszyscy by się rozeszli, a ona mogłaby się zakraść do domu po tort. Tymczasem on zaczął wygłaszać nudny wykład o tym, że teraz dzieci mają za dużo pieniędzy i oglądają zbyt wiele telewizji.

Zanim rozmowa na werandzie dobiegła końca,

gardło Kary wyschło na pieprz i zgłodniała tak bardzo, że jedyne, o czym była w stanie myśleć, to olbrzymi, trójkątny kawał słodkiego, wilgotnego, rozpływającego się w ustach czekoladowego tortu. I do tego wielka szklanka zimnego mleka.

Frances przez cały dzień czekała na chwilę, gdy wreszcie będzie mogła wypić swojego drugiego drinka. Była w euforii. Oprócz kilku drobnych potknięć, do których zaliczała wypadek w salonie muzycznym oraz wiadomości przyniesione przez Willa – o tym, że Dobsonowie, ci Dobsonowie o nieskazitelnym manierach i nieposzlakowanej opinii, jej goście, okazali się rodzicami nastoletnich morderców – jej przyjęcie okazało się sukcesem.

Biedni Dobsonowie. Dzieci, a szczególnie chłopcy, były równie nieprzewidywalne jak mężowie. Gdy ma się dzieci, nigdy nie wiadomo, czego można się po nich spodziewać.

Mimo wszystko jej dzieci nie były zbyt absorbujące. Nie miała jednak ochoty o nich myśleć. Macierzyństwo, może z wyjątkiem spraw, które dotyczyły Emmy, nie zaliczało się do jej ulubionych obowiązków. Dzieci to małe dzikusy, które uważają, że za pomocą krzyku i dąsów można pokonać najtwardszego dorosłego.

Jej to oczywiście nie dotyczyło.

Odsunęła od siebie myśli o dzieciach i w zamian przywołała wspomnienie chwili, gdy ten uroczy, młody gubernator, Steven, przy wyjściu pogładził ją po dłoni i pocałował w policzek.

– Za nic w świecie nie opuściłbym tego przyjęcia – powiedział. – Ileż w tym było dramatyzmu! Indiana, jej obrazy, a potem twój wielki finał – rozwiązanie największej kryminalnej zagadki w całym Nowym Meksyku. Frances, tylko ty mogłaś to urządzić z taką klasą. Co za impreza!

Słyszając te słowa, naprawdę się zarumieniła. Zatrzymała wzrok na cennym dywaniku pod stopami i z lekkim uśmiechem odsunęła się nieco, by nie przydeptywać błękitnego kwiatu kukurydzy. Aż trudno było sobie wyobrazić, że ten dywanik, jej ulubiony, ze wzorem przedstawiającym cztery postacie Dontso, Boga Burzy, oraz dwie rośliny kukurydzy i Boga Tęczy, został utkany rękami tej nieżyjącej biedaczki, Bessie Greywolf. Frances była wstrząśnięta, gdy Will wymienił jej nazwisko, natychmiast jednak uświadomiła sobie, że dywaniki autorstwa Bessie wkrótce staną się bezcenne. Należało je jak najszybciej zabrać z podłogi i powiesić na ścianie, może nawet za szkłem.

Śmiałe obrazy Indiany na ścianach płonęły żywymi barwami. Frances wciąż nie mogła się zdecydować, który z nich kupić. Może ten z drzewami. Przyjrzała się z bliska mocnym

pociągnięciom pędzła, które sprawiały, że konwulsyjnie powykręcane pnie wydawały się eksplodować w rozświetlonym różowym światłem lesie. Indiana była mistrzynią światłocienia.

Tak, trzeba podjąć różne decyzje...

Zauważyła, że Zet z ożywieniem rozmawia o czymś z Indianą, i zmarszczyła brwi. Zet miała na nogach buty do wspinaczki i grube skarpety, a na głowie tę okropną czarną czapkę! Jednak dzisiaj była w stanie wybaczyć jej niemal wszystko, gdyż to Zet uratowała jej wieczór. Gdy Will podjechał pod dom, błyskając światłami na dachu radiowozu i zażądał rozmowy z Dobsonami, całe towarzystwo zapomniało o Indianie i stłoczyło się na werandzie. Indiana z wyraźną urazą poprosiła o podprowadzenie samochodu pod drzwi. Na ten widok Frances odnalazła Zet pomiędzy innymi gośćmi i wyciągnęła z tłumu.

– Ona odjeżdża! Indiana chce wyjść z przyjęcia! Zatrzymaj ją jakoś!

– Mam przeoczyć wielką chwilę Willa? – obruszyła się jej siostra.

– Zet, jeśli jej nie zatrzymasz, to wszyscy inni też sobie pójdą! – szeptała gorączkowo Frances, kątem oka widząc, że artystka zbiera się do odejścia.

– No dobrze – westchnęła Zet. Podeszła do Indiany i wyjaśniła jej powód przybycia szeryfa. Od tej chwili nie dałoby się już wyciągnąć

Indiany z przyjęcia nawet końmi. Frances zastanawiała się, czy w tych paskudnych plotkach, że Indiana miała indiańskiego kochanka, nie ma ziarenka prawdy.

Indiana prowadziła bujne życie erotyczne, a jej mąż udawał, że o niczym nie wie. Frances znów skupiła uwagę na obrazach. Który powinna wybrać? Ten czerwony? A może krzyż z płatków kwiatów, które wyglądały jak krople krwi? Czy ten obraz nie za bardzo przypominał dzieła Georgii O’Keeffe? Frances chciała mieć obraz, który byłby esencją malarstwa Indiany Parsons. Kwiaty autorstwa O’Keeffe już miała.

Z zadowoleniem powiodła wzrokiem po pokoju, który bardziej przypominał galerię sztuki niż wnętrze mieszkalne. Oczywiście, najlepszą inwestycją okazał się dywanik, pomyślała i wzięła do ręki kieliszek z szampanem. Chłodne, musujące wino przyjemnie odświeżało jej umysł.

Podszedł do niej kelner z tacą pełną kieliszków. Może jeszcze trochę szampana? Tylko dzisiaj, wyjątkowo... Napotkała jednak wzrok Zet. Nie. Nie może sobie pozwolić na utratę klasy... publicznie. Z uśmiechem odstawiła pusty kieliszek na tacę.

I w tej właśnie chwili drobna figurka w brudnej jedwabnej sukience przemknęła przez hol i zniknęła w kuchni. Frances zdążyła zauważyć, że błękitne wstążki, które tak pieczołowicie

wplatała córkom we włosy, zniknęły. Potargane kosmyki włosów zasłaniały twarz małej, ale uwagę matki przykuł wyraz jej oczu i trupioblada twarz. Czekala, aż w holu pojawi się druga z sióstr, ale nie doczekała się. Przyjemne podniecenie po szampanie w jednej chwili minęło. Przestała słyszeć śmiechy gości i muzykę graną przez pianistę. Nawet cenne dywaniki i obrazy Indiany nic jej w tej chwili nie obchodziły.

Niektórzy ludzie potrafią kochać w całym swoim życiu tylko jedną osobę. Dla Frances tą osobą była Emma. Instykt macierzyński kazał jej natychmiast pobiec za dziewczynką. Od dnia, gdy Frances opuścił mąż, ważna była dla niej tylko Emma.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kara obiema rękami wpychała sobie do ust wielkie kawały ciasta, popijając je mlekiem.

– Panienko! – usłyszała naraz. Mama, pomyślała, i tort utkwiał jej w gardle. Zakrztusiła się i zakryła usta dłonią, by nie wypluć zawartości.

– Nie bój się – powiedziała Frances łagodnie, ujmując w palce wisiołek z literą E. – Emma?

Kara lekliwie skinęła głową.

– Skarbie, co się stało?

Nigdy wcześniej matka nie odzywała się do niej takim tonem.

Ciocia Zet też tu była. Spod czarnej czapki wystawał jej złocisty warkocz. Ona również wyciągnęła rękę i z brzękiem bransolet dotknęła złotego E.

Jakie one obydwie były głupie.

– Gdzie jest Kara? – zapytała ciotka łagodnie.

Przed oczami Kary pojawił się obraz Emmy leżącej nieruchomo na dnie kiwy, i ze zdumieniem poczuła napływające pod powieki łzy – pierwsze łzy w jej życiu.

– Gdzie ona jest? – powtórzyła ciotka.

Kara przyłożyła poplamione czekoladą palce do skroni i mocno je ucisnęła. To był typowy gest Emmy.

– Widzisz przecież, że ona nie wie. Nie pamięta – powiedziała matka. – Ma jeden z tych swoich ataków.

Ataki niepamięci Emmy. To dzięki nim tak wiele rzeczy uchodziło im na sucho, co nigdy nie udawało się Stuartowi. Gdy Emma bardzo się czegoś przestraszyła, zdarzały jej się zaniki pamięci. I wtedy Kara musiała opowiadać wszystkim, co się stało.

Kiedyś Kara próbowała podkraść kilka miętówek z pojemnika na cukierki ciotki Zet, stojącego w kuchni, ale porcelanowa żaba spadła na posadzkę i rozbiła się. Kara namówiła Emmę, by ukryły skorupy pod warstwą liści w ogrodzie. Ale gdy matka stanęła w drzwiach domu, Emma przestraszyła się i wbiegła do środka, trzymając w ręku błękitne porcelanowe oko. Później, gdy matka wypytywała je, co stało się z pojemnikiem, Emma była w stanie tylko potrząsać głową w milczeniu. Ciotka Zet otworzyła dłoń dziewczynki

i wyjęła porcelanowe oko spomiędzy zaciśniętych palców. Emma płakała, zaś Kara musiała zaprowadzić je do sterty liści, w której leżały kawałki żółtej porcelany.

Niedługo po tym wydarzeniu matka zabrała Emmę do psychiatry, który nazwał zaniki pamięci „gubieniem czasu”. Emma opowiedziała siostrze, że podczas tej wizyty siedziała w olbrzymim czerwonym fotelu, który przytłaczał ją swym ogromem.

– Wyleczył cię? – dopytywała się Kara. Na szczęście psychiatra nie zastosował żadnych innych środków oprócz rozmowy i przekonał wszystkich, że Emma traci pamięć, gdy czuje się winna. Czasami gubiła całe dni.

– Gdzie jest twoja siostra?

Kara skurczyła się na krześle dokładnie tak, jak zawsze robiła to Emma i usiłowała przybrać nieprzytomny wyraz twarzy.

Udało się.

– Och, Boże – odezwała się ciotka Zet.

Matka podniosła ją z krzesła, wytarła włosy z czekolady, zaniósła ją do zlewu i przetarła jej twarz okropną moką ścierką.

– Co się stanie z tą biedną małą, jeśli się nie dowiemy...? – zmartwiła się ciotka.

– A gdzie jest Stuart? Miał ich pilnować.

Na szczęście dla siebie, Stuart zniknął. Ciotka Zet wraz z matką na wszelkie sposoby starały się

uspokoić Karę, ona zaś czuła, że wokół serca zaciska jej się obręcz nienawiści. Zniknięcie Kary niewiele je obeszło!

Ułożyły ją do łóżka, otuliły czystą pościelą, pocałowały na dobranoc i zniknęły. Kara uznała, że poprosiły niektórych gości o pomoc w poszukiwaniach siostry, bo zasypiając, słyszała nawoływania.

– Kara! Kara! Kara, gdzie jesteś?

Przypuszczała, że rano będzie musiała powiedzieć im prawdę.

– Kara!

Usiadła na łóżku, rozglądając się gorączkowo po ciemnym pokoju. Naraz potwór czyhający w mroku rzucił się na nią. Usiłowała krzyczeć, ale ktoś zakrył jej usta dłonią. Wbiła zęby w palce pachnące tytoniem i czekoladą.

– Kara! – wrzasnął Stuart, wrywając rękę.

Próbowała się rozpłakać.

– Nie umiesz płakać! Nie jesteś Emmą!

– Zamknij się, Wielki Nochalu!

– I tak im powiem.

– A kto ci uwierzy? Zresztą, co za różnica, przecież jesteśmy zupełnie jednakowe. Dwie dusze w jednym ciele. Nierozłączne.

– Jesteś zimna i chytra jak żmija.

– Gdybym była żmiją, to miałabym jad i mogłabym cię ukąsić.

– Widzisz sama, Emma nigdy nie powiedziała by nic takiego!

Zanim zdążyła pomyśleć, Stuart wybiegł z pokoju. Gdy Kara wyszła na podest, on był już na dole. Zobaczyła naprzeciwko siebie rząd zdumionych twarzy. Matka i ciotka Zet też tam były. Po chwili matka podbiegła do niej.

Kara osunęła się na podłogę, zalewając się łzami, zupełnie tak, jak zrobiłaby to Emma. Stuart dopadł do niej pierwszy i zaczął okładać ją pięściami.

– Powiedz im, kim jesteś, oszustko! Powiedz!

– Emma. Jestem Emma – szlochała.

Im mocniej ją uderzał, tym głośniejszym płaczem się zanosiła, ale nie próbowała mu oddać, dobrze wiedząc, że Emma nigdy by się do tego nie posunęła. Gdy jednak jego ręka znalazła się w pobliżu jej ust, z trudem powstrzymała się, by go nie ugryźć.

– Jestem Emma, naprawdę! – szlochała.

– Stuart, idź do swojego pokoju! Później z tobą porozmawiam – oburzyła się matka. Podniosła Karę i popatrzyła na nią czule. Dziewczynka opuściła wzrok.

Matka zaniósła ją do sypialni i ułożyła w łóżku Emmy.

– Śpij teraz i nie myśl o Karze. Znajdziemy ją.

W milczeniu wpatrzyła się w sufit. Co za różnica, czy powiedziała prawdę, czy nie? Emma

i tak nie żyła. Pewnie przy upadku uderzyła się w głowę. Kara świeciła na nią latarką co najmniej przez pięć minut, wielokrotnie wołała ją po imieniu.

A więc jednak nie były absolutnie nierozłączne. Została sama. Była teraz Emmą – ulubienicą matki.

Emma otworzyła oczy. Znajdowała się w jakimś miejscu, które było ciasne, ciemne i duszne, jak wewnątrz cedrowej skrzyni matki. Ale zapach był tu zupełnie inny – nie pachniało naftaliną, lecz wilgocią i ziemią. To był zapach guana.

Wszystko ją bolało i miała wrażenie, że ściany zamykają się wokół niej. Brakowało jej tlenu. W panice zaczęła oddychać szybciej, ale im szybciej oddychała, tym mniej powietrza trafiało do jej płuc. Znów znalazła się w skrzyni w sypialni matki. Bawiły się z Karą w chowanego. Siostra przekonała ją, by wyjęła ze skrzyni koce i weszła do środka. A potem zatrzasnęła się nad nią ciężka pokrywa.

Leżała w dusznej trumnie, pełnej woni wełny, cedru i kulek naftaliny, przerażona, że nikt już nigdy jej nie znajdzie i zostanie tam na zawsze. Gdy Kara przyprowadziła matkę i Stuarta, znaleźli ją nieprzytomną. Pamiętała chwilę, gdy otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą zalaną łzami twarz matki. Frances, która nigdy nie płakała,

przytuliła ją wtedy do siebie tak mocno, że Emma znów straciła dech.

– Co się stało, kochanie?

Emma patrzyła na twarze nad sobą, ale nie mogła sobie nic przypomnieć.

– Kulki na mole – szepnęła wreszcie. Przyklękła na podłodze i wyciągnęła ohydną białą kulkę spod skrzyni.

Wtedy po raz pierwszy zdarzyła się jej utrata pamięci. Nigdy nie potrafiła sobie przypomnieć, jakim sposobem znalazła się w skrzyni. Kara musiała jej to opowiedzieć. Na szczęście Kara była zawsze w pobliżu i mogła uzupełnić wszystkie luki.

Fale ciemności zagarniały ją jedna za drugą. Ostrożnie poruszyła dłońmi i poczuła pod palcami twardą ziemię. Nawet od tego małego ruchu mięśnie znów zaczęły ją boleć i zakręciło jej się w głowie.

Powoli wzrok przyzwyczaił się do ciemności i dostrzegła nad głową coś w rodzaju komina. Oparta o otwór stała połamana drabina, a nad nią świeciła konstelacja Skorpiona. Ciotka Zet uczyła ją kiedyś rozróżniać gwiazdozbiory.

Otwór w suficie... Kiwa...

Podniosła głowę, chcąc usiąść, ale ból przeszył jej plecy. Zaczęła drżeć na całym ciele. Było okropnie zimno. Przymknęła oczy, a potem znów je otworzyła z nadzieją, że to był tylko sen

i obudzi się w jakimś bezpiecznym miejscu. Ale to nie był sen.

Omiał nie umarła z przerażenia, gdy ktoś obok niej zakaszłał. Wpatrzyła się w tę stronę i po chwili sobie przypomniała. Jeszcze zanim go zobaczyła, poczuła jego obecność. Był prawdziwy. Wysoki i ciemny, zamknięty w sobie jak zraniony niedźwiedź, patrzył na nią przez opadające mu na czoło kosmyki włosów.

– Kim jesteś? – szepnęła.

Nie odpowiedział, tylko w dalszym ciągu przypatrywał się jej niczym wielki kot.

– Mam na imię Emma – wyrzekła lękl

Zacisnął usta i jego twarz stwardniała.

– I co z tego?

– Czy ty jesteś niedobry?

Uśmiechnął się nieznacznie, ale i tym razem nie odpowiedział.

– Na pewno nie jesteś dobrze wychowany, wiesz o tym? Zesłałem tu po to, żeby ci pomóc.

Znow ten uśmiech.

– Powiedziałam, że jestem Emma.

– Emmo, imiona nie mają żadnego znaczenia – odezwał się wreszcie ochrypłym szeptem.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, aż w końcu on pierwszy odwrócił wzrok.

– Czy to ty jesteś tym chłopcem, któremu zabito ojca?

Gwałtownie otworzył oczy, przewiercając ją spojrzeniem.

– Skąd o tym wiesz?

– Wszyscy wiedzą.

– Biali ich zabili. Wiedziałaś o tym? Biali... tacy jak ty, mała bogaczko.

– Skąd wiesz, że jestem bogata?

– Masz jedwabną sukienkę i złoty wisiołek z literą K. Słysząc to w twoim głosie, w sposobie mówienia. Widać po zachowaniu, po tych manierach, z których jesteś taka dumna. Tacy jak ty i ja, Nawahowie i biali, nie mieszają się ze sobą. Niepotrzebnie tu do mnie schodziłaś. Powinnaś mnie zostawić, żebym umarł.

– Umarł?

– Są rzeczy o wiele gorsze od śmierci. Jeśli nie będziesz ostrożna, to sama się o tym przekonasz – powiedział groźnie, tak że w pierwszej chwili naprawdę się go przestraszyła. Zaraz jednak wyczuła, że właśnie o to mu chodziło.

Znów zapadła w sen, a potem obudziła się nękana nieznośnym pragnieniem.

– Wody... Wody... – wymamrotała cicho i niewyraźnie.

Spał, mrużąc pod nosem jakieś słowa w nieznanym jej języku. Od czasu do czasu szlochał przez sen. Wiedziona współczuciem Emma przysunęła się do niego bliżej i dotknęła jego gorącego policzka. Otworzył oczy i spojrzał prosto w jej

twarz. Jeszcze nigdy nikt tak na nią nie patrzył – miała wrażenie, że to spojrzenie przenika ją na wylot. Ku jej zaskoczeniu nie odepchnął jej ręki.

Po chwili obydwójce znów odpłynęli w niebyt. Później Emma niejasno przypomniała sobie chwilę, gdy chłopak, podtrzymując ją ramieniem, wlewał jej do ust wodę ze swojej manierki.

– Wystarczy? – zapytał w końcu.

– A więc jednak mama nauczyła cię mówić?

– Nie mam matki – odrzekł ponuro. – Ale potrafię mówić... i być miły... chociaż tylko czasami.

– A kiedy?

– Gdy mam na to ochotę.

W górze nad nimi coś zaszleściło. Emma przysunęła się bliżej do niego i zapytała trwożliwie:

– Wierzysz w duchy?

Nie odpowiedział, ale gdy wiatr zaszumił głośniejsze, przytulił ją do siebie, jakby on również trochę się bał.

Dobiegło ich przeszywające wycie kojotów.

– Co to takiego? – zapytała Emma z narastającym przerażeniem.

Patrzył w mrok szeroko otwartymi oczami, jakby widział tam obrazy wzbudzające grozę. Po chwili jednak odrzekł spokojnie:

– To tylko kojoty wyją do księżyca. Postaraj się zasnąć. Rano poczujesz się lepiej.

Budziła się jednak co chwilę. Zastanawiała się, ile czasu już spędziła w tej jaskini i ile jeszcze godzin minie, zanim Kara ją odnajdzie. Gdy w końcu usnęła mocniej, coś spadło na jej twarz. Krzyknęła głośno i jej towarzysz również się obudził. Pomachał rękami, odganiając skrzydlate stworzenie, a potem wyjaśnił:

– Nietoperze. To tylko nietoperze. Latały przez całą noc, a teraz zaczyna już świtać. Jeśli przestaniesz krzyczeć, to uspokoją się i zasną.

Posłusznie znieruchomiała i leżała, wpatrując się w mrok szeroko otwartymi oczami.

– Dlaczego nie zamkniesz oczu? – wymruzczał. – Śpij. Jesteś ze mną, z Mikiem Greywolfem. Nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego.

Greywolf. A więc tak miał na nazwisko.

Sięgnął do plecaka i włożył jej w dłoń jakiś gładki, chłodny przedmiot.

– Co to takiego? – zdziwiła się.

– Wyrzeźbiłem to kiedyś. Wielki kot... taki, jak te na ścianach. Nazwałem to ryczącą pumą. Pумы są odważne, tak jak ty. Ta próbowała dobrać się do moich owiec.

– Ja nie jestem odważna. Moja siostra jest odważna.

– Kara. Ta druga – mruknął z lekceważeniem.

– Ale to ty zeszaś tu po drabinie.

– Spadłam.

– Na jedno wychodzi.

- Naprawdę myślisz, że jestem odważna?
- Nie można ci tego odmówić.
- I nigdy nikomu nie powiesz... że krzyczałam, bo przestraszyłam się nietoperza?

Uśmiechnął się tylko.

- Ładnie wyglądasz, kiedy się uśmiechasz
- zauważyła.

Jego twarz natychmiast spochmurniała.

- Obiecuj, że nikomu nie powiesz – poprosiła.
- Słowo honoru.

Przymknęła oczy uspokojona. Kiwa nie wydawała się jej już tak groźna jak wcześniej. Teraz Emma miała wrażenie, że znalazła się w dziwnym, zupełnie dla niej nowym świecie – niemal bajkowym i bardzo odległym od królestwa, w którym obowiązywały zasady jej matki.

Tutaj nie była po prostu jedną z bliźniaczek, nie nosiła nazwiska Shayne. Była sobą, a Greywolf był jej przyjacielem. Jej, i wyłącznie jej, przyjacielem. Zbyt wiele dla niej znaczył, by chciała się nim dzielić z kimkolwiek – nawet z Karą.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dlaczego tak długo trzeba było czekać na śmierć?

Noga pulsowała z bólu.

Śmierć bliskich zmieniła serce Greywolfa w kamień. Leżał w tej jamie przypominającej grobowiec niczym żywy trup, czekając na koniec. A potem pojawiła się ona... dziewczyna o rudych włosach... dziewczyna z jego wizji.

Nasłuchiwał jej chrapliwego oddechu i czuł dreszcze przelatujące mu po plecach. Była ranna, może nawet ciężko ranna. W jamie było zimno i duszno. Widział, że dziewczyna drży. Słyszał szczękanie zębami. Potrzebowała jedzenia, schronienia, magii białych lekarzy. Zeszła tu, by mu pomóc, i ten uczynek poruszył nawet jego stwardniałe serce.

Dziwne, że tak szybko zaczął go obchodzić jej los, choć prawie jej nie znał. Wiedział tylko, że pochodzi z bogatej białej rodziny, ze świata, z którym on nie miał i nie mógł mieć nic wspólnego. Ale jej obecność stanowiła dla niego pociechę. Miał wrażenie, że znał ją od urodzenia, a może jeszcze wcześniej.

A może to był dar od dziadka?

Wiatr zawył głośniej. Greywolf objął Emmę. Oczy miała zamknięte, a twarz nieruchomą. Była to ufna, otwarta twarz dziewczynki kochanej przez bliskich.

Musiał żyć, żeby ją uratować. Musiał żyć, choć wiedział, że oznacza to zgodę na niekończący się ból.

Wciąż miał przed oczami zakrwawione ciała rodziny. Widział je, gdy spał, a gdy się budził, ich twarze znów go witały. Widział zakrwawione dywaniki babci, rozrzuconą biżuterię ojca. Napastnicy niczego nie zabrali. Wszystko, co było w domu – zioła, przyprawy, żywność, ubrania, broń, pieniądze – pozostało na miejscu. Owce nadal pały się wokół domu.

Motywnym morderstwa nie był rabunek, tylko rasizm i ślepa nienawiść. Gdyby Mike był wtedy w domu, on również już by nie żył.

Nie był w stanie pochować ich jak należy. Uczynił to pośpiesznie, a potem długo leżał na twardej ziemi, obok kręgu popiołu z ogniska,

gdzie ojciec śpiewał mu kiedyś plemienne pieśni o Długim Marszu i uwięzieniu w Bosque Redondo. Już od dzieciństwa Mike wiedział, że kiedyś zostanie wojownikiem. Wojownicy byli ludźmi wielkiego serca i odwagi, mieli zahartowane dusze i ciała. Wojownicy nie tęsknili do śmierci.

A potem zaczęły wyć kojoty, zwabione zapachem krwi, i Mike poderwał się z ziemi, przerażony do szpiku kości. Strach kazał mu zbiec po czerwonych skałach w głębokie wąwozy rezerwatu, gdzie kiedyś pasał owce. Strach kazał mu opuścić jedyny dom, jaki znał, i szukać innego schronienia. Nie, nie zamierzał szukać rodziny białej matki, która go porzuciła, niemoralnej czarnowłosej wiedźmy, której imienia ojciec nigdy nie wypowiadał. Mówił tylko: „Zaczarowała mnie. Ona jest martwa... jest *chindi*.”

Zabrał ze sobą srebrne pudełeczko, pamiątkę po matce. Ojciec trzymał je ukryte głęboko w szufladzie. Teraz Mike włożył pudełeczko do swojej torby ze skóry jelenia. Dorzucił jeszcze kilka innych cennych rzeczy i trochę żywności.

Prawie nic nie pamiętał z długiej wędrówki przez skały i kaniony. Żywił się tym, co znalazł po drodze – dziką marchwią, dzikimi ziemniakami, owocami juki, piniowymi orzechami i jagodami. Od czasu do czasu napełniał manierkę brudną wodą z kałuży albo z zarośniętego stawu. Determinacja pchała go wciąż dalej i dalej, aż w końcu

znalazł się w jaskini pełnej czaszek. Potem zbiegał ze zbocza, szukając kryjówki przed lodowatym wiatrem, i wpadł do kiwy.

Szczebel drabiny załamał się pod jego ciężarem i Mike upadł na twarde podłoże. Miał złamaną kość i pokaleczone stopy. Okrągła kiwa sprawiała wrażenie grobowca, jakby został pochowany za życia. Głód i zimno wywołały halucynacje. Znów widział przed sobą stertę czaszek, miał wrażenie, że namalowane na ścianach pumy i duchy umarłych tańczą dookoła niego. Duchy ludzi, którzy zbierali się tu przed setkami lat.

Na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Naraz usłyszał nad głową jakieś głosy i uświadomił sobie, że umiera. Był przekonany, że są to głosy jego zamordowanych krewnych, którzy przyszli, by zaprowadzić jego ducha do podziemnego królestwa. Otworzył oczy i zobaczył stożek białego światła.

Po chwili światło zgasło. Rozległ się czyjś śmiech, a potem szepty:

– Nie mów mamie...

Duchy? *Chindi*?

Gdy wzrok na nowo przyzwyczał się do ciemności, Mike dostrzegł dwie identyczne twarze oświetlone blaskiem księżyca. Dwie małe czarownice o włosach jak płomień. Młodsze i mniejsze od niego, z wielkimi, ciemnymi oczami patrzyły na niego ze zdumieniem. Jedna z nich

chowała się w cieniu, a druga promieniała anielskim blaskiem. Czuł ciepło jej uśmiechu. Poznał ją natychmiast, to była dziewczyna z jego wizji. To ona go tu przyprowadziła.

Jej siostra miała oczy jak pomarańczowy żar, ale nie świeciły one własnym blaskiem.

– On jest brudny, okropny. Emma, zostaw go!

Emma. Gdy raz usłyszał jej imię, wiedział, że nie zapomni go już do końca życia. Nawahowie nie myślą i nie czują tak jak biali. Natychmiast zapamiętują wszystkie najważniejsze rzeczy.

Słyszał obok siebie szczękanie jej zębów i żałował, że nie ma koca, by ją okryć.

– Trzymaj się. Przyjdą po ciebie – szepnął.

Delikatnie odgarnął pasmo włosów z jej policzka. Sukienka dziewczyny pachniała bzem. Była piękna. Bogowie ofiarowali mu ją w darze, ale wiedział, że Emma nigdy nie będzie naprawdę jego. Biali i Nawahowie nie powinni się ze sobą mieszać. On sam był najlepszym dowodem prawdziwości tego twierdzenia.

Przymknął oczy, ale po chwili otworzył je gwałtownie, bo kiwa wypełniła się ostrym białym światłem. Ktoś świecił na nich z góry silną latarką.

– Emma! – zawołał kobiecy głos. – Emma!
Dziewczynka przetarła oczy.

– Mama?

Niepewnie zerknęła na Mike'a i zamilkła, za to

na górze, nad krawędzią kiwy, rozległ się zgiełk głosów. Patrzyły na nich nieznajome twarze, po ścianach ślizgały się światła latarek. Ktoś opuścił na linie paczkę z żywnością i obydwójce wreszcie mogli się posilić.

A potem spuszczonej aluminiowej drabinę. Jose, mężczyzna o czerwonej twarzy, zszedł na dół, wziął Emmę na ręce i ostrożnie wyniósł na powierzchnię. Mike znów został sam.

Kiwa bez niej wydała mu się pusta i zimna. Sięgnął obolałym ramieniem po plastikową butelkę, po czym przypomniał sobie, że Emma wypła resztę wody. A teraz już jej nie było. Wróciła do rodziny. Cieszył się, że zniknęła. Teraz mógł spokojnie umrzeć.

Naraz jednak ogarnął go paraliżujący strach. Nie chciał umierać – nie mógł umrzeć ze świadomością, że ona będzie żyła... bez niego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wstrząsana dreszczami Emma leżała na zimnej, kamienistej ziemi pod rozgwieżdżonym niebem, a dokoła niej tłoczyły się znajome i nieznajome twarze. Tylko Kara trzymała się w pewnej odległości. Matka jak zwykle przejęła kontrolę nad sytuacją. Przyklękła nad Emmą i przykryła ją grubym wełnianym kocem.

– On tam jest. Na dole – wymamrotała Emma niespokojnie. – Jest zmarznięty i sam, z duchami i nietoperzami.

– Jesteś bardzo dzielna, skarbie. Trzymaj się. Już tu leci helikopter, który zabierze cię do szpitala.

Matka nie potrafiła myśleć o niczym poza Emmą, a Emma o niczym poza Greywolfem.

– Nie chcę helikoptera. Chcę Greywolfa.

– Już dobrze, dobrze – łagodziała matka. Zmarszczyła czoło i spojrzała na ciotkę Zet. – Majaczy, biedne dziecko. Rozumiesz coś z tego, co mówi?

– Greywolf – szepnęła Emma przez wyschnięte gardło i przyjrzała się otaczającym ją twarzom. Kara stała o kilka kroków dalej niż pozostali, a obok niej chłopcy, Raymond i Sando. Ich twarze w półmroku wydawały się falować, jakby znajdowały się pod warstwą mętnej wody, a oczy błyszczały jak oczy nietoperzy. Emma krzyknęła głośno.

– Odsuńcie się wszyscy – nakazała matka.

– Greywolf... Proszę... proszę! – szlochała Emma.

Ale jej głos brzmiał zbyt słabo i nikt nie był w stanie jej zrozumieć. Po chwili jednak podeszła do niej ta słynna malarka, Indiana, i pogładziła ją po głowie palcami o zapachu kwiatów i werniksu. Miała niezwykle, wyraziste oczy, zielone, o intensywnym spojrzeniu. Miała jego oczy i patrzyła na Emmę z taką samą przenikliwością jak Greywolf. Te oczy widziały wszystko.

– Powiedz im, żeby go zabrali – szepnęła Emma z nagłym przyływem pewności siebie.
– Niech zabiorą Greywolfa!

Indiana znieruchomiała.

– Greywolfa? – powtórzyła z napięciem.

Emma skinęła głową.

Indiana podniosła się i podeszła do Frances.

– Dla własnego dobra najlepiej o nim zapomnij
– skrzywił się Raymond po wysłuchaniu tego, co powiedziała jego matka.

– Chłopak? Tam na dole? Jesteś pewna? – zapytała Frances ostrym tonem.

– Ten poszukiwany nastolatek ze szczepu Nawaho. Jest w kiwie – wyjaśniła Indiana.

– Właśnie o tym próbowałem wam powiedzieć. Może mieć jakieś piętnaście, szesnaście lat. I wygląda na to, że jest w kiepskim stanie – potwierdził Jose.

– Moje biedne dziecko spędziło tam tyle czasu z jakimś dzikusem?!

– Tak jak mówiłem, on jest ranny – rzekł Jose.

– Nie ma pani żadnych powodów, by podejrzewać go o coś paskudnego.

Frances złapała Stuarda za kołnierz.

– To wszystko twoja wina!

– Mówiłem przecież, że to był ich pomysł. Kara przez cały czas kłamała.

– Później z tobą porozmawiam – rzuciła Frances i pochylając się nad Emmą, przyłożyła chłodną dłoń do jej czoła. – Trzymaj się, skarbie. Nie myśl już o tym chłopcu.

– Ale on mnie przytulił, gdy przyleciały nietoperze!

– Dotykał cię?

– Chronił nas przed duchami. I dał mi prezent.

– Emmo, czy on dotykał cię tam, gdzie chłopcy nie powinni cię dotykać?

Emma skrzywiła się z frustracją. Jak matka mogła pomyśleć coś takiego! Ona jednak błędnie rozumiała grymas dziewczynki. Wzięła głęboki oddech i oznajmiła:

– Emmo, on jest... on nie jest w niczym lepszy od zwierzęcia. Musisz o nim zapomnieć, o tym, co ci robił... o wszystkim. Zapomnij o tym.

Emma mocno zacisnęła usta. Nikt na świecie nie mógłby sprawić, by zapomniała o Greywolfie.

Oddech Greywolfa stawał się coraz płytszy. Krępy Jose, który wyciągnął go z kiwy, nie grzeszył delikatnością. Mike był pewien, że ma złamane żebro, bo odnosił wrażenie, jakby przy każdym oddechu ktoś wbijał mu rozżarzony nóż w płuca.

Gdy położono go obok Emmy, jęknął, ale nie zwrócił głowy w jej stronę. Świadom spojrzeń, jakimi go obrzucano, wiedział, że lepiej nie okazywać żadnego zainteresowania białą księżniczką.

– Nie pozwólcie mu umrzeć – szepnęła cicho Emma.

Jej matka pochyliła się nad nim i powiedziała cicho:

– Wiem, co zrobiłeś, i jeszcze tego pożałujesz.

Ton jej głosu i wyraz twarzy sprawiły mu więcej bólu niż połamane żebra.

– Greywolf – jęknęła Emma.

Leżał zupełnie nieruchomo i patrzył w rozgwieżdżone niebo, chwytając w płuca świeże powietrze. Był zupełnie wyczerpany.

Emma zaczęła szlochać.

– Nienawidzisz mnie? – wyszeptwała ledwo słyszalnie.

– Tak. Tak. Tak.

– Greywolf, proszę... nie zachowuj się tak!

– Zamknij się – mruknął ponuro.

Kara przyglądała się im z odległości kilku kroków.

Naraz rozległ się głośny warkot i na tle ciemnego nieba pojawiła się sylwetka helikoptera. Nim jeszcze maszyna dotknęła ziemi, wyskoczyła z niej dziewczyna w białym kitlu. Podbiegła do Greywolfa, przykucnęła przy nim i przyłożyła do jego nagiej piersi zimny stetoskop.

– A więc to ty jesteś ten słynny Mike Greywolf – zaśmiała się. – Szukaliśmy cię już od dawna! Masz dobry puls. Przeżyjesz.

Pomyślał o ścieżce krwi ciągnącej się od drzwi domu i przymknął oczy.

W kilka tygodni później nie mógł uwierzyć, że wreszcie wyplątano go z sieci kroplówek. Zet przyjechała po niego zakurzoną, poobijanym brązowym samochodem i zabrała go na swoje ranczo o nazwie La Golindrina. Dom był pełen psów, kotów, papug i kwiatów.

Frances, więcej niż niechętna jego obecności, wysłała do rezerwatu wiadomość o miejscu jego pobytu wraz z prośbą, by ktoś go zabrał. Ale plemię przysłało po niego dziwną Mabel Blackgoat, szamankę i wróżbitkę. Mabel lubiła jeździć po całej okolicy autobusem, kupując i sprzedając różne rzeczy po drodze. Kiedyś wyruszyła w podróż z piętnastoma bębenkami i po długiej wędrówce przywiozła do domu dwie krowy i młode pumy.

Tym razem wysiadła z autobusu z workiem czarnej ceramiki. Przyjrzała się Greywolfowi, a potem obydwie z Zet zasiadły na werandzie obok krzaków bzu, pod pnączami wisterii, nad dzbankiem chińskiej zielonej herbaty zaparzonej z jakimiś cuchnącymi ziołami. Obydwie ujrzały w wydobywających się z dzbanka oparach niewyraźną, świetlistą postać z głową orbitującą dookoła ciała niczym malutki, błękitny księżyc. Ten potężny duch powiedział im, że Greywolf powinien pozostać pod opieką Zet, a rodzina Shayne jest jego przeznaczeniem. Duch przekonał również Zet, że powinna kupić do swojego sklepu cały zapas ceramiki przywiezionej przez Mabel.

– Wizja? Jesteś taką samą wariatką jak ona – obruszyła się Frances, gdy Zet opowiedziała jej o wszystkim i po raz pierwszy Greywolf musiał się z nią zgodzić. W każdym razie, Mabel odjechała autobusem bez „dzikusa”.

Zet, nieporuszona, nadal spokojnie grabiła żwir w swoim ogródku zen, na skraju którego dumnie stało dwadzieścia lśniących, czarnych dzbanów.

– Gdybyś widziała tego ducha, zrozumiałabyś, o czym mówię – odrzekła tylko.

– Ta herbata chyba ci zaszkodziła.

– Bałabym się oddać teraz chłopca.

– Nie możesz przecież dopuścić do tego, żeby jakaś halucynacja rządziła twoim życiem. Popelniasz poważny błąd! Wiem, kto ci płaci, kto za tym stoi...

– Polubiłam tego chłopaka. Zawsze zazdrościłam ci, że masz dzieci. Dla mnie Greywolf jest cudownym darem. Może na razie wydaje się trochę nieokrzesany, ale przy odrobinie serca zmieni się nie do poznania. I jest utalentowany. Widziałaś jego rzeźby? Rysunki? To piękna, czysta dusza.

– Robisz to specjalnie, żeby mnie zdenerwować.

– Tu nie chodzi o ciebie. Moje zwierzęta też go lubią, podobnie jak twoje konie. To ty masz problem, bo kierujesz się w życiu poczuciem strachu, a ja miłością.

– Kocham moją córkę.

– Raczej boisz się o nią.

– W tej kwiwie robił Emmie takie rzeczy...

– Jakie rzeczy?

– Paskudne. Brudne.

– A skąd o tym wiesz?

– Od Emmy.

– Nie wierzę, że byłby do tego zdolny. Nie wierzę, że Emma tak powiedziała. Przez cały czas bardzo się o niego troszczy.

– Emma, tutaj?! Musisz jej zabronić tu przychodzić, rozumiesz? Nie pozwolę, żeby się z nim kontaktowała! On jest nikim!

– Jest biedny – sprostowała Zet. – Jest Indianinem. I dlatego jest nikim dla ciebie.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Jeśli go tu zatrzymasz, przestanę z tobą rozmawiać.

Zet uderzyła grabiami o ziemię tak mocno, że okruchy żwiru rozprysnęły się dokoła.

– Dobrze. Niech tak będzie.

Posąg w ogródku przewrócił się. Trzasnęły drzwi od domu, a potem drzwiczki samochodu i rozległ się warkot silnika. Rozpoczęła się kolejna wojna między siostrami.

Emma powiedziała, że robił jej takie rzeczy?! Krew w skroniach Greywolfa dudniła głośno. Skoro tak, to dlaczego tak często tu przychodziła? Dlaczego przynosiła mu barwne piórka i kamyki, i jajko drozda, błękitne jak niebo?

Rozgniół skorupkę w rękę i wraz z pozostałymi prezentami wyrzucił do ogrodu.

Gdy wieczorem Zet w starym filcowym kape-

luszu i przezroczytym szlafroczką w wielkie kwiaty przyniosła mu kolację, ciągnąc za sobą tuzin kotów wszelkiej maści, odsunął na bok tacę. Zet przygotowała zupełną jarzynową, chleb domowego wypieku, jabłka, pomarańcze i orzechy.

- Chcę wrócić do domu.
- Tu jest twój dom.
- Kto ci płaci za mój pobyt?

Zet nie zamierzała odpowiadać na to pytanie.

Tłusty żółty kocur wskoczył na łóżko i przewrócił się na grzbiet. Miał wielki brzuch, ale przenikliwe spojrzenie.

- To nie jest moje miejsce.
- Ale będzie.

Następnego ranka, leżąc w wielkim łóżku z baldachimem w towarzystwie trzech tłustych kotów, śnił o bliźniaczkach. Ich identyczne twarzyczki otoczone były rudymi lokami. Zawsze wkradały się do jego pokoju, gdy myślały, że śpi. Kara tylko na niego patrzyła, a Emma wsuwała mu prezenty pod poduszkę albo kładła je na stoliku obok łóżka. Ich sylwetki rozmywały się, zlewały ze sobą, aż w końcu zostawała tylko jedna – Emma.

- Greywolf – szeptały. – Śpisz?

Nie. To był tylko jeden głos, głos Emmy.

Otworzył oczy i zobaczył ją. Zerknęła na niego spoza zasłony łóżka. Pod kocem był zupełnie nagi.

Poczuł nagłą wściekłość. Jego rodzina nie

żyła, a jego samego sprzedano jak niewolnika ciotce Emmy. Był wściekły, że Emma najpierw uchroniła go przed szaleństwem sprowadzanym przez duchy, a potem opowiadała o nim obrzydliwe kłamstwa.

– Greywolf – uśmiechnęła się.

– Idź stąd.

Zasłona opadła. Żółty kocur przeciągnął się i zahaczył o nią końcem pazura, robiąc szczelinę, przez którą Greywolf znów zobaczył Emmę. Stała na palcach i wlewała wodę do szklanki na stole.

– Dlaczego jesteś na mnie wściekły? Dlaczego wyrzuciłeś wszystko, co ci przyniosłam...

– Idź stąd i nie wracaj więcej!

– Dlaczego?

Przed domem rozległ się warkot samochodu Frances. Trzasnęły drzwiczki, a potem ona sama wpadła do środka, wołając głośno:

– Gdzie ona jest?

– Przecież nie rozmawiamy ze sobą – odkrzyknęła Zet na cały głos.

– Masz coś, co należy do mnie...

– Chodzi ci o Emmę? Nie widziałam jej.

– Bo ty w ogóle na nic nie zwracasz uwagi!

– Jestem zajęta w ogrodzie. Podleвам groszek i fasolę.

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że w tych spódnicach w wielkie pomarańczowe kwiaty wy-

glądasz okropnie grubo? I ten kapelusz. Przygniata ci włosy i...

– Tak, ty mi to wielokrotnie mówiłaś!

Greywolf nie spuszczał wzroku z Emmy, która desperacko rozglądała się po pokoju, szukając jakiegoś ukrycia.

– Jeśli mama mnie tu znajdzie...

– Będiesz miała to, na co sobie zasłużyłaś.

Może to nauczy cię trzymać się ode mnie z daleka.

Ale gdy zaczęła drżeć, zrobiło mu się jej żal.

W końcu poddał się.

– Tutaj – powiedział, unosząc skraj koca.

Na widok jego nagiego brązowego ciała Emma znieruchomiała. Greywolf zaklął pod nosem i uśmiechnął się złośliwie.

– Naprawdę myślisz, że zrobię ci to wszystko, o czym opowiadałaś matce?

– Ale ja nie...

Za drzwiami słychać już było kroki matki. Emma szybko wsunęła się pod koce. Greywolf ledwie zdążył odsunąć ją od siebie i przykryć ich obydwójce dokładnie, gdy Frances wpadła do pokoju jak burza.

– Gdzie ona jest?! – wykrzyknęła, jednym ruchem rozsuwając zasłony.

Żółty kocur i jego towarzysze patrzyli na nią leniwie. Greywolf ziewnął. Choć Emma leżała na drugim końcu łóżka i nie dotykali się, czuł ciepło jej ciała.

– O co chodzi? – zapytał.

– Szukam Emmy – oznajmiła, chwytając za krawędź koca.

– Ostrożnie. Nie mam piżamy i...

Znieruchomiała, w jej wzroku błysnęło oburzenie.

– Ty naprawdę jesteś dzikusem!

– Przepraszam, ale pilnie potrzebuję pójść do łazienki.

Zrobił ruch, jakby chciał wstać. Frances natychmiast wybiegła z pokoju. Emma zachichotała pod kocami.

– Niech to diabli – powiedział Greywolf cicho. – Jeśli nie przestaniesz tu przychodzić, to zabiją nas oboje. A teraz uciekaj i nie wracaj. I nigdy, przenigdy nie wchodź do łóżka żadnego innego mężczyzny... bo naprawdę zrobi ci te rzeczy, które podobno ja ci zrobiłem.

– Ale...

Usłyszeli odjeżdżający samochód Frances.

– Nie chcę cię tu widzieć, rozumiesz?

Emma wyplątała się spod koców.

– Ale Greywolf...

– Rozumiesz czy nie? – powtórzył surowo.

W jej oczach błysnęły łzy.

– Szkoda, że nie zjadły cię te nietoperze – odparowała, krzyżując ramiona na piersiach.

– Ja też żałuję – odrzekł obojętnie.

– Jesteś podły. I źle wychowany. Uratowałam

ci życie. Ale ty nie potrafisz dziękować. Nie podziękowałaś mi.

– Właśnie przed chwilą uchroniłem cię przed matką, więc rachunki są wyrównane. Nie możemy być przyjaciółmi. Ty jesteś biała, a ja nie. Jasne?

– A gdzie jest napisane, że musimy się przez to nienawidzić?

– Po prostu tak jest, i już. Zapytaj matki.

Zapadło długie milczenie. Emma patrzyła na niego z niezrozumieniem.

– Nigdy nikogo nie lubiłaś? W jaskini myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi – szepnęła wreszcie i ukryła twarz w prześcieradle.

Greywolf pochylił się nad nią i dotknął jej włosów.

– Nie jesteśmy już w jaskini. Nie możemy się lubić ani przyjaźnić. Widziałem mojego tatę... zastrzelonego. Chciałem wtedy uciec, ukryć się przed ludźmi takimi jak ty. Chciałem zostać sam i umrzeć. Ty mnie znalazłaś. Powinienem cię za to nienawidzić.

Emma wstrzymała oddech, nie spuszczając oczu z jego twarzy.

– Do czego jestem ci potrzebny? Przecież masz mnóstwo innych przyjaciół – wybuchnął.

Z jej oczu popłynęły łzy.

– Boże, nie płacz – westchnął. Ujął jej twarz w obie dłonie i delikatnie otarł policzki.

– Wyrzuciłeś prezenty ode mnie – szepnęła. A ty kłamałaś, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

– Cieszyłem się, kiedy je przynosiłaś – mruknął niewyraźnie. – I nie wyrzuciłem wszystkiego. Zatrzymałem tego martwego żuka.

Roześmiała się przez łzy i Greywolf poczuł się lepiej.

– A teraz już idź. – Popchnął ją delikatnie do drzwi.

Nie poruszyła się, za to w progu stanęła Zet. Oparła ręce na szerokich biodrach i obrzuciła ich uważnym spojrzeniem.

– No proszę, Emma. Co się tutaj właściwie dzieje?

Mike znieruchomiał.

– Właśnie jej mówiłem, żeby sobie poszła, ale ona nie chce mnie słuchać.

– Uciekaj stąd, dziecko, i nie przychodź więcej. Greywolf jest dla ciebie za stary i za bardzo... Twoja matka go nie lubi, a ona jest potężną kobietą. Jeśli będziesz tu przychodzić, to znajdzie sposób, żeby się go pozbyć.

Emma odwróciła się na pięcie i wybiegła. Greywolf poczuł dziwną pustkę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy Mike poczuł się lepiej, nie mógł się nadziwić, jak wiele przedmiotów posiadają biali ludzie. Nawet Zet, która miała ich na ranczu o połowę mniej niż Frances w swojej posiadłości.

Na początku interesowało go wszystko, co miało jakiś związek z elektrycznością oraz woda bieżąca, która płynęła prosto z kranu w ścianie. Zet miała również mnóstwo ubrań upchniętych w malutkich pokoikach, które nazywała szafami. I było tu mnóstwo pomieszczeń – sypialnie, łazienki, salony, jadalnie, a także kuchnia. W kuchni było pełno naczyń, a jeszcze więcej w jadalni. Całe góry naczyń różnych kształtów i w różnych kolorach. Porcelana w jadalni i zwykła ceramika w kuchni.

Biali ludzie myśleli po angielsku. Używali

długich słów, których nie rozumiał. Czytali szybko, po cichu, nie poruszając wargami. Po raz pierwszy w życiu Mike uświadomił sobie, jak bardzo jest biedny i niewykształcony. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z przepaści, jaka istniała między tymi dwoma światami. Między jego światem a światem Emmy. Inaczej teraz patrzył na śmierć ojca, na jego troski, a także na jego mądrość. Utalentowany projektant biżuterii pokochał bogatą białą kobietę, ale rozumiał, że musi zwrócić jej wolność.

Niektóre rzeczy wyglądały jednak tak samo w obydwu światach. Zet uprawiała warzywa, tak samo jak jego babcia. Miała szczep winorośli, który wydawał bardzo słodkie, niebieskozielone owoce. Sama robiła wino i piekła chleb.

Zwierzęta też były takie same. Koty, psy i oswojone wrony Zet szybko się z nim zaprzyjaźniły. Czuł się samotny, więc karmił je, głaskał i mówił do nich. Pomagał Zet przy bydle, ale nad wszystko pokochał konie. Choć Frances wielokrotnie powtarzała mu, by się do nich nie zbliżał, nie potrafił trzymać się z daleka.

Na początku Frances wyganiała go ze stajni, ledwo go tam zobaczyła. Zapomniała nawet, że nie rozmawia z siostrą i okropnie się z nią pokłóciła. Potem jednak stajenny Frances zrezygnował z pracy i Frances przestało przeszkadzać, że Mike czyści jej ulubione araby i rozmawia

z nimi. Zaraz po Emmie te konie były istotami, które kochała najbardziej.

Pewnego popołudnia weszła do stajni i zdumiała się, widząc Mike'a w boksie Rio. Rio był dziki i nieujeżdżony, teraz jednak stał zupełnie nieruchomo, trzymając tylną pęcinę w wiadrze z ciepłą wodą.

– Co ty robisz? – szepnęła Frances z osłupieniem. – On cię rozerwie na strzępy!

– A ma pani coś przeciwko temu?

– Wynoś się stąd!

– Ciszej, bo się wystraszy. Ma skaleczoną pęcinę i jest trochę rozdrażniony, bo próbowałem wyczyścić ranę.

– I pozwolił ci na to?!

Naraz wiatr otworzył drzwi. Do stajni wleciał giez i zatoczył krąg tuż przed oczami ogiera. Rio stanął dęba, przewracając wiadro. Kopyto poślizgnęło się na metalu i koń przewrócił się na bok, rżąc z przerażenia.

Greywolf łagodnie poklepał go po szyi.

– Spokojnie, stary. To tylko giez.

Rio z wysiłkiem podźwignął się, ale nadal był zdenerwowany. Frances po prostu osłupiała z wrażenia, gdy Mike uspokoił go kilkoma łagodnymi słowami.

– Mój Boże! – zawołała. – On jest ci posłuszny jak dziecko!

– Długo trwało, zanim zdobyłem jego zaufanie.

Znów napełnił wiadro wodą i bez trudu nakłonił konia, by zanurzył w niej kopyto.

– Niezły jesteś – mruknęła Frances.

– To nic trudnego. Koń ma taką naturę, że jeśli się go do czegoś zmusza, to stawia opór. Ja traktowałem go łagodnie, więc przestał ze mną walczyć.

Po kilku minutach Greywolf zabrał wiadro, poklepał Rio i dał mu jabłko.

– Trzymaj się z dala od Emmy – ostrzegła go Frances. – Wiem, co jej zrobiłeś. I co zrobiłbyś jeszcze raz, gdyby tylko nadarzyła się okazja.

– Naprawdę? – zapytał pogardliwie, nie próbując nawet powiedzieć nic w swojej obronie.

To tylko utwierdziło ją w dotychczasowych przekonaniach. Oddała mu spojrzenie pełne złości i rzuciła:

– Możesz przychodzić do stajni, kiedy tylko zechcesz. Ale nie zbliżaj się do domu. Nigdy. Rozumiesz?

Bez słowa podniósł wiadro i zgrzebło Rio, odwrócił się do niej plecami i wyszedł.

Emma o wiele bardziej interesowała się teraz Greywolfem niż Kara, ale musiało to pozostać jej tajemnicą. Mogła pisać o tym w swoim pamiętniku, wiedziała jednak, że nie wolno jej z nikim rozmawiać na ten temat. Gdy nikt jej nie widział, potajemnie śledziła Greywolfa. Wzięła sobie do

serca słowa ciotki Zet i była pewna, że gdyby matka się o tym dowiedziała, znalazłaby sposób, by wysłać go gdzieś daleko.

Zadziwiła ją to, jak łatwo pozyskiwał zaufanie zwierząt. Jeśli nie zamknął drzwi do swojej sypialni, wszystkie koty właśnie tam lubiły ucinąć sobie drzemkę. Jeśli je zamknął, zwierzaki przez całą noc drapały pazurami, próbując sforsować tę przeszkodę. Ledwie wyszedł na dwór, formował się za nim orszak psów, a gdy stanął przy pastwisku i zawołał któregoś konia po imieniu, ten natychmiast zwracał łeb w jego stronę i podchodził bliżej. Greywolf obejmował go za szyję, głaskał i czasami dosiadał na oklep. Emma zazdrościła koniom uwagi, którą im poświęcał.

Kara wyczuwała fascynację siostry i odnosiła się do niej z najwyższą niechęcią. Często próbowała ośmieszyć Greywolfa w oczach Emmy, ta zaś musiała udawać, że jest jej to obojętne. Nie broniła go także przed krytyką matki ani nie przytakiwała ciotce Zet, która nieustannie wychwalała pod niebiosa umiejętności chłopaka. Emma pragnęła zadowolić wszystkich, musiała więc chronić swoje uczucie przed niechęcią i zazdrością innych. Tajemnice uwalniają duszę; wszyscy więźniowie znają ich moc. Wolność wewnętrzna była jedynym dostępnym Emmie rodzajem wolności.

Pamiętała wszystkie chwile spędzone w kiwie, pociechę, jaką czerpała z jego mocnych ramion. Nie zapomniała również, że Kara zostawiła ją tam, by czekała na śmierć, i nikomu nie powiedziała, co się stało. O tym wszystkim pisała w swoim pamiętniku.

Greywolf szybko rósł i dojrzewał. Stawał się również coraz przystojniejszy. Miał silne ramiona i twarz, na widok której kobiety wpadały w zachwyty.

Emma opisywała w pamiętniku swoje marzenia. Marzyła o tym, że Greywolf kiedyś weźmie ją w ramiona, będzie całował i kochał ją tak, jak ona kochała jego. Miał bystry umysł i dobrze sobie radził w szkole, szczególnie z matematyką i biologią. Był również artystą. Emmie podobały się figurki, które rzeźbił w drewnie i kamieniu. Rysował i malował, ale mówił niewiele. Przejął też większość obowiązków na ranczu.

Z jego oczu nigdy nie znikał dziwny, tęskny wyraz. Emma wiedziała, że Greywolf nie zapomniał swojej zamordowanej rodziny. Pewnie to dlatego skóra na jego twarzy była zawsze mocno napięta. Emma modliła się za niego co wieczór.

Lata mijały, a oni obydwójce wciąż obserwowali się z oddali, nie zdając sobie w pełni sprawy z rozmiarów kielkującej w nich napiętności. Tylko raz, gdy Emma miała nieco ponad szesnaście lat, była bliska ujawnienia przed nim

swych uczuć. Greywolf wyrzeźbił dla niej ptaszka. W podzięcie zarzuciła mu ramiona na szyję, a on ją pocałował. Był to nieśmiały, drżący, pierwszy pocałunek. Zaraz potem Greywolf uciekł, a potem obydwójce przez dłuższy czas próbowali się unikać.

Tymczasem życie Kary zmieniło się na gorsze od chwili, gdy zostawiła Emmę samą w kiwie. Choć wszyscy pragnęli uwierzyć, że zrobiła tak, bo była jeszcze dzieckiem, i najlepiej wymazać całą sprawę z pamięci, jednak jej uczynek nie został zapomniany. Kara obwiniała za to Emmę i Greywolfa.

Pewnego dnia znalazła pamiętnik Emmy. Oszalała z zazdrości o tę niepojętą fascynację siostry i postanowiła ją zniszczyć. Najpierw zaatakowała bezpośrednio Greywolfa.

– To była twoja wina, że ona wpadła do tej kiwy, a ja miałam przez to kłopoty – oskarżyła go.
– Jeśli sobie stąd pójdziesz, zapomną o wszystkim i będzie po sprawie.

– Kłamiesz, żeby ukryć własne kłamstwa
– odrzekł krótko.

Na jakiś czas Kara zapomniała o pamiętniku. Interesowała się już chłopcami i była wobec nich bardzo śmiała, w przeciwieństwie do delikatnej Emmy. Próbowwała flirtować z Mikiem, by zrobić na złość siostrze. Inne dziewczyny również nie pozostawały wobec niego obojętne.

Wreszcie Mike wyjechał na studia i został dobrze zapowiadającym się rzeźbiarzem. Jego prace zdobywały nagrody. Emma była z niego dumna, ale zarazem pełna obaw, że coraz bardziej oddala się od niej.

Miała siedemnaście lat i bardzo za nim tęskniła, gdy był w szkole, ale kiedy wracał do domu, było jeszcze gorzej. Mieszkał teraz na strychu nad stajnią. Dzielił swój czas między rzeźbienie, dogłądanie zwierząt i... Karę, która nie odstępowała go nawet na krok. Nie chodził nigdy na płaskowyż, nie zapuszczał się w ruiny, gdzie, w jego przekonaniu, nadal przebywały duchy zmarłych, natomiast Kara często odwiedzała to miejsce. Wspiwała się po skałach i zostawała tam przez całe popołudnie.

Na pozór identyczne bliźniaczki wydawały się nierozłączne; w gruncie rzeczy żyły jednak w dwóch różnych światach. Frances wyczuwała, że przepaść między nimi pogłębia się, gdy Greywolf jest w domu, i żałowała, że nie umie cofnąć czasu. Wolałaby, aby jej rodzina była taka jak przedtem, przed wydarzeniem, które zburzyło spokój ich uporządkowanej egzystencji.

– Greywolf jest już dorosły i ma swoje życie. Dla was to tak, jakby przestał istnieć – powiedziała kiedyś do córek.

Ale istnieje, pomyślała Emma. Nawet jeśli fizycznie często był nieobecny, to stanowił cent-

rum jej świata. Szczególnie wtedy, gdy przyjeżdżał do domu na wakacje albo weekendy i pomagał Zet przy zwierzętach. Emma żyła jego przyjazdami, choć Kara sprawiała, że były one dla niej torturą. Gdy Greywolf znów zniknął, pragnęła, by wrócił jak najszybciej, choć wiedziała, że będzie musiała znosić widok narzucającej mu się Kary.

Kara nabierała coraz większej wprawy we flirtowaniu i z wyjątkiem Raymonda Parsonsa, który, jak głosiły plotki, był przyrodnim bratem Mike'a, uporczywie wybierała niewłaściwych mężczyzn. Szybko wpadała w złość. Gdy Mike pojawiał się w domu, zostawiała wszystkich przyjaciół i bezwstydnie czepiała się go jak rzep. Kiedyś nawet stało się to powodem bójki Mike'a z Raymondem.

Pewnego sobotniego wieczoru, gdy Mike był w domu, a Kara jak zwykle kręciła się blisko niego, Emma uciekła do swojego pokoju, by się wyżalić na stronach pamiętnika. Ale zielonego zeszytu nie było na miejscu. Przypomniała sobie, że zabrała go wcześniej na drzewo obok huśtawek. Jednak chociaż szukała wszędzie, pamiętnik przepadł jak kamień w wodę.

Nieco później zobaczyła Mike'a i Karę wracających ze spaceru po pustyni. Kara włożyła swą najładniejszą sukienkę w lawendowym kolorze. Jej oczy błyszczały, a policzki były zaróżowione.

Na widok Emmy uśmiechnęła się i objęła Mike'a ramionami w pasie.

Serce Emmy ścisnęło się boleśnie. To był jej Greywolf. To ona go znalazła i ocaliła mu życie.

Greywolf zatrzymał się i popatrzył na Karę, a potem na Emmę. Jednocześnie wzrok Emmy zatrzymał się na zielonym zeszytce, który Mike miał w ręku.

Mike próbował strząsnąć z siebie ramiona Kary i błyskawicznie ukrył zeszyt za plecami, ale było już za późno. Emma zrozumiała, że on wie – wie wszystko. Kara ukradła jej pamiętnik. Zapewne czytali go razem, zaśmiewając się z jej marzeń.

– Właśnie cię szukałem – powiedział Mike z napięciem.

Spojrzenie Emmy zlodowaciało. Miała wrażenie, że stoi przed nimi zupełnie naga.

– Obydwoje jesteście wstrętni – wykrztusiła i jednym ruchem wyrwała pamiętnik z ręki Mike'a.

– Przepraszam – szepnął bezradnie. Oczy Kary błyszczały triumfem. Mike patrzył na zastygłą twarz Emmy i miał wrażenie, że on sam również zmienia się w kamień.

– Przestań się tak na mnie gapić! – wykrzyknęła. – Idź sobie!

– Chyba pójdę – odrzekł z pociemniałą twarzą. Odsunął Karę i ruszył w stronę stajni.

Tego wieczoru Emma nie zeszła na kolację, a gdy Kara zajrzała do jej sypialni, zacisnęła mocno powieki, udając, że śpi. Kara przez chwilę hałaśliwie poruszała się po pokoju, aż w końcu powiedziała:

– Przestań się boczyć. Lepiej, że on wie. Wyświadczyłam ci przysługę.

Emma nie odpowiedziała.

– Chcesz wiedzieć, co jeszcze robiliśmy na pustyni? – zaśmiała się Kara. – Coś o wiele przyjemniejszego niż czytanie twojego pamiętnika.

Emma pragnęła umrzeć.

Kara lekko wzruszyła ramionami.

– Pocałował mnie. Tak. Całował mnie wiele razy. Jest w tym dobry.

– Nie chcę tego słuchać – wykrztusiła Emma.

– Taki mężczyzna jak on nie może się obejść bez kobiety.

– Po co mi to mówisz?

– Żebyś wiedziała, jaki on jest. Na pewno nie taki, jak opisywałaś w tym głupim pamiętniku. Wcale go nie znasz. Ja znam go o wiele lepiej.

Emma zerwała się na nogi i jak strzała wypadła z pokoju. Zbiegła po schodach i mocno trzasnęła drzwiami. Gdzie miała się teraz ukryć?

Niespodziewanie Mike wysunął się z cienia. Był niewiarygodnie przystojny i Emma zdała sobie sprawę z naiwności swoich marzeń. Nawet

nie przemknęło jej przez myśl, że czekał tu na nią. Wyminęła go obojętnie, ale zatrzymał ją i spytał:

– Emmo, dobrze się czujesz?

– Wspaniale. Uwielbiam wprost czuć się upokorzona.

– Nie wiedziałem, że to twój pamiętnik. Nie od razu...

– Ale przeczytałeś.

– Nie umiałem się powstrzymać – rzekł dziwnym, pełnym napięcia głosem.

– Więc dlaczego nie jesteś teraz z Karą?

Greywolf zrównał się z nią.

– Bo może wolę być z tobą...

– Po co? – szepnęła. – Przecież myślisz, że jestem głupia.

– Mylisz się.

Miała ochotę rzucić się w jego ramiona, ukryć głowę na jego piersiach, objąć go mocno i nigdy już nie wypuścić. Ale wystarczająco się już przed nim wygłupiła. Nie chciała, by teraz jeszcze umarł ze śmiechu.

– Nie, to ty się mylisz! – odparowała. – Popętniłeś błąd, robiąc to, co zrobiłeś!

– W takim razie wybac mi, proszę.

– Nigdy! – zawołała ze szlochem i uciekła do sadu.

Była zdziwiona, że znów za nią poszedł. Zawołał ją po imieniu, ale nie zareagowała.

– Emmo, czy moglibyśmy przynajmniej porozmawiać... o tym, co tam napisałaś?

– Pisałam dla siebie, nie dla ciebie. A na pewno nie po to, żebyś to czytał razem z Karą.

– Boże drogi, Emmo... Chcesz wiedzieć, jak się teraz czuję?

Między drzewami widziała jego zaciętą twarz. Serce ścisnęło się jej boleśnie. Wiedziała, co on czuje. Kara jej powiedziała. Wzięła głęboki oddech i milczała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Musiła się dowiedzieć, co miał jej do powiedzenia! Następnego ranka, ledwie niebo nad stajnią pojaśniało, Emma wyszła z domu. Był chłodny, jesienny ranek. Od strony pustyni wiał orzeźwiający wiatr. Przeszył ją dreszcz; zastanawiała się, czy to wszystko tylko jej się śni.

Większą część nocy spędziła na rozmyślaniach i teraz czuła się wyczerpana. W końcu zebrała się na odwagę, przekroczyła podwórze i teraz stała przed drzwiami Mike'a, nie mając odwagi zapukać. Wreszcie pchnęła je lekko. Drzwi natychmiast się uchylły. Za nimi panował mrok.

Smuga światła zza okna padała na puste łóżko z pomiętą pościelą. Drewniana podłoga skrzypiała przy każdym kroku. Emma podniosła poduszkę i przyłożyła ją do twarzy, wdychając zapach

Greywolfa, a potem nagle padła na łóżko i przykryła się kołdrą aż po samą brodę. Przypomniała sobie, że już kiedyś leżała w jego łóżku – ale wtedy on również tam był.

Obok łóżka piętrzył się stosik książek o sztuce. Przekartkowała jedną i spomiędzy stronic wypadły rysunki. Dwie twarze, podobne, a jednak zupełnie inne – ona i Kara. Jej twarz była piękna, Emmie jednak wydała się nijaka w porównaniu z posępnym mrokiem, jaki emanował z tej drugiej. Kara...

Emma odłożyła rysunki na bok i wstała, patrząc na wszystkie przedmioty, których Greywolf dotykał. Rzeźby zwierząt, znalezione na pustyni kamyki, kości i pióra. Miał także pistolet, co ją zdziwiło. Naładowany.

Na koniec weszła do łazienki. Na podłodze leżał mokry ręcznik. Podniosła go i przetarła twarz. Miała ochotę zabrać go ze sobą, ale w chwili, gdy zakiełkowała w niej ta myśl, usłyszała na dole rzenie koni. Pośpiesznie powiesiła ręcznik na wieszaku i uciekła na ranczo ciotki Zet. Wślizgnęła się do kuchni pachnącej drożdżami. Ciotka piekła chleb. Włosy miała splecione w gruby warkocz. Dokoła niej kręciły się koty. Na kuchennym blacie piętrzyły się stosy gazet, które Zet zamierzała kiedyś przeczytać, brudnych kubków, spodków, wycinków z katalogów i przepisów kulinarnych. W doniczkach przy drzwiach

stały zioła, które już dawno należało wysadzić do ogrodu.

Emma wzięła się do zmywania naczyń, rozmawiając z ciotką o wszystkim i o niczym. Zet tymczasem wyjęła chleb z pieca i przygotowała kanapki. Napełniła plastikowe pojemniki świeżo przygotowanym chili, zawinęła chleb w folię aluminiową i poprosiła Emmę o zanieśenie lunchu robotnikom. Emma zazwyczaj nie przepadała za towarzystwem kowbojów, ale musiała znaleźć Mike'a.

Zanim dotarła do pastwisk Camp Bonito, była kłębkim nerwów. Kowboje ładowali właśnie część bydła do przyczep. Robili przy tym tyle hałasu i zamieszania, że dopiero po dłuższej chwili Emma odnalazła wzrokiem Mike'a. W roboczym dżinsowym ubraniu stał w szerokim rozkroku na pomoście nad przerdzewiałą metalową rampą, od czubka skórzanych butów aż po ciemną głowę pokryty czerwonym kurzem. Południe jeszcze nie nadeszło, ale panował upał i kapelusz Mike'a był mokry od potu. Stojąc tak wysoko, mógł dokładnie przyjrzeć się każdemu zwierzęciu. W tej chwili przycinał róg jednej z krów. Zwierzę ryczało przejmująco, z wystawionym jęzorem i oczami uciekającymi w głąb czaszki. Gdy róg odpadł, ze środka wypłynęła krew, tryskając na koszulę Mike'a.

Stojący obok Randy Lee szybko zrobił krowie zastrzyk.

– Powoli – poradził mu Mike, poklepując zwierzę – nie trzeba jej już więcej stresować.

Następnie Frank otworzył trójkatne wrota i Lucy, czekoladowa labradorka Mike’a, z głośnym szczekaniem podbiegła do otepiatej krowy, która powoli wychodziła z zagrody.

– Lucy, wracaj tutaj! – zawołał Mike.

Pies podbiegł posłusznie, ale po chwili znów zaniósł się szczekaniem, gdy na rampę wprowadzano kolejną krowę. Rozległ się kolejny donośny ryk, gdy Randy Lee wsunął w nią rękę aż po łokieć, sprawdzając, czy jest cielna.

– *Whora!* – wrzasnął hiszpańskim dialektem z pogranicza. – *Pocho!*

Ramię, które wyciągnął, było aż po łokieć pokryte oślizłą mazią. Krowa miała być ponownie zapłodniona, a jeśli była już na to za stara, to przerobiona na hamburgery.

Nazywało się to „praca z bydłem”. Emma nie cierpiała tej części obowiązków na ranczu. Bez względu na to, co twierdziła ciotka Zet, wydawało jej się to okrutne, nieludzkie. Jednak Mike i kowboje uwielbiali te zajęcia. Emmę dreszcz przeszywał na sam widok noży, ręcznych pił, strzykawek i pudełek ze szczepionkami.

Randy wetknął rękę w następną krowę.

– *Buena vaca* – mruknął. Dobra krowa.

Następne dwie też były „dobre”. Jedna z nich

kopnęła Randy'ego tak mocno, że zatoczył się na ścianę zagrody.

– *Whora!* – wrzasnął na nią.

Emma wysiadła z samochodu ciotki. Mike zatrzymał na niej wzrok i przesłał promienny uśmiech. Natychmiast spojrzała w inną stronę.

Zaniosła jedzenie na drewniany stół w altanie obrośniętej dzikim winem. Nie rozglądała się dokoła, więc drgnęła zaskoczona, gdy poczuła na sobie jego cień. Stał spokojnie w poplamionej krwią koszuli i patrzył na nią w milczeniu.

– Co takiego? – zapytała ze skrępowaniem.

– A więc w końcu dorostaś – rzekł łagodnie.
– Masz serce kobiety. Pisałaś w pamiętniku takie piękne rzeczy... o mnie. Ale jestem w domu już od trzech dni, a ty nawet nie przyszedłaś przywitać się.

– Myślałam... myślałam, że ci na tym nie zależy.

Uśmiechnął się szczerze i swobodnie.

– Co za bzdury opowiadasz.

– No to... witaj – wymamrotała nieśmiało.

– Dlaczego uciekłaś wczoraj wieczorem?

Emma pedantycznie rozkładała na stole talerze i sztućce.

– Tęskniłem za tobą – mówił Mike, zbliżając się do niej. – Tęskniłem, gdy mnie tu nie było, i również wtedy, gdy wróciłem. Ja nie potrafię tak tego napisać... to znaczy o tym, co czuję... co czuję do ciebie...

Emma patrzyła na niego przejęta dziwnym lękiem.

– Nie mogę uwierzyć... to znaczy w to, że tęskniłeś...

Uniósł jedną brew i milczał. Zarumieniona Emma sięgnęła po dzbanek z herbatą.

– Pisałem do ciebie – rzekł w końcu.

– Listy? – zdziwiła się. – Nigdy żadnego nie dostałam.

Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że nalewając herbatę, nie mogła trafić do szklanek.

– Ostrożnie – zaśmiał się Mike. Wyjął dzbanek z jej rąk i napełnił pozostałe szklanki. – To nie były listy, tylko pocztówki.

– Pocztówki? Naprawdę?

– Tak – potwierdził cicho, odstawiając dzbanek. – Pisałem ci o nagrodzie, jaką dostałem... to była bardzo ważna nagroda, za rzeźbę kota, podobną do tej, którą dałem ci kiedyś w kiwie. Podobało mi się to, co napisałaś o tym kocie – że zabierałaś go ze sobą do łóżka.

– Do Kary też pisałeś?

Mike cofnął się o krok.

– A więc o to chodzi. Co ona ci naopowiadała?

– Nieestety nie dostałam od ciebie ani jednej pocztówki.

– Może ona je przechwyciła – rzekł z pociemniałą twarzą. – Emmo, chciałbym cię o coś zapytać. Przez wszystkie te lata pisałaś o mnie

w pamiętniku, ale gdy jesteśmy razem, prawie na mnie nie patrzysz ani nie rozmawiasz ze mną. Czy wstydzisz się swoich uczuć dlatego, że... że jestem w połowie Indianinem?

Miała wielką ochotę potwierdzić, bo wiedziała, że tym zraziłaby go do siebie raz na zawsze i nadal mogłaby bezpiecznie podkochać się w tajemnicy przed wszystkimi. Jednak takie okrutne słowa nie chciały przejść jej przez gardło.

Drgnęła, gdy dotknął jej ramienia.

– Czego ode mnie chcesz?

– Tego samego, czego ty chcesz ode mnie
– powiedział cicho.

– Możesz mieć każdą dziewczynę.

– Ale czekałem na ciebie, aż dorośniesz.

– Przecież było w twoim życiu mnóstwo kobiet, prawda?

Spojrzał na nią pochmurnie, ale nie zaprzeczył.

– Co ona ci jeszcze powiedziała?

Emma odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę samochodu, lecz Mike zaraz ją dogonił. Objął ją w pasie i obrócił twarzą do siebie. Nie miała się gdzie ukryć.

– Najwyższy czas, żebyś wreszcie usłyszała, co chcę ci powiedzieć.

– Znam już prawdę.

– Powiem ci, jaka jest prawda – rzekł, przyciągając ją do siebie. – Może nie umiem pisać tak jak ty, ale to nie znaczy, że nic do ciebie nie czuję...

– A do Kary?

– Ty jesteś dla mnie wszystkim. Ona nic nie znaczy. Tylko ty się liczysz. – Westchnął ciężko i dodał: – Szkoda, że musiałem o tym przeczytać w twoim pamiętniku. Powinienem zobaczyć to na twojej twarzy, ale chyba za bardzo się bałem na ciebie patrzeć.

Zamilkł i przez chwilę przyglądał się jej uważnie.

– Tak, były inne kobiety. Próbowałem zapomnieć przy nich o tobie. Miałem też tajemniczą sponsorkę... nieograniczone źródło pieniędzy na studia i podróże. Przypuszczam, że te pieniądze pochodziły od twojej matki. Na pewno nie żałowała środków, by utrzymać mnie z dala od domu.

Emma nic nie odpowiedziała, tylko w milczeniu wdychała jego zapach.

– Czasami wręcz zaczynałem cię nienawidzić... bo tak bardzo chciałem o tobie zapomnieć. W dzieciństwie nigdy nie czułem się biedakiem. Dopiero gdy twoja rodzina wzięła mnie do siebie, zrozumiałem, że choćbym nie wiem czego dokonał, i tak nigdy nie będę wystarczająco dobry dla ciebie. W zasadzie twoja rodzina dała mi wszystko, oprócz jedynej rzeczy, której pragnąłem.

– Przesunął czubkami palców po jej szyi i znów westchnął. – Twojej matki nie interesuje, że mam pracę, a moje rzeźby są zauważane...

– Mike, to wspaniale. Tak się cieszę...

– Nie jestem biały i nie urodziłem się bogaty.

Emma zarzuciła mu rękę na szyję i ukryła twarz w jego koszuli.

– Przestań...

Nie poruszył się ani jej nie objął. Gdy po chwili oderwała się od niego, przeraził ją wyraz jego oczu.

– Emmo – szepnął – nie mogę cię objąć ani pocałować tutaj... w obecności wszystkich robotników umazanych krwią i krowim łajnem. Jestem brudny i... Jutro wyjeżdżam do Nowego Jorku.

– Jak to? – wyszeptała ogłuszona.

– Będę się uczył u kogoś ważnego.

– Ale wrócisz?

– To zależy.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu spod runda kapelusza.

– Przyjdź do mnie dziś wieczorem – wymruczał w końcu.

Potrząsnęła głową, ale gdy zatrzymał wzrok na jej twarzy, zobaczyła w jego oczach dziwne światło.

Wstrzymał oddech i rzucił szybko:

– Do zobaczenia.

Otworzył drzwiczki samochodu i podsadził ją na stopień.

– Przywiozłaś mi ciasteczko? – zapytał z szelmowskim uśmiechem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Z dudniącym sercem, Emma patrzyła na stajnię, cichą i jasno oświetloną księżycem.

Rozsądek krzyczał: wracaj do domu!

Od strony stajni dobiegło jednak żałosne skomlenie, a potem ostre szczekanie.

– Lucy?

Pies podbiegł w jej stronę, machając ogonem i skamłając. Zatrzymał się o kilka kroków od niej i wyraźnie czekał.

– Co się stało? – zapytała Emma.

Pies popatrzył na nią błagalnie i znów szczeknął krótko, a potem opuścił łeb. Dopiero teraz Emma zauważyła igły jeża powbijane w jego pysk i jęzor. Trzeba było znaleźć Mike'a. Emma pobiegła do stajni, w przyptywie odwagi wspięła się na drabinę i zapukała do jego drzwi.

– Mike?

Usłyszała kroki i drzwi uchyliły się. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo i patrzył na nią. Był bez koszuli, a jego oczy błyszczały w mroku.

Emma zmarszczyła nos.

– Czuć od ciebie alkohol.

Dopiero teraz zauważyła w jego ręku butelkę whisky. Odstawił ją szybko na podłogę.

– Myślałem, że nie przyjdiesz. Byłaś tu rano, gdy ja już wyszedłem... czułem twoje perfumy na poduszce i na ręczniku.

Emma nerwowo przełknęła ślinę. Mike odsunął się o kilka kroków dalej.

– Posłuchaj... trochę wypilem. Chyba lepiej, żebyś stąd poszła.

– Lucy potrzebuje pomocy. Chyba nadziała się na jeża.

– Mówiłem jej tyle razy... – westchnął, sięgając po koszulę. Wyjął z szuflady szczypcę, zbiegł na dół, zawołał psa i zabrał się do wyciągania igieł. Lucy próbowała się wyrwać, ale gdy Mike przytrzymał ją stanowczo, w końcu uległa i czekała cierpliwie, skamłąc z cicha i wpatrując się w niego wielkimi brązowymi oczami.

W końcu wyciągnął ostatni kolec i zdjął psa z kolan.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś – zwrócił się do Emmy. – Do rana byłaby w znacznie gorszym stanie. Masz ochotę na spacer?

Emma zawahała się.

– Chyba lepiej pójdę do domu.

– Jak wolisz – odrzekł pochmurnie.

– Nie powinnam tu w ogóle przychodzić.

– Nie jestem dla ciebie odpowiedni, prawda?

Nie możesz czuć się przy mnie bezpiecznie. Nie jestem biały.

– Nie o to chodzi!

– To o co? – zapytał. Gdy nie odpowiedziała, odwrócił się i bez słowa poszedł do stajni. Patrzyła za nim, nie wiedząc, co ma teraz zrobić. Powiedział, że jutro wyjeżdża do Nowego Jorku. Może już nigdy nie wróci.

Gdy zniknął za drzwiami, miała wrażenie, jakby cały świat nagle znieruchomiał i poczuła się niewyobrażalnie samotna, zagubiona w wielkim, ciemnym kosmosie.

A potem serce zwyciężyło nad rozsądkiem i pobiegła za Mikiem, głośno wołając go po imieniu. Zatrzymał się i czekał, a gdy rzuciła się w jego ramiona, porwał ją na ręce i kilkakrotnie obrócił dokoła.

Przez głowę Emmy przelatywały myśli o Karze, o tych innych kobietach, o matce. Zdawała sobie sprawę, że stawia na szali całe swoje życie, ale nie miała wyjścia. Nic nie mogło jej w tej chwili powstrzymać. Czekwała na tę chwilę od dnia, gdy znalazła go w kwiwie.

– Chcesz pójść na górę? – zapytał cicho Mike.

Nie, miała ochotę odpowiedzieć, ale tylko zarzuciła mu ramiona na szyję i rozchyliła usta do pocałunku.

Żadne z nich nie było przygotowane na wstrząs, jakim okazał się ten pierwszy fizyczny kontakt. Mike wziął ją za rękę i pomógł wejść po drabinie, a potem położył ją na łóżku, przyniatając swoim ciałem.

W głowie Emmy wirowały emocje. Naraz poczuła lęk. A jeśli on traktował ją tylko jako kolejny podbój? Wszystko działo się tak szybko. Była jednak pewna, że go pragnie, i nic poza tym nie miało znaczenia.

Nie wiedziała nic o mężczyznach i nie zdawała sobie sprawy z wpływu, jaki jej obecność wywiera na Mike'a. Widziała nad sobą jego rozgorączkowaną twarz i odwróciła wzrok, zaciskając mocno powieki. On jednak odnalazł jej usta i całował ją tak, jakby chciał z niej wypić całą duszę. Emma czuła się zagubiona, zbyt słaba, by protestować. Obawiała się go zniechęcić do siebie i nie chciała okazać się gorsza od tych bardziej doświadczonych kobiet, które miał wcześniej. Leżała więc nieruchomo, oddając pocałunki.

Mike nie tracił czasu na rozbieranie jej ani siebie, rozsunął tylko suwak dzinsów i podciągnął jej sukienkę do góry. Gdy wsunął dłoń między jej nogi, zamiast pragnienia poczuła palący wstyd, ale nie broniła się. Pozwalała mu robić wszystko,

czego pragnął. Dopiero gdy poczuła, że on wsuwa się w jej miękkie ciało, gdy łóżko zaczęło skrzypieć, przeszył ją nagły ból i wykrzyknęła.

Mike jednak stłumił jej okrzyk pocałunkami i posuwał się coraz głębiej. Emma wiła się z bólu, ale jej ruchy tylko podniecały go bardziej. Kołysał się rytmicznie i ból stopniowo ustępował.

– Emma. Emma. Emma – mruczał, pieszcząc jej piersi.

Ból powoli ustępował, a w jego miejsce pojawiały się pierwsze fale przyjemności. Emma nieśmiało pocałowała go w policzek i ta drobna pieszczota przepełniła miarę. Mike zastygł i jeszcze mocniej przyciągnął ją do siebie, a potem jego ramionami wstrząsnął dreszcz i Emma wiedziała, że już jest po wszystkim.

Mike przytulił ją do siebie i delikatnie pocałował w czoło.

– Bolało cię? – zapytał szeptem.

– Nie.

Dopiero teraz zobaczył krew.

– Och, Boże... poniosło mnie chyba. Przepraszam. – Poglądził ją po głowie. – Następnym razem... obiecuję, że następnym razem będzie lepiej.

Następnym razem.

Leżała w ciemnościach, patrząc w sufit i ciesząc się tą obietnicą. Teraz była kobietą – kobietą Mike’a Greywolfa. Ile kobiet miał przed nią? Co

sprawiało, że jedna kobieta była cenniejsza od innych?

– Emma?

– Tak?

– Nie opisuj tego, dobrze?

– Nie mogłabym.

– To nasza tajemnica... na razie. Tylko nasza. Zbyt wiele dla mnie znaczysz, żebym miał się tym dzielić z kimkolwiek. I nie żałuj – dodał po chwili.

Widział jednak, że była przygnębiona.

Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. W końcu Mike przygarnął ją do siebie i przez długi czas leżeli przytuleni. Gdy w końcu usnął, Emma nadal miała otwarte oczy. Przepęłniały ją wątpliwości.

Czy dobrze zrobiła? Na samą myśl o matce płonęła ze wstydu. Co do jednego Mike miał rację: nikt nie może się o tym dowiedzieć.

Mike obudził się i w pierwszym odruchu wyciągnął rękę, by dotknąć Emmy, ale miejsce obok niego było puste. Emma odeszła.

Przypomniawszy sobie, jak po wszystkim patrzyła na niego oczami przepęłnionymi lękiem. Bała się go teraz.

Usiadł i przeczesał włosy palcami. Och, Boże. Czyżby ją skrzywdził? Zadał jej ból? Był pewien, że tak. Ale jeszcze nigdy nie pragnął żadnej

kobiety równie mocno... Czyżby utracił ją na zawsze? Nie zamierzał ciągnąć jej do łóżka. Chciał ją tylko całować, przytulić...

Drzwi skrzypnęły i zobaczył w nich bladą twarz otoczoną burzą rudych włosów.

– Bardzo cię przepraszam – szepnął z przygnębieniem.

Roześmiała się i podbiegła do niego, po drodze zrywając z siebie ubranie. W jednej chwili podniosła kołdrę i wsunęła się do łóżka. Była ciepła, pachnąca i chętna. Jej ręce wędrowały po całym jego ciele, a w oczach błyszczało pożądanie. Sama, bez pomocy, wspięła się na niego.

Emma, Emma. Och, Emma. Przymknął oczy i wszedł w nią, nieprzytomny z radości.

Konie na dole zarżały i chyba słychać było głos jakiegoś mężczyzny, ale Mike stłumił ukłucie niepokoju. Tym razem już za nic na świecie nie chciał rozczarować Emmy.

Ona zaś wybuchnęła śmiechem pełnym triumfu i lekceważenia i jeszcze zanim się odezwała, domyślił się, co się stało.

– Jestem Kara – oznajmiła, przytrzymując go ramionami, gdy chciał się wyrwać z jej objęć.

Czuł się zgwałcony, upokorzony. Zaklął i próbował ją z siebie zepchnąć, ale trzymała się mocno, nie przestając się śmiać.

Drzwi znów zaskrzypiały i do pokoju wsunęła się Emma. Mike odepchnął Karę na bok. Emma

zastygła i patrzyła na niego oczami pełnymi łez. Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezradny ani nie było mu tak bardzo wstyd. Został oszukany, wprowadzony w błąd, pogardzał sobą i nienawidził się.

– Emma – szepnął, wstając. Prześcieradło ze śladami jej krwi zsunęło się z łóżka. Jęknęła i bezwładnie oparła się o drzwi. Miał ochotę paść jej do stóp i błagać o wybaczenie, ale wiedział, że to nie ma sensu, że ona i tak mu nie uwierzy.

– Kocham cię – wyszeptał bezgłośnie, ale ona była już za drzwiami.

Na dole rozległ się jej pojedynczy krzyk. Konie znów zarżały. Mike w jednej sekundzie zbiegł po drabinie. Koni nie było, a Emma z zakrwawioną skronią leżała obok wejścia do boksu Rio. Twarz miała błądą, woskową, a ciało bezwładne. Wziął ją na ręce i niezgrabnie przytulił do piersi.

Kara też zeszła na dół.

– Idź po matkę! – nakazał jej.

– Chcesz koc? – zapytała ze złowieszczym spokojem.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest nagi.

– Daj – skinął głową. – Ale pośpiesz się.

Przyniosła mu koc, narzuciła na plecy i zniknęła. Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, zanim wreszcie zjawiała się Frances, a po niej przyjechała karetka.

– Daj mi ją i znikaj stąd – zakomenderowała Frances. – To w końcu moja córka!

On jednak mocno przyciskał głowę Emmy do piersi i nie wypuścił jej aż do przyjazdu karetki.

– Emma, mój Boże. Nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia. Było ciemno... Myślałem, że ona to ty! – szeptał do niej.

Na chwilę otworzyła oczy, przepelnione cierpieniem i niedowierzaniem.

Po odjeździe karetki Frances oświadczyła:

– Jadę teraz do szpitala, a kiedy wrócę, ma cię tu już nie być. I nie chcę cię tu widzieć już nigdy więcej.

Emma zupełnie straciła poczucie czasu. Było jej wszystko jedno, czy żyje, czy umarła. Niejasno zdawała sobie sprawę, że znajduje się na oddziale intensywnej opieki. Do obu rąk podłączone miała kroplówki, a dokoła niej kręciły się pielęgniarki w wykrochmalonych fartuchach.

Matka przez cały czas była przy niej, zdecydowana dopilnować, by Mike Greywolf nie przedostał się na oddział. Stuart pojawiał się z rzadka, choć sprawiał wrażenie szczerze zmartwionego jej wypadkiem.

Frances powiedziała Emmie, że Kara wyjechała do Hollywood, a Mike wrócił do swojego plemienia. Wypowiadała jego nazwisko z wyraźną nienawiścią. Raz jednak, gdy ogarnął ją

melancholijny nastrój, przyznała, że Emma nie była pierwszą kobietą z ich rodziny, która zakochała się w nieodpowiednim mężczyźnie.

Emma zaczęła powątpiewać we własne uczucia, a także w uczucia Mike'a. Matka twierdziła, że to, co się stało, dowodziło tylko jego negatywnego wpływu na Emmę. I może miała rację. Może najlepiej było o nim zapomnieć. Ale by tego dokonać, musiałyby wyjechać z Nowego Meksyku, a nie wiedziała, jak powiedzieć o tym matce.

Gdy poczuła się trochę lepiej, znów wróciła do pisania pamiętnika. Dopiero teraz mogła wyrzucić z siebie całe cierpienie i wyobrazić sobie nowe życie, które gdzieś na nią czekało – życie bez Mike'a.

Gdy powiedziała matce, że musi wyjechać z domu, Frances ostro zaprotestowała.

– Jesteś za młoda. Wpakujesz się tylko w jeszcze większe kłopoty.

– Możliwe.

– Musisz skończyć szkołę.

– To mogę zrobić wszędzie.

Dopiero Zet znalazła dobre wyjście z sytuacji. Miała młodszą od siebie przyjaciółkę o imieniu Katherine, lekarkę, która prowadziła klinikę dla ubogich dzieci w Isla Mujeres w Meksyku. Zet przekonała Frances, że Emma najszybciej dojdzie do siebie, pomagając innym.

Mimo wszystko Frances niechętnie odnosiła się do tego wyjazdu i obwiniała o wszystko siostrę.

– To twoja wina, że ona popadła w obsesję na punkcie tego dzikusa – oskarżyła ją.

– A będzie twoja, jeśli jej nie przejdzie. Gapienie się całymi dniami w okno i oczekiwanie na powrót Greywolfa w niczym jej nie pomoże – odparowała jej siostra.

– W końcu o nim zapomni.

– Nie gadaj głupstw – rozzłościła się Zet.

Frances podeszła do okna, przy którym Emma często wystawała, i oczami wyobraźni ujrziała złotowłosego mężczyznę z uśmiechem, na widok którego wielu kobietom miękły nogi. Court Shayne. Kochała go głupią, szaleńczą miłością. Pomyślała o wszystkich zmarnowanych latach swojego życia.

– Wcześniej czy później Greywolf wróci – powiedziała Zet. – I jak go wtedy utrzymasz z dala od niej?

Frances nie odpowiedziała, ale jeszcze tego samego dnia poszła na górę i napisała do Katherine. Już po kilku tygodniach pomagała Emmie pakować walizki.

CZEŚĆ DRUGA

Dwie gwiazdy nie mogą jedną krążyć sferą.²

² William Szekspir, „Henryk IV”, przeł. Leon Ulrich, Warszawa 2000 (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W sypialni Mike'a Greywolfa pachniało seksem, bzami i alkoholem.

Poranne słońce wyglądało zza błękitnych gór i padało wprost na czerwone damskie majtki wiszące na wezglowiu łóżka niczym trofeum.

Mike przetarł oczy i zaraz znów je przymrużył. Nie spodziewał się, że Nowy Meksyk po latach wyda mu się tak obcy. Powoli dochodził do wniosku, że już nigdy i nigdzie nie osiadzie na stałe.

Przez jego umysł przelatywały skłębione wspomnienia. Postacie bliźniaczek, tak podobnych do siebie, że nie mógł ich odróżnić, niczym milczące duchy, z rudymi włosami i oczami błyszczącymi jak latarnie. Potrząsnął głową, by odpędzić te wizje, ale one były uparte i nie chciały go opuścić.

Wrócił tu przed kilkoma miesiącami, w samym środku zimy, po to, by pobyć trochę w samotności. Nie chciał czuć żadnej więzi z siostrami Shayne. Nienawidził ich, podobnie jak ruin, w których kiedyś go znalazły, wspomnień z czasów, gdy czuł się gorszy od nich i uwikłany w ich sieć. Skandal, który wybuchł, gdy zaczęły dorastać, omal nie zniszczył na dobre jego życia.

Wrócił i kupił rancho La Golindrina, bo chciał być sam i odnaleźć spokój duszy.

Jednak to dzikie miejsce – bo Zet pozwoliła, by rancho zdziczało, choć otaczały je teraz nowe, bogate osiedla – skierowało jego myśli ku przeszłości i na nowo związało go ze słynnymi bliźniaczkami. Karą, gwiazdą filmową, i Emmą, pisarką. Wszystko, co zaszło między nimi, rzuciło cień na jego przyszłość. Uświadomił sobie poniewczasie, że Nowy Meksyk był ostatnim miejscem na ziemi, w którym uda mu się odzyskać spokój.

Nawahowie uważają, że współdziałanie i wzajemny szacunek są ważniejsze od potrzeb jednostki. Po powrocie Mike'a członkowie plemienia ściągali do niego z bliska i z daleka. Najpierw przyjechała irytująca Mabel Blackgoat, kobieta, która sprzedała go rodzinie Shayne'ów. Jej pomarszczona twarz była ciemna jak mahoń, a włosy przypominały szarą wełnę. Anielski uśmiech nie zdołał ukryć zachłannej natury. Choć nie

sięgała Mike'owi nawet do piersi, była niezwykle uparta i zacięta niczym dziesięciu wodzów na ścieżce wojennej.

Sam nie wiedział, jakim sposobem udało jej się nakłonić go, by wyremontował dla niej zrujnowany hogan, a następnie ustawiła tam swoje krosna i zaczęła tkać dla niego jeden ze swych słynnych wróżebnych kilimów. Powiedziała, że przedstawia on historię jego życia i opowiada o tym, jak słynny indiański rzeźbiarz znajduje żonę, a Lilly, jego córka – prawdziwą matkę.

– Lilly nie potrzebuje matki – odparł Mike stanowczo. – A ja nie potrzebuję następnej żony. Tkaj swoje historie, nie moje.

– Miałam wizję.

– Idź do diabła z tymi wizjami. Poprzednia omal mnie nie zabiła.

– Lilly ma już czternaście lat. Bardzo potrzebuje matki, która nauczyłaby ją, jak być kobietą. Ojca też potrzebuje.

– Ma mnie.

– To, co z ciebie zostało... czyli bardzo niewiele. – Mabel przymrużyła oczy w dwie wąskie szparki. – Nie, trzeba ją nauczyć życia Nawahów, dobrego, pięknego życia, pełnego szacunku dla wszystkiego, co żyje... szczególnie dla własnych krewnych.

– Ta droga we współczesnym świecie prowadzi donikąd.

– Skąd możesz to wiedzieć? Sprzedałeś się bogom pieniądza i sławy.

– Ty też nie oddajesz swoich kilimów za darmo.

– Człowiek musi coś jeść.

Im bardziej się sprzeciwiał, tym mocniej Mabel obstawała przy swoim. Była jak natrętna mucha. Ciągle krążyła wokół niego w swoich szerokich spódnicach i welwetowych bluzkach. Obserwowała i jego, i Lilly. A jej brązowe palce ani na chwilę nie przestawały tkać.

Od pochmurnego wzroku Mabel stawał się coraz bardziej nerwowy, ale nie mógł jej odesłać do domu. Co gorsza, ledwie kobieta osiedliła się w jego sąsiedztwie, poczuła się samotna i zaczęła zapraszać przyjaciół. Wkrótce okolica zarośla się od szpiegów z klanu jego babci. Wszystkie w takich samych welwetowych bluzkach, z włosami ściągniętymi w węzły, z ciężkimi tobołkami na plecach.

– Potrzebuję pomocy w tkaniu – tłumaczyła mu Mabel, gdy pytał, kiedy jej przyjaciółki zamierzają wyjechać. – Ten kilim opowiada o dwóch siostrach bliźniaczkach. Jeden mężczyzna i dwie kobiety idą w góry, ale tylko jedna z kobiet wraca. Gdy skończę, dam ci ten kilim w prezencie ślubnym.

– Nie zamierzam się żenić.

– Owszem, ożenisz się. Już niedługo. Dlatego tak się spieszę.

– To na twoją cześć – dodawały pomocnice chórem. Nie cierpiał ich osądzającego wzroku, ale co mógł zrobić? Wszystkie były szanowanymi tkaczkami, choć nie tak znakomitymi jak jego babcia.

– Nie ożenię się – powtórzył tylko.

Potem pojawił się niesławny Nigel Galbraith. Wjechał na strome wzgórze ciężarówką wyładowaną mapami oraz zakurzonym archeologicznym sprzętem i pomachał Mike'owi przed nosem pozwoleniem na wykopaliska na sąsiednim wzgórzu. Wyskoczył z ciężarówki i wpadł do pustej drewnianej chaty na terenie rancza z taką pewnością siebie, jakby był we własnym domu. Mike akurat wtedy pojechał do Santa Fe, bo Lilly, maniaczka zakupów, wypatrzyła tam puchową kamizelkę i koniecznie zapragnęła ją mieć.

Galbraith wyskoczył ze swojej ciężarówki i krzyknął na całe gardło:

– Jest tu kto?!

Wtedy Mabel wytoczyła się ze swego hoganu i zaproponowała mu pomoc przy wynajęciu jakiegoś lokum. Galbraith otworzył jej dłoń i wsunął między palce gruby plik banknotów. Uśmiechnęła się i nie powiedziała nic więcej.

Zanim Mike wrócił do domu, rzeczy Galbraitha były już wszędzie, w chacie i dokoła niej. Bart, jeden z najcenniejszych arabów Frances,

stał obok przywiązany do słupka podtrzymującego zapadający się dach werandy.

Mike podszedł do konia.

– Może mi powiesz, gdzie jest twoja pani?

Zwierzę jednak tylko potrząsnęło łbem i prychnęło energicznie.

Mike zawołał głośno i Frances w odpowiedzi załomotała czymś w środku, podszedł więc do drzwi. Owszem, była tam. Stała, przyciskając do nosa koronkową chusteczkę, a drugą ręką przetrzucała należące do Galbraitha łopaty i kartonowe pudła z resztkami kości.

Mike stanął w progu i powoli odsunął z czoła kapelusz.

– Co tu się dzieje? – spytał półgłosem.

Frances obróciła się w jego stronę. Była szczuplejsza niż kiedyś. W rękę trzymała jakiś zakurzony przedmiot o nieregularnym kulistym kształcie.

– Mogłam się domyślić. Ślady uderzeń kamiennym narzędziem. Pęknięcie sklepienia czaszki. – Podniosła głowę i utkwiała w Mike’u przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu. – Nie przypuszczałam, że zniżysz się do wynajęcia mojego domu komuś takiemu jak Galbraith. Mimo wszystko miałam o tobie nieco lepsze zdanie.

– Ten dom teraz należy do mnie.

Spojrzenie Frances przybrało odcień lodowatej pogardy.

– Po co tu wróciłeś?

– Nie wchodź mi w drogę, a ja odwdzięczę ci się tym samym.

– To nie takie proste... gdy posuwasz się do takich uczynków. Mam chętnych na kupno części mojego rancza. Powiedz temu Galbraithowi, żeby się wyniósł.

– Nie będziesz mi rozkazywać, co mam robić.

Te słowa ją rozzłościły. Podniosła dumnie głowę, podeszła do niego i wcisnęła mu w rękę zakurzona miska.

– W takim razie baw się dobrze. To twój lokator, nie mój.

Pochwyciła wodze i jednym ruchem wskoczyła na siodło.

– Zet zapuściła to ranczo – dodała jeszcze na odjeźdnym, patrząc krytycznie na brudne ściany domu i zarośnięty ogród, gdzie między chwastami i zdziczałymi pnączami leżały dziesiątki przewróconych posągów.

– Dlaczego nie rozbierzesz tej starej szkoły?

– Lilly i jej przyjaciółki jeżdżą na wrotkach w sali gimnastycznej.

– A ten drugi budynek?

– Będę tam urządził wystawy i przyjęcia.

W tym właśnie celu zbudował już amfiteatr z rzędem różowych kolumn, które niczego nie podpierały.

Wzrok Frances zatrzymał się na przebitej oponie osiemnastokątowej ciężarówki.

– Zamierzałem zmienić koło, ale na razie nie planuję przywozić granitu.

– Mniejsza o to – wzruszyła ramionami. – Nic nie zrobisz, żeby doprowadzić to miejsce do porządku, i pewnie nic nie zrobisz.

Mike uświadomił sobie nagle, że trzyma w ręku rozsypującą się kość, i słowa uwięzły mu w gardle. Wyszedł na werandę i wziął głęboki oddech. Frances wbiła pięty w boki Barta i odjechała.

Mike był niezmiernie przesądny, jeśli chodziło o śmierć. To, co trzymał w ręku, nie było miską. Na pudłach Galbraitha ujrzał jeszcze tuzin podobnych czaszek. Mabel. To była jej robota.

Gdy ją znalazł, wybierała się właśnie w kolejną handlową podróż. Słuchając jego krzyków, usiadła przy krosnach, by nie tracić czasu. Mike nie mógł się skupić na tym, co miała jej do powiedzenia, gdy co chwilę przerywały mu uderzenia bidła. Im głośniej krzyczał, tym głośniej Mabel dociskała bidło. Gdy skończył mówić, jej ręce znieruchomiały. Hogan, pełen indiańskich koców, z posłaniem z owczych skór przy ścianie, wypełnił się błogostawioną ciszą. Teraz Mabel zebrało się na gadanie.

– Co mam jeść, skoro nie mam żadnych dochodów?

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

– Ja myślę o tym teraz. Ten dom i tak stał

pusty, a Nigel musi mieć jakiś dach nad głową. No a mnie przydadzą się jego pieniądze.

– On nie szanuje zmarłych. Nie może tu zostać.

– Był w twojej wizji.

– Chyba w twojej, nie mojej!

– Nie mogę cofnąć słowa. To byłoby niehonorowe.

– Nie możesz wynajmować mu mojego domu!

– Sam mu to powiedz.

– Powiem!

Mike jednak miał pecha do Galbraitha, nigdy nie udawało mu się go zastać. A potem lokalna prasa zaczęła się rozpisywać na temat niepopularnych teorii Galbraitha głoszących, że Indianie Anasazi byli kanibalami. Sąsiedzi sarkali, że Mike wynajmuje dom takiemu łajdakowi. Mike miał słabość do wszelkich wyrzutków społeczeństwa, więc Galbraith został tam, gdzie był.

Mabel i Nigel działali mu na nerwy, ale z nadejściem wiosennych wiatrów poczuł się jeszcze gorzej. Burze piaskowe tej wiosny były wyjątkowo dokuczliwe. Mike spędzał tak wiele czasu w zamknięciu, że zaczęło się to odbijać na jego psychice. Nie mógł pracować.

Ale nie zrzucał całej winy za ten stan rzeczy na Mabel i Nigela. Już wcześniej, w Nowym Jorku, miał problemy, które tutaj tylko się nasiliły. Nawet dostawa brązu nie poprawiła mu humoru.

Gdy nie rzeźbił, stawał się drażliwy, a patrząc na posągi bliźniaczek – jeszcze drażliwszy.

Wymamrotał coś pod nosem i przewrócił się na łóżku na drugi bok. Poprzedniego popołudnia odwiedziła go Sara, była żona. Chciała się chyba przekonać na własne oczy, że oboje z Lilly zupełnie sobie bez niej nie radzą. Zobaczyła Indianki w hoganie Mabel, bałagan w domu, potargane włosy Lilly, sześć srebrnych kolczyków w jej uchu i czarny lakier na paznokciach stóp i uśmiechnęła się triumfalnie.

– Nie spodziewałam się, że to wszystko wygląda aż tak tragicznie. Przydałaby się tu kobieca ręka.

– Na razie moja musi wystarczyć.

– Podobno Galbraith mieszka gdzieś w tej okolicy, czytałam o tym w jakiejś gazecie. Co to za staruszki? Mówiłeś, że potrzebujesz... przestrzni.

– Wierz mi, nie zapraszałem tu Mabel ani jej szpiegów.

– Mieszkacie tu już cztery miesiące, więc co tu robią te wszystkie pudła?

– Lilly lubi kupować nowe rzeczy.

– Ile razy ci powtarzałam, że to ty powinieneś wychowywać córkę, a nie ona ciebie?

– A próbowałaś to powiedzieć Lilly?

– Lilly! – zawołała Sara, gładko wchodząc w swoją dawną rolę. Gdy dziewczyna pojawiła

się na schodach, Sara oznajmiła tonem nie znoszącym sprzeciwu: – Po prostu musicie rozpakowywać codziennie po jednym pudle...

Lilly wykrzywiła usta.

– Wybieraliśmy się na zakupy, no i...

– Nie potrzebowalibyście niczego kupować, gdybyście...

– O ile się nie mylę, to rozwiodłaś się z tatą?

– zapytała dziewczyna spokojnie, lecz stanowczo, tonem, jakim matki czasami zwracają się do krnąbrnych dzieci.

– Lilly... – wtrącił Mike ostrzegawczo.

Odpowiedzią był szeroki uśmiech jego córki.

– Chciałam tylko powiedzieć, tato, że skoro ty jesteś teraz odpowiedzialny za dyscyplinę, to ja mogę się po prostu zaprzyjaźnić z Sarą.

– Ładna mi dyscyplina – prychnęła Sara.

Lilly uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Czy to sukienka, czy koszula nocna? I co robią te wszystkie kolczyki w jej uszach? – zapytała Sara nieco później, gdy Lilly odeszła.

– To wpływy subkultury z Santa Fe. Obawiam się, że Zet nie ma na nią najlepszego wpływu.

Za każdym razem, gdy Lilly odpływała w swoich sukniach, żeby poużalać się nad sobą w samotności, pomedytować nad metafizyczną miłością, nałożyć na paznokcie kolejną warstwę czarnego lakieru, odwiedzić Mabel albo oddać się jakiemuś innemu ze swych licznych zajęć, Sara wtykała

język w usta Mike'a i atakowała go jak wygłodzona seksualnie lwica, a on za bardzo się przed tym nie bronił. Od czasu rozwodu czuł się bardzo samotny. Jego próżne męskie ego potrzebowało kobiecych pochlebstw. Śmiał się, gdy Sara wyciągnęła z pudła kłujący, ręcznie tkany dywanik. Ile już razy zmusiła go do tego? Raz na cennym dywaniku – ostra wełna drapała mu plecy, gdyż Sara była na górze. Potem na schodach, gdzie było im bardzo niewygodnie. Potem na zewnątrz, w blasku księżyca, pod drzewami obok huśtawki Lilly. Mike przez cały czas wpatrywał się w mrok, jakby spodziewał się, że spod krzaka jałowca lada moment wyłoni się Lilly, Mabel albo ten kolekcjoner kości.

W tych aktach była jakaś desperacka gwałtowność i smutek. Ich małżeństwo umarło i nic nie mogło go przywrócić do życia, nawet udany seks – przynajmniej takie było zdanie Mike'a. I dobrze, bo chciał być sam.

Mimo wszystko tego ranka czuł się zupełnie wyczerpany i pusty wewnątrz. Kiedyś tak nie było... Przypomniawszy sobie Emmę. Niech to diabli. Jej już nie było. Kary też. Kiedyś nierozłączne, teraz każda z nich podążała inną drogą. Podobno przez niego. Jakkolwiek wyglądała prawda, więź między ich trójką została zerwana.

Po tamtej pamiętnej nocy w stajni Mike próbo-

wał zobaczyć się z Emmą, ale jej rodzina do tego nie dopuściła. Gdy Emma wyzdrowiała, wyjechała do Meksyku i tam zaczęła pisać. Mike uznał, że Emma skończyła z nim na dobre, i wrócił do rezerwatu.

Dziewięć miesięcy później zobaczył w jakimś kolorowym piśmie zdjęcie Kary opuszczającej hollywoodzki szpital z niemowlęciem na rękach. Plotka głosiła, że miała romans z żonatym gwiazdorem. Choć ten wypierał się ojcostwa, żona opuściła go i wróciła, dopiero gdy badania DNA wykluczyły jego ojcostwo. Wówczas Mike poleciał do Los Angeles i uznał córkę.

Kara z wielką radością pozbyła się Lilly. Mike przysiągł sobie, że zapomni o bliźniaczkach i zajmie się karierą. Gdy Lilly miała siedem lat, jego nazwisko stało się już znane. Wrócił do Santa Fe i tam udało mu się zorganizować pierwszą dużą indywidualną wystawę. Gdy któregoś dnia oglądał popisy artystyczne na miejskim placu, ni stąd, ni zowąd pojawiła się przed nim Emma.

Mike miał wrażenie, że z tą chwilą wszystko nabrało żywszych barw – drzewa pozieleniały, a niebo stało się bardziej błękitne. Widział Emmę wśród złocistych promieni słońca i ciemnofioletowych cieni. Wzrok miała utkwiony w Lilly, która z kolei wpatrywała się jak urzeczona w skateboardzistę z zielonymi włosami.

Emma obojętnie wyminęła artystów, uklękła przy dziewczynce i dotknęła jej rudych loków.

– Kim jesteś? – zapytała ją Lilly.

Po twarzy Emmy popłynęły łzy.

– Nikim. Nikim ważnym.

Mike ujął dłonie Emmy i podźwignął ją do góry. Przez chwilę stali nieruchomo, patrząc sobie w oczy. Wszystko dokoła zamarło – turyści w bermudach strzelający fleszami, samochody, artyści na trawniku, Indianie sprzedający ręcznie robioną biżuterię przed pałacem gubernatora – wszystko przestało istnieć.

Naraz plac pogrążył się w cieniu i obok nich zatrzymała się limuzyna, z której wysiadła Kara. Na jej widok Emma natychmiast uciekła i zniknęła w tłumie. Mike chciał za nią pobiec, ale Kara zatrzymała go, nie zwracając najmniejszej uwagi na Lilly.

– Skąd się tu obydwie wzięłyście? – zapytał, oszołomiony.

– Emma ci nie powiedziała?

Milczał.

– Emma napisała książkę pod tytułem „Zdradzona”. Wykupiłam prawa do ekranizacji i tak powstał film, w którym gram główną rolę. Pomyślałam, że zabawnie będzie urządzić premierę tutaj. Załatwię bilety dla ciebie i dla Lilly.

– Jestem zajęty. Mam tu swoją wystawę.

– Nasz film opowiada o bliźniaczkach, które

dziela się wszystkim... aż w końcu obydwie zakochują się w tym samym mężczyźnie. Jedna z nich wychodzi za niego, ale umiera i wtedy druga podszywa się pod nią. Ale mężczyzna popełnia samobójstwo, bo jest przekonany, że łagodniejsza z siostr, ta, którą kochał, umarła – opowiadała Kara z dziwnym błyskiem w oczach.

Potem Sando powiedział mu, że Emma była na jego wystawie. Próbował do niej zadzwonić, a gdy to się nie udało, wykręcił numer, który zostawiła mu Kara, i poprosił o bilety na premierę. Przez cały film patrzył na Emmę, a ona patrzyła na niego i na Lilly. Próbował z nią porozmawiać na bankiecie, dokoła jednak tłoczyło się zbyt wielu ludzi. Kara zaprosiła go na prywatne przyjęcie do hotelu, zaklinając się na wszystko, że Emma będzie honorowym gościem. Poszedł tam, ale Emma nie pojawiła się. Gdy zażądał od Kary wyjaśnień, ta zaprowadziła go do swojej sypialni, a tam kłótnia szybko przerodziła się w upokarzającą dla nich obydwójga scenę miłosną.

Tak oto stracił ostatnią szansę na zdobycie uczucia Emmy. Wiedział, że nigdy nie będzie w stanie wybaczyć sobie tamtej nocy. Gdy było już po wszystkim, wylał całą swoją gorycz na Karę. Płakała, kto wie, czy nie po raz pierwszy w życiu. Ale nikt nie mógł go nienawidzić bardziej niż on sam siebie.

Premiera okazała się oszałamiającym sukcesem i gdy następnego ranka ani Emma, ani Kara nie stały się na konferencji prasowej, dziennikarze zaczęli szaleć. Frances też. Goście z przyjęcia przypomnieli sobie kłótnię Kary i Mike'a. Frances zaczęła podejrzewać, że Mike zabił jej córkę, i nasłała na niego policję. Na szczęście dla niego, obydwie bliźniaczki odnalazły się po kilku tygodniach, w chwili gdy sprawy zaczęły już przybierać o wiele poważniejszy obrót.

Później Kara została największą gwiazdą filmową dekady, a książki Emmy regularnie zajmowały najwyższe miejsca na listach bestsellerów. Mike'owi też wiodło się nie najgorzej. Cieszył się opinią zdolnego, gburowatego i atrakcyjnego seksualnie rzeźbiarza.

Sława jednak miała również swoje cienie. Mike nigdy nie wyzbył się poczucia, że jest wyrzutkiem w świecie białych ludzi. Nie odnalazł również swojego miejsca wśród Nawahów. Był bogaty i sławny, a inni członkowie jego plemienia byli biedakami z rezerwatu, nic dziwnego zatem, że nie bardzo mu ufali.

Zbyt późno przekonał się, że uwielbienie tłumów może nużyć i zupełnie zniszczyć prywatność; sława rysuje fałszywy obraz. Mityczna postać, którą wszyscy kochali, niewiele miała

wspólnego z prawdziwym Mikiem Greywolfem. Sława nie równała się miłości. Była zimna i samotna.

Świat nie potrafił dać mu tego, czego szukał. Jego marzenia obróciły się w popiół.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Emma. Och, Boże, Emma. Wróć do mnie...

Sara poderwała się na łóżku i spojrzała na Mike'a z nienawiścią.

– Ty dzikusie! Ty...

Rude włosy miała potargane, a w jej oczach lśniło cierpienie. Biedna Sara. Znow zadął jej ból. To przez te cholerne posągi, które przywieziono poprzedniego dnia.

Sara ze złością odrzuciła prześcieradło na bok.

– Myślałam, że może tym razem, przynajmniej raz, będziemy sami. Tylko ja i ty. Ale nie, ty tęsknisz do Emmy! Zawsze Emma, przez całe życie tylko Emma! Niech cię wszyscy diabli porwą, Mike!

Rozzłoszczony, pochwycił ją wpół.

– Puść mnie, ty draniu!

– Sara, skarbie...

– Jak możesz mi to robić? Jak możesz ją wspominać, gdy jesteś ze mną w łóżku?

– Przepraszam – westchnął. – A właściwie to skąd ci przyszło do głowy, żeby mnie odwiedzić?

Z mocno zaciśniętymi powiekami Sara odsunęła się od niego i próbowała wstać z łóżka, ale Mike w porę pochwycił ją za nadgarstki i nakrył swoim ciężkim, muskularnym ciałem. Dlaczego tu przyjechała? Po co? Przypomniał sobie posągi z brązu. Był pewien, że jeśli je widziała, to przyjdzie mu za to srogo zapłacić.

– Przecież przeprosiłem cię – szepnął. – Ja jej nienawidzę, dobrze o tym wiesz.

Sara była dla niego dobra, była mu wierna, w każdym razie na swój sposób. Ich małżeństwo trwało ponad sześć lat.

– Nie, o niczym takim nie wiem. Chyba już najwyższy czas, żebyś przestał oszukiwać nas oboje. Ona zawsze była między nami.

– Nie – skłamał.

– Nawet w tych lepszych czasach.

– To nieprawda.

– Zamykałeś się w pracowni na całe dni... na całe miesiące.

– Pracowałem ciężko na uznanie.

– Od tej tęsknoty w twoich oczach robiło mi się niedobrze. Pora już, żebyś wreszcie rozprawił

się z tymi bliźniaczkami. Ze względu na Lilly. Brakuje jej matki.

– Naprawdę nic na to nie mogę poradzić.

– W tym tygodniu dzwoniłam do ciebie pięć razy. Dlaczego nie oddzwoniłeś?

Zmarszczył brwi. Lilly. Nie powiedziała mu o tych telefonach.

– Byłem zajęty – skłamał.

Sara jednak przejrzała go.

– A więc Lilly znów odgrywa swoje stare numery. A ty ją chronisz – westchnęła. – Nie krzyw się tak. Nie chciałam, żebyś czuł się winny z powodu Emmy... albo Lilly. Mówiłam ci już, że moja matka nazywa cię barbarzyńcą? Naprawdę...

W jej głosie nie było żadnych emocji i Mike zrozumiał, że to jest pożegnanie. Skinął głową.

– To dlatego, że masz tak intensywne spojrzenie, jak dzikie zwierzę. Widzisz ludzi na wylot, wchłaniasz ich, podchodzisz za blisko.

– To dar. Ale mam przez to w życiu mnóstwo kłopotów – mruknął i dodał w myślach: z białymi mężczyznami i białymi kobietami. Szczególnie z tymi ostatnimi. Gdy patrzył na Karę, ona dostrzegała w jego wzroku coś, czego tam nie było. Podobnie jej matka. Między innymi dlatego wszyscy tak łatwo uwierzyli, że był mordercą siostr Shayne.

– Mike, nigdy nie byłeś wylewny. Co ja

właściwie dla ciebie znaczyłam? Nigdy mi tego nie powiedziałaś.

– Ty i twoi przyjaciele dziennikarze powiedzieliście tak wiele słów, że wystarczyło za nas oboje.

– A ty się za nimi ukrywałaś.

– Jestem, kim jestem.

– Wielkim, dobrze umięśnionym rzeźbiarzem. Ranczerem, macho. Facetem, dla którego życie towarzyskie jest wyłącznie okazją do sprzedawania prac Mike'a Greywolfa, modnego rzeźbiarza. Nikomu nie pokazujesz prawdziwego oblicza, nawet własnej żonie.

– Przecież to ty się ze mną rozwiodłaś, nie odwrotnie.

– Mike, nigdy cię przy mnie nie było. – Próbowała się uśmiechnąć, ale widział w jej oczach cierpienie.

– Może powinnaś wyjść za jakiegoś intelektualistę. Za popularnego, wyrafinowanego gościa, który lubi imprezy.

– Czy ożeniłaś się ze mną dla pieniędzy?
– zapytała twardym tonem. – Po to, żeby sprzedawać swoje prace kolekcjonerom... muzeom?

– Dlaczego wszystkie rozmowy muszą prowadzić do pieniędzy?

– Bo wszyscy to sugerują. Bo ty nigdy...

– To twoja sprawa, jak to widzisz. Wierz w to, co podpowiada ci serce, a nie w to, co wszyscy ci

powtarzają. To tobie zależy na sławie i pieniądzech, nie mnie.

– Ale to ty jesteś sławny.

W jej wzroku znów pojawił się twardy błysk.

– Nie należy zazdrościć nikomu sławy. Większość ludzi uważa cię za kogoś, kim wcale nie jesteś i w ogóle nie chcesz być. I nieustannie czujesz się jak oszust.

Sara zaczerwieniła się.

– Chcę wiedzieć, czy z rozmysłem użyłeś mnie do tego, żeby stać się tym, kim jesteś teraz.

– Wszyscy wszystkich wykorzystują – wzruszył ramionami Mike. Pociągnął ją w ramiona i zanurzył usta w jej rudych włosach. – Ty mnie też wykorzystywałaś, a kiedy nie dostałaś tego, co chciałaś, rozwiodłaś się ze mną. Będzie mi ciebie brakowało, Saro. Pomimo wszystko spróbujmy pozostać przyjaciółmi.

– Ale to ją kochałeś, nie mnie. Wróciłeś tu do niej, wiem to...

– Nie. Wróciłem tu, bo chciałem być sam. I żeby Lilly poznała swoją rodzinę. Ty nie możesz żyć bez zgiełku wielkich miast białych ludzi. Błyszczłaś na moich wystawach w muzeach i na wernisażach w galeriach. Ale nie mogłaś znieść mojego pragnienia, by rzeźbić. Czasami potrzebowałem samotności, ale ty nie umiałaś tego zaakceptować.

– Zamykałeś się przede mną.

Zamykałem się przed duchami, pomyślał, ale głośno powiedział:

– Moja zbuntowana córka zaczynała podążać niebezpieczną ścieżką i czuła się zagubiona, a i ja nie byłem zachwycony życiem w Nowym Jorku. Czułem się jak zwierzę w klatce. Coraz trudniej było mi wsłuchać się w siebie i rzeźbić.

– To ja cię stworzyłam.

– Może tak myślisz. W każdym razie próbowałaś, to pewne – uśmiechnął się. – Człowiek to skomplikowana istota.

Przypomniał sobie ojca, który w dzieciństwie zabierał go na pola kukurydzy i pokazywał, które kolby są już dojrzałe. Dziadka, który podsadzał go na stare siodło i wkładał w ręce wodze. Ojciec i dziadek wysyłali go, by pasł owce, a gdy te nie chciały wieczorem wracać do domu, Mike musiał spędzać noce samotnie pod gołym niebem. Jego rodzina... rozciągnięta na podłodze hoganu pośród porozrzucanej srebrnej biżuterii, w kałużach krwi.

– Byłem uformowany już na długo przed naszym pierwszym spotkaniem. Ale wzbogaciłaś moją osobowość podczas rozwodu. To muszę ci przyznać.

– Chętnie wzięłbyś ode mnie więcej – odrzekła z goryczą.

– Dostałaś mieszkanie przy Central Parku, moją willę w Laguna Beach i mój samochód...

– A ty zabrałaś moje serce.

– Powinienem być ożenić się z Indianką. Z prostą dziewczyną, która zajmowałaby się bawieniem dzieci, zwierzętami i tkaniem.

– Następnym razem – mruknęła Sara, odgarniając włosy z oczu. Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Patrzył na nią, chcąc zapamiętać, jak wyglądała tego ostatniego ranka, podobnie jak robił to po ich pierwszej wspólnie spędzonej nocy.

Małżeństwo. Rozwód. Wiele razem przeszli.

Siedem lat temu Sara przyszła do galerii Sando obejrzeć prace Mike'a. Było to tuż po zniknięciu bliźniaczek. Policja już poszukiwała ich ciał i dziennikarze nie odstępowali Mike'a ani na krok. Frances nazwała go mordercą.

Podwójny morderca. Był wyrzutkiem społeczeństwa, zarówno wśród białych, jak i wśród Indian. Śmiertelnie bał się o Emmę. A potem siostry pojawiły się, całe i zdrowe, wściekłe na niego i na siebie nawzajem.

Dziennikarze byli w swoim żywiole. Cała trójka błyskawicznie zyskała sławę.

Sara Gold pracowała w jednej z gazet w Albuquerque. Przyszła na otwarcie wystawy i zaczęła go wypytywać o zaginione bliźniaczki. Mike odmawiał odpowiedzi na wszystkie pytania oprócz tych, które dotyczyły jego rzeźb.

Sara aroganckim krokiem przemierzała galerię wzdłuż i wszerz.

– Oczywiście, że chcę zapytać o bliźniaczki
– przyznała, kładąc rękę na rzeźbie mustanga.
– Ładne. Pełne życia. Porywające. Może rzeczywiście dobrze się zapowiadasz. Ale kogo obchodzi jakiś Mike Greywolf? Kim on jest w porównaniu z bliźniaczkami? Gdzie one są? Powiedz mi, Mike.

– Wynoś się stąd.

– Moi czytelnicy chcieliby się dowiedzieć, czy ta rozbierana scena w „Zdradzonej”, gdzie bohater wybija okno, by się dostać do ukochanej, miała miejsce w rzeczywistości. Interesuje ich również nieślubna córka Kary Shayne i indiańskiego ojca, czyli twoja Lilly. Są ciekawi, czy odnowiłeś romans z nimi obydwoma i czy kochałeś się z nimi jednocześnie, a potem je zabiłeś. I jeszcze, gdzie ukryłeś ciała.

– Ani słowa więcej.

– Masz takie wielkie dłonie.

– Jesteś bezczelna!

– A ty jesteś barbarzyńcą! Mordercą!

Siłą prowadził ją w kierunku wyjścia.

– Dogrzebałam się rzeczy dotyczących twojej przeszłości, o których prawdopodobnie nawet nie wiesz!

Mike usiłował zamknąć za nią drzwi.

– To moja praca... odkrywanie prawdy.

– Ha! – wykrzyknął triumfalnie, zatrzasnąwszy drzwi nieco zbyt gwałtownie.

Gdy okazało się, że Kara żyje, Sara przyjechała na ranczo La Golindrina, gdzie zatrzymał się Mike. Znalazł ją wędrującą po żwirowych ścieżkach w ogrodzie, gdzie postawił swe rzeźby. Tym razem w rozmowie skupiła się na jego sztuce, ale raził go jej autokratyczny ton i pytania wystrzelwane w tempie karabinu maszynowego.

Nie wiedział, że jest nowa w pracy i że pod maską tupetu skrywa nieśmiałość i poczucie winy. Fałszywa duma nie pozwoliła jej przeprosić go za wcześniejsze podejrzenia. W końcu stracił cierpliwość i zrobił sobie drinka.

– Twierdziłaś, że mówisz prawdę, ale wcale tak nie jest – powiedział. – Wiesz, z czym mi się kojarzysz? Z najgorszym rodzajem turystów w indiańskim rezerwacie. Pakujesz mi aparat fotograficzny prosto w twarz, wierzysz w coś, co sama wymyśliłaś, a nie w to, co jest prawdą, i notujesz każde moje słowo, jakbyś nie miała mózgu i nie potrafiła niczego zapamiętać.

Pochylił się i wyłączył jej laptop. Może do niczego by między nimi nie doszło, gdyby Mike nie miał na świeżo w pamięci sceny z Karą w jej sypialni i gdyby nie poczuł, że Sara pachnie bzem, tak samo jak Emma.

– Mike, dlaczego nie chcesz rozmawiać o bliźniaczkach?

– Bo marzę, by o nich zapomnieć. Dwukrotnie omal nie zniszczyły mojego życia!

– Kłamiesz.

– Posłuchaj mnie, Saro. Odłóż notes i poznaj mnie naprawdę. A potem wróć do Albuquerque i napisz wszystko, czego się dowiedziałaś.

Nalał jej tequili i pokazał, jak się ją pije.

Może to alkohol sprawił, że był z nią zupełnie szczery, odkrył się za bardzo. Wypiła za wiele, a potem, jakby mimochodem, ujawniła przed nim sekrety, o których wolałby nie wiedzieć.

– Wybierasz się w przyszłym tygodniu do Santa Fe na otwarcie muzeum Indiany Parsons?

– Do diabła, nie.

– Dlaczego nie? W końcu Sando Parsons jest twoim przyrodnim bratem.

– Nie...

– A jak sądzisz, dlaczego zainteresował się twoją sztuką, skoro powszechnie wiadomo, że ma liczne uprzedzenia wobec rdzennych Amerykanów? Przecież...

– Kłamiesz!

– Indiana Parsons jest twoją...

– Zamknij się!

– Oddała cię, bo twój ojciec był Indianinem.

– Powiedziałem...

– Mike, znalazłam dowody.

– Nie chcę o tym słyszeć.

Dlaczego więc słuchał?

– Rozmawiałam z pielęgniarką, która pracowała w szpitalu, gdzie się urodziłeś. Powiedziała

mi, że kobieta może urodzić bliźnięta, których ojcami są dwaj różni mężczyźni. Indiana właśnie takie urodziła – ciebie i Raymonda. Ty byłeś zbyt ciemny jak na dziecko jej białego męża. Parsons wyrzucił ją z domu razem z tobą, więc zawiozła cię do Shanto Greywolfa. Potem...

– Wynoś się stąd!

– Gdy jej mąż trochę się uspokoił, Indiana wróciła do niego. A ty dorastałeś, pasąc owce i ledwie umiałeś czytać, gdy Czarina... Indiana zapłaciła, by Czarina cię adoptowała.

Mike patrzył w dal ponad jej ramieniem.

– Powiedziałem ci, że masz się stąd wynieść – rzekł cicho.

Ale Sara nie przyjmowała niczyich poleceń.

Pojechał potem do jej redakcji i błagał, żeby tego wszystkiego nie pisała.

– Mike, ja wierzę w wolność prasy. Czytelnicy mają prawo poznać prawdę.

– Niektóre sprawy są zbyt prywatne.

– Nie w moim świecie. Teraz już nie. Jesteś synem Indiany. I kochankiem Kary.

– Nie pisz o tym.

– To moja wielka szansa...

– Nie pisz. Ja mogę być twoją wielką szansą.

– W jaki sposób?

– Jeszcze dobrze nie wiem. Czujesz się czasem samotna? – zapytał łagodnie. Skinęła głową.

-
- Ja też. – Położył rękę na jej ramieniu. – Chciał-
bym cię rzeźbić. Będziesz mi pozować?
– A czego jeszcze chcesz?
– Więcej. O wiele więcej.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Sara nie zadzwoniła ani tego wieczoru, ani następnego. Nie chciał o niej myśleć, ale nie potrafił się powstrzymać, zwłaszcza gdy znalazł się w łóżku. Przez cały dzień rozmyślał o tym, co powiedziała mu o Indianie Parsons.

Jego matka nie żyła. Myśl, że mogło być inaczej, wydawała mu się przerażająca, ale zarazem dziwnie ekscytująca.

Raymond – biały chłopak, bardzo podobny do niego. Indiana – artystka. Mike nie cierpiał jej prac. Była dobra. W innym wypadku zapewne jej obrazy w ogóle by go nie obchodziły.

Sam nie wiedział, co kazało mu wybrać się na otwarcie Muzeum Indiany Parsons w kilka dni później. I oczywiście wszedł tam w chwili, gdy Indiana stała na podwyższeniu i przemawiała do

publiczności. Na ścianach wisały jej śmiałe, pełne ekspresji płótna, ledwie dziesięć lat wcześniej uznane za obrazoburcze. Teraz ich szkarłat, złoto i purpura pyszniły się na tle bieli.

Skondensowana namiętność. Najbliżej Mike'a wisiał portret Marilyn Monroe w koronie ze szmaragdowych cierni kapiących rubinami. Półnagie ciało, oplecione łańcuchami, przybite do krzyża. Wyraz twarzy miała dokładnie taki sam jak martwy Shanto Greywolf. Obrazy Indiany odpychały go, a zarazem fascynowały bardziej niż cokolwiek innego, co kiedykolwiek widział.

Wredna, kontrowersyjna, niezrozumiana, Indianka była ikoną świata sztuki. Nikt jej nie obchodził, może oprócz niej samej.

Ale była dobra w tym, co robiła.

Szczupła i seksowna, miała na sobie czarne wysokie buty, obcisłe spodnie do jazdy konnej i bluzkę z dużym dekoltem. Wydawała się bardzo wysoka. W jej głosie brzmiała porywająca, dzika namiętność.

Na odgłos trzaśnięcia drzwi urwała w pół słowa i zatrzymała wzrok na Mike'u. Zauważył w tłumie Sarę i Raymonda i przez jego żyły zaczęła płynąć czysta adrenalina.

– Mamy wśród nas jeszcze kogoś znanego
– oświadczyła.

Wszystkie twarze zwróciły się w stronę Mike'a. Sara wstała, a Raymond wybiegł z sali.

– Czas już chyba, żebym przedstawiła wam młodego człowieka, który jest dla mnie bardzo ważną osobą...

Upokorzony Mike uciekł. Na ulicy wskoczył za kierownicę samochodu i z całej siły przycisnął pedał gazu.

Przez wiele dni obawiał się jakiegoś ruchu ze strony Sary lub Indiany, ale nic się nie stało. Indiana ignorowała go, a Sara napisała o jego rzeźbach. Gdy artykuł się ukazał, Mike odczekał tydzień, zanim do niej zadzwonił.

– Nadal chcesz się ze mną spotykać? – zapytała.

– Nazwij to, jak chcesz.

Przyjechała do niego w skąpych czarnych szortach i obcisłej bluzeczce i zaprezentowała niezły spektakl. Wieczorem, przy tequili, wysypała sól z dłoni Mike' a na swoje uda i poprosiła, by ją zlizał, a potem owinęła nogi wokół jego szyi.

Jeszcze tej samej nocy zaproponowała mu małżeństwo.

– Szybka jesteś – stwierdził.

– Nie sydam z byle kim. Wiem, czego chcę. A ty czego chcesz, Mike?

– Jestem samotny. Pragnę czegoś nowego.

Chciał zostawić za sobą Emmę, rodzinę Shayne'ów, Nowy Meksyk i Indianę. Zapomnieć o wszystkich Parsonsach, włącznie z Sando.

– Muszę zacząć od nowa – powtórzył. – Pragnę być kimś, ale na moich warunkach.

- Ożeń się ze mną. Pomogę ci.
- Jest coś, o czym najpierw muszę zapomnieć. Tym razem nie naciskała.

Uciekł w rzeźbienie, jego wyobraźnia stała się najlepszym schronieniem. Pracował nad posągami bliźniaczek z nadzieją, że w ten sposób wyrwie się spod ich wpływu. W rok później, gdy skończył, wrócił do Stanów i Sara znów mu się oświadczyła.

– Do diabła, właściwie dlaczego nie? – szepnął z uśmiechem.

Uświadomił sobie, że ślub nie jest czymś aż tak istotnym, jak wydaje się większości kobiet. Sara była atrakcyjna. Powiedziała, że dla niego zrezygnowała ze swojej wielkiej szansy, że jest bogata i chce go wypromować.

Już podczas nocy poślubnej uświadomił sobie, jak wielki popełnił błąd. Sara nie rozwiązywała żadnego z jego problemów. Była rozpychającą się łokciami materialistką i zupełnie nie sprawdzała się jako macocha. Próbował wytrwać w tym małżeństwie, ale z biegiem czasu było coraz gorzej.

Lilly nie znosiła Sary ani snobistycznych prywatnych szkół, do których posyłała ją macocha. Gdy zaczęła dojrzywać, przekłuła sobie uszy i kupiła wojskowe buciory.

Sześć miesięcy temu zakochała się w łysym chłopaku o imieniu Nafu, który zaraził ją filozofią

New Age, a co gorsza, pokazał jej wycinki z prasy na temat bliźniaczek. Lilly popadła w obsesję na punkcie Kary i plotek, że jest jej córką. Gdy Mike nie chciał z nią o tym rozmawiać, uciekła do Malibu z zamiarem odszukania Kary i zadania jej kilku ważnych pytań. Na szczęście wielka gwiazda przebywała akurat w jednej ze swych owianych tajemnicą podróży. Jej pokojówka zadzwoniła do Czariny, która poleciała po Lilly i zabrała ją do Nowego Meksyku, a potem powiadomiła o wszystkim Mike' a.

– Przykro mi, że przysporzyłam ci zmartwień, tato – oświadczyła mu Lilly potem nieznośnym, protekcyjnym tonem. – Bardzo mi się podoba w Nowym Meksyku. Lubię wujka Sando, wujka Stuarta, babcię i ciocię Zet. W Nowym Jorku nie czułam tej magnetycznej energii, która jest mi potrzebna jak tlen. Ty i Sara nie pasujecie do siebie. Nie chcesz rozmawiać ze mną o mojej prawdziwej matce, a ciocia Zet chce.

– No to teraz ja pogadam sobie z Zet.

– Nie chciałabym cię urazić, ale jeśli będziesz próbował mnie zmusić, żebym zamieszkała z Sarą, która jest zazdrosna o Karę, to ucieknę. Tylko że następnym razem już mnie nie znajdziesz.

Nie powiedział jej, że jeśli znów ukradnie jego kartę kredytową, to wyśledzenie jej nie będzie żadnym problemem.

– Kochanie, Sary już nie ma.

– Szkoda. Naprawdę bardzo mi przykro.
– Czyżby? Przecież kłóciłyście się przez cały czas.

– Kłóciłyśmy się o moją szkołę i inne takie. Chciała ukształtować mnie na swoją modłę, ale ja nie zamierzam być drapieżną harpią cierpiącą na przerost ambicji. To nie mój styl. Tylko że ona przynajmniej troszczyła się o mnie, a ciebie nic nie obchodzi. Zamykasz się na całe tygodnie w pracowni i zapominasz o moim istnieniu.

– Czy ten Nafu jest teraz z tobą?

– Tato, jeśli nie pozbędziesz się uprzedzeń wobec moich przyjaciół, to nigdy nie wrócę do domu. Wujek Sando bardzo lubi Nafu.

Mike zazgrzytał zębami. W słuchawce rozległ się teraz kojący głos Czariny, która zaczęła go przekonywać, że Lilly potrzebuje powrotu do korzeni.

– Tu jest chyba mniej pokus niż w dużym mieście. Może ona potrzebuje swojej babci, mnie i Stuarta...

– Frances mnie nienawidzi.

– A co cię to obchodzi? Zostawi cię w spokoju. Teraz, gdy jej córki wyjechały z domu na dobre, zmieniła się na lepsze, złagodniała. Mogę ci wydzierżawić La Golindrinę z możliwością kupna.

– Dlaczego chcesz to zrobić?

– Wychowałam cię. Lilly należy do rodziny.

– Wszyscy byli przekonani, że zabiłem...
– Głupcy... Mógłbyś znowu zajmować się moimi zwierzętami. Miałbyś gdzie urządzić odlewnię i duże studio. Twoje piły i młotki nikomu by tu nie przeszkadzały. A stara szkoła to wspaniałe miejsce na magazyn. Jeśli chcesz się schować przed światem, nie znajdziesz nic lepszego. Ja zajmę się Lilly.

Wiedziała, czym go skusić. Z Nowego Jorku miał godzinę drogi do odlewni w New Jersey.

Jako dzieciak kochał to ranczo. Może Zet zostawiała mu trochę za dużo swobody. Mnóstwo czasu spędzał na rozległych pastwiskach, wśród sosen i jałowców otaczających posiadłość.

– Wiem, że czternaście lat temu bardzo walczyłeś o Lilly, ale nie jest łatwo dogadać się z nastolatką – dodała Zet.

– Dlaczego ona stała się taka niemożliwa? Kiedyś robiliśmy wiele rzeczy razem. Dawałem jej śniadanie, a potem odwoziłem do szkoły. Przychodziła do mojego studia i godzinami patrzyła, jak pracuję. A teraz ciągle mnie poucza, nawet kiedy smażę bekon. Ona jest wegetarianką.

– Młode dziewczyny to wrażliwe i skomplikowane istoty i trzeba się z nimi obchodzić jak ze śmierdzącym jajkiem. Lilly ma już czternaście lat, w dodatku płynie w niej krew Shayne'ów. W naszej rodzinie w tym wieku wszyscy zaczynają wariować. Mogłabym ci o tym długo opowiadać.

Mike nadal nie był pewien, czy powierzenie opieki nad Lilly lekko zwariowanej Zet jest najlepszym pomysłem.

– Czy Nafu jest tam z nią?

– Jeśli wrócisz do domu, to pomogę ci z Lilly. To wszystko, co mam do powiedzenia – oznajmiła Zet i zakończyła rozmowę.

Lilly, gdy chciała, potrafiła owinąć sobie każdego wokół palca.

Gdy Zet wyekspediowała Nafu z rancza, Mike uznał, że może jednak z jej pomocy będzie więcej pożytku niż szkody. I w ten sposób obydwójce z Lilly wylądowali w Nowym Meksyku.

Jednak nawet wtedy stosunki między nimi wcale się nie poprawiły – przeciwnie, z dnia na dzień coraz trudniej było im się dogadać. Mike irytował się na córkę za każdym razem, gdy dostrzegł w jej uchu nowy kolczyk, gdy patrzył na jej powiewne suknie i rozpuszczone rude włosy. Cóż, przynajmniej mieli więcej przestrzeni. Główny budynek mieszkalny stał wśród wysokich topoli w pobliżu rzeki. Miał wysokie, belkowane sufity i mnóstwo wolnych sypialni. Lilly mogła uciekać na pustynię i tam w samotności uzalać się nad sobą, kiedy tylko ogarniała ją chandra.

Gdy w końcu dochodziła do wniosku, że czegoś chce, wślizgiwała się do jego studia, podobnie jak poprzedniego popołudnia przed przyjazdem Sary. W takich chwilach jej zachowanie cechowała

nonszalancja, która budziła niepokój Mike'a. Zwykle najpierw wypytywała o jego pracę, a potem jasno formułowała swoje żądania.

Tym razem ubrana była w długą, luźną sukienkę w kilku odcieniach różu i mocno zabudowane, ciężkie sandały.

– Co ty tu robisz sam całymimi dniami, tato?

To samo, co zawsze, pomyślał, mieszając mokłą glinę.

– Mabel wróciła właśnie z objazdu – powiedziała Lilly. – Przywiozła nam przepiękne dywaniki.

– Jesteś okropnie rozrzutna.

– Miałeś mi powiedzieć, co tu właściwie robisz.

– Jeśli sama tego nie widzisz, to znaczy, że to co robię, nie ma żadnego sensu.

– Oczywiście, że ma sens. Dlaczego nie pracujesz już w granicie?

– To taka rozgrzewka. Boję się, żeby czegoś nie zepsuć.

– Aha. Wiatr. Pamiętam, mówiłeś, że cię rozprasza.

Jego córka wyglądała zabójczo atrakcyjnie, a zarazem była jeszcze dzieckiem. Miała irytujący artystyczny temperament, choć dotychczas nie stwierdził u niej żadnych talentów.

Przez dłuższy czas krążyła dokoła. Wzięła do ręki album, przekartkowała, a potem odłożyła go

z powrotem na stertę zakurzonych pism. Irytacja Mike'a wzrastała. Czy jest na tym świecie coś bardziej denerwującego niż własne nastoletnie dziecko?

Jej zielone oczy błędziły po wszechobecnych szkicach węglem, wielkich piłach z diamentowymi tarczami, młotach pneumatycznych i stalowych łomach, niesprzedanych eksponatach z ostatniej wystawy, wielkim bloku różowego kamienia, który Mike ostatnio wyciął z jeszcze większego odłamu skały. W końcu podeszła na palcach do glinianego popiersia, nad którym obecnie pracował.

– To jest... to jest piękne, tato. Choć prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co ma przedstawiać.

– To abstrakcja – mruknął Mike, formując wielką kulę z gliny.

Lilly nie zadowoliliła się tym wyjaśnieniem.

– Czy to Sara? – zapytała ze zmarszczonym czołem.

– O Boże, nie!

– Szkoda – westchnęła.

– A więc jednak nie podoba ci się.

– Nadal ją kochasz?

– Kogo? – zapytał Mike, nie podnosząc wzroku znad kuli.

– Skoro pytasz, to znaczy, że jej nie kochasz. Biedna Sara. Dzwoniła kilka razy, gdy się tu ukrywałeś.

- Nie ukrywałem się.
- Nie widzę żadnego nowego dzieła.

Mike wrzucił nadmiar gliny do wiadra z wodą, zdjął z półki dłuto, wbił je w popiersie i szybko wyrzeźbił zarys nosa i ucha.

- O – powiedziała Lilly obojętnie.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że dzwoniła?

Miała jeszcze na tyle przyzwoitości, by się zaczerwienić.

- Bo... zapomniałam.
- Naprawdę? – mruknął sceptycznie.
- Tato, ale skoro już wiesz, to chyba do niej oddzwonisz?

– Myślałem, że ona cię denerwuje.

– Bo denerwuje, ale właśnie tak powinno być z macochami, prawda?

- To chyba znaczy, że była dobra, tak?
- Pewnie masz mnie już serdecznie dosyć.
- Może przez ten wiek...

– Nie pochlebia mi to. Przyszłam tutaj, żeby pokazać się z lepszej strony.

– Aha, wreszcie zrozumiałem, o co ci chodzi – rzekł Mike, próbując zatrzeć wszelkie ślady ironii w głosie. – To bardzo miło z twojej strony.

– A poza tym, mam pewną pilną sprawę. Naprawdę, nie chciałam przeszkadzać ci, gdy w końcu wzięłeś się do pracy, ale widziałam coś, co po prostu muszę mieć. I nie mogę znaleźć...

Mike wytarł dłonie w szmatę.

- O co chodzi?
- To jest... w mieście. Wiesz, ciągle narzekasz, że nie podobają ci się moje ubrania...
- Mike zatrzymał wzrok na jej różowej szacie.
- Chcesz pojechać na zakupy? Znowu?
- No, wypatrzyłam coś w centrum handlowym. Zobaczysz, że ci się spodoba. Po drodze moglibyśmy porozmawiać. Nigdy nie ma na to czasu.
- Wczoraj wiozłem cię do miasta i jechałaś w słuchawkach na uszach.
- Ale było fajnie, prawda? – zawołała Lilly z rozjaśnioną twarzą.
- Lilly, nie możesz codziennie jeździć na zakupy.
- A dlaczego nie?
- Za dużo wydajesz. A ja jestem kiepskim ojcem, bo ci na to pozwalam.
- Wujek Stuart mówi, że jeśli ma się pieniądze, to nie ma nic złego w ich wydawaniu.
- On jest bogaty, a ty na razie nie zarobiłaś ani grosza.
- Ależ ty jesteś staroświecki – westchnęła.
- A co ja mam robić całymi dniami, gdy ty siedzisz zamknięty w studiu? Mogę tylko odwiedzać wujka Stuarda, ciocię Czarinę albo babcię. To nudne.
- Mogłabyś wreszcie rozpakować rzeczy. Zapłacę ci za każde pudło.

– Tylko że ja nie potrzebuję pieniędzy. Mamy przecież karty kredytowe.

– To ja mam karty kredytowe.

– Na jedno wychodzi – wzruszyła ramionami. Naraz spojrzała w okno ponad jego ramieniem i jej twarz rozjaśniła się podnieceniem. – Może to Nafu... – zawołała i wybiegła.

W stronę budynków zbliżał się czerwony obłok kurzu, wzniesiony przez jaskrawobłękitną korwetę należącą do Mike'a. Droga prowadząca do domu była właśnie w przebudowie, ale Sara nie zwracała uwagi na ograniczenia szybkości, pacholki ani znaki ostrzegawcze.

– Zrób coś dla mnie – jęknął Mike. – Zatrzymaj na chwilę tę maniaczkę, a ja tu trochę posprzątam.

– Ale przecież obiecałeś, że pojedziemy kupić tę czarną sukienkę!

– Nic nie obiecywałem.

– Obiecałeś, tato!

Niech to diabli! Czyżby naprawdę coś jej obiecał?

– W takim razie pojedziemy jutro.

– Dzisiaj!

– Lilly!

– Wujek Stuart zawsze dotrzymuje słowa, a jest znacznie bardziej zajęty niż ty! Przez cały czas pracuje, szczególnie teraz, kiedy zamierza wykupić tę drugą firmę!

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi wcześniej o telefonach Sary. Gdybym do niej zadzwonił, to może by tu nie przyjechała.

Lilly ze złością obróciła się na pięcie i zniknęła, jak miała to ostatnio w zwyczaju.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nastolatki to najbardziej irytujące stworzenia na świecie. Gdy płaczą się w pobliżu, potrafią doprowadzić do furii, a gdy ich nie widać, człowiek natychmiast zaczyna się zastanawiać, co im akurat strzeliło do głowy. Gdzie, do diabła, podziewała się Lilly?

– „Dzisiaj rano cała Wall Street oniemiała z wrażenia, gdy komputerowy rekin Stuart Shayne ogłosił, że przygotowuje wrogie przejęcie Bendek Tech”.

Mike wyłączył radio. Stuart był ostatnią osobą, o jakiej miał ochotę myśleć w tej chwili. Nie bardzo wiedział, co sądzić o tym nowym Stuarcie, który po operacji plastycznej nosa stał się niewiarygodnie przystojny. Był również niewiarygodnie bogaty. Niegdyś zakompleksiony chłopak, teraz

milioner, wręcz modelowy wujek. Geniusz elektroniki z dnia na dzień stał się bezwzględny piratem w świecie korporacji. Kim był naprawdę?

Bogu dzięki wiatr już ucichł. Huśtawka Lilly, zawieszona na gałęziach topoli, niemal się nie poruszała. Gdyby jeszcze Mike wiedział, gdzie podziewa się jego córka, to może udałoby mu się spokojnie pracować.

Popołudniowe niebo było bezchmurne i wokół panowała niemal zupełna cisza. Piękno okolicy nie poruszało Mike'a już tak mocno jak kiedyś, gdy prowadził owce na nieznane tereny i spędzał całe tygodnie poza domem. Biali ludzie wiele go nauczyli, ale odebrali mu równie dużo.

Od strony pustyni powiał lekki wietrzyk. Powietrze pachniało kwitnącymi drzewami brzoskwiniowymi. Krzewy bzu obok hoganu Mabel miały już pąki. W dzieciństwie Mike czuł, że bezludny bezkres pustyni tkwi w jego duszy i sercu. Wówczas traktował takie wrażenia jako coś oczywistego i nie zdawał sobie sprawy, że to właśnie z nich czerpie siłę życiową. Dopiero po latach zrozumiał, że sława, bogactwo i zwycięstwa odnoszone w walkach białych ludzi nigdy nie zapewnią mu poczucia doskonałej harmonii, jakie odczuwał w dzieciństwie.

Kiedyś lubił patrzeć z okna na Manhattan. Ludzie wyglądali z góry jak mrówki, taksówki i autobusy jak zabawki. Mrówkom wydawało się,

że są ogromnie sprytne i wyrafinowane, ale były zupełnie pozbawione kontaktu z własnym wnętrzem. Biegły, żeby dotrzeć gdzieś szybciej od innych, ale zmierzały donikąd. A on sam wcale nie był lepszy.

Sądził, że uda mu się zostawić ten okres życia za sobą, jednak ogrom milczącej pustyni wzma-gał jeszcze uczucie wewnętrznej pustki.

Gdzie do diabła podziewała się Lilly? O co chodziło z tym dojrzewaniem? Mike nie był do końca przekonany, że to tylko wpływ hormonów. Zachowywała się okropnie, ekstrawagancko, egoistycznie, samowolnie, lekkomyślnie i ciągle z nim walczyła. A gdy była mu potrzebna, nigdy nie mógł jej znaleźć. Tak jak teraz.

Bank z Tuscon zamówił u niego rzeźbę. Robotnicy wycięli trzytonowy blok różowego granitu z kamieniołomu w Teksasie i przywieźli mu do studia. W zeszłym tygodniu wstępnie uformował surowy kamień wiertłami i młotem pneumatycznym, a potem wiatr zaczął szarpać okiennicami i Mike przerwał pracę. Dziś rano jednak wróciła mu ochota, by się zająć tym projektem. Przyłożył ucho do różowego kamienia, ale nic nie słyszał, nic nie czuł. Wziął więc postrzępiony notes, pełen pomysłów, cytatów i szkiców i wyszedł pomyśleć na zewnątrz.

A teraz stał pod topolą z kawałkiem węgla w ręku i wpatrywał się w papier rozpięty na

sztalugach, ale w głowie miał zupełną pustkę. Może dobrze by mu zrobiła krótka wycieczka do myśliwskiego hoganu, gdzie zawsze się ukrywał, gdy chciał побыć zupełnie sam.

Ręka sama naszkicowała twarz, która była zbyt piękna, zbyt dojrzała i zbyt uparta jak na twarz czternastolatki. Dziewczyna miała wysoko osadzone kości policzkowe i przekorny, a zarazem słodki uśmiech. W oczach widać było egocentryzm i niewinność. Długie, rozwichrzone włosy nie mieściły się na papierze. Na szyi, zawieszony na czarnej wstążce, miała okropny krzyż koptyjski, pamiątkę po Nafu.

Zawahał się, szkicując jej uszy. Te cholerne kolczyki! Cały rysunek wydał mu się zbyt zmysłowy i śmiały. Ze złością zerwał kartkę ze sztalug.

Bardzo dobrze rozumiał, dlaczego Nafu stracił głowę dla Lilly.

Zmusił się, by zajrzeć do notesu, i ku jego zdziwieniu, następny rysunek, który wyszedł spod jego palców, nie przedstawiał już córki. Iskra została wzniecona i rozpoczął się proces twórczy. Mocne, brązowe palce poruszały się szybko i wkrótce trawa wokół niego usłana była tuzinem arkuszy papieru. Czuł, jak rośnie w nim napięcie, ale nie potrafił jeszcze uchwycić tego, co powoli wyłaniało się z głębin umysłu.

W końcu zerwał ostatnią kartkę. Wiedział, że teraz musi dać sobie czas, a to, co miało nadejść,

po prostu samo przyjdzie. Nauczył go tego ojciec, który był uznanym projektantem srebrnej biżuterii.

Wierz w siebie, Mike.

To był głos Emmy. Skąd się tu nagle wzięła? W przeciwieństwie do Sary, która doskonale potrafiła promować jego prace, Emma umiała po prostu siedzieć przy nim w milczącej harmonii. Czasami czytała albo pisała coś, innym razem zamykała książkę i podparta na łokciu patrzyła na niego. Lubił pracować, gdy była w pobliżu. Pierwszy naprawdę dobry odlew z brązu, jaki wykonał, przedstawiał właśnie ją. Nigdy nikomu go nie pokazywał, podobnie jak nagiego posągu Kary, i wiedział, że już tego nie zrobi. Te prace były zbyt sentymentalne, wręcz kiczowate. Od tamtego czasu Mike wyraźnie zmienił styl.

Pracował jeszcze dwie godziny, a Lilly nadal się nie pokazała. Tak długie nieobecności zawsze oznaczały jakieś poważniejsze kłopoty.

Bezmyślnie bazgrał węglem po papierze i nagle mgła się rozstąpiła, a w jego umyśle pojawiła się wizja. Zapomniał o Lilly i Emmie. Widział wodospad i konie... jednego konia. Arabski ogier z rozdętymi nozdrzami pędził przez pustynię...

Ułyszał łoskot otwieranych drzwi magazynu i zastygł. Wizja zniknęła, a on w pierwszej chwili pomyślał o Sarze. Przez kilka sekund gapił się bezmyślnie w ziejący czernią prostokąt. Potem poczuł, że tętno mu przyśpiesza.

– Lilly!

Nie poszła do szkoły tego dnia, gdy ciężarówki przywiozły posągi bliźniaczek. Wieczorem pojawiła się w jego studiu.

– Mabel mówiła, że przyjechały wielkie ciężarówki...

– A wychowawca mówił, że nie było cię w szkole.

– Podobno ciężarówki były tu prawie przez cały dzień – ciągnęła Lilly, nie reagując na jego zarzut.

– Dlaczego nie poszłaś dziś do szkoły?

– Źle się czułam, ale nie chciałam cię martwić.

Nie wracała już więcej do tematu ciężarówek. To powinno było go zastanowić. Pobiegł teraz do magazynu.

– Lilly!

Na dźwięk jego głosu wysunęła głowę z mrocznego wnętrza. W słońcu zabłysły trzy pary kolczyków w jej uchu. Włosy miała splecione w dziesiątki cieniotkich warkoczyków. Gdy ujrzała wyraz jego twarzy, poblądła, ale zdobyła się na uśmiech.

– Mam nadzieję, że dobrze ci idzie praca?

– Dlaczego nie jesteś w domu? – zawołał.

– Obiecałaś rozpakować pudła.

– Musisz coś zobaczyć! – zawołała z podnieceniem i znikła w głębi pomieszczenia.

Światło wpadające przez otwarte drzwi oświet-

łało wąską smugą przejście pośrodku, ale ką, w którym Lilly kłęczała nad otwartą skrzynią, pogrążony był w cieniu. Dopiero gdy zapaliła światło i nad jej głową rozbłysła żarówka, Mike zauważył, że ktoś zdjął pokrywy ze skrzyń. Ze wszystkich stron patrzyły na niego pary identycznych, promiennych twarzy z brązu.

Po raz pierwszy zwrócił uwagę na dziwny zapach, jaki unosił się w magazynie, i włosy na karku stanęły mu dęba. Stworzył te figurki, by uwolnić się od bliźniaczek, a nie po to, by je znów przywoływać. Magazyn skojarzył mu się z kiwą, prastarym siedliskiem umarłych. Jego indiańska dusza czuła, jak ze wszystkich skrzyń wypełzają duchy i gromadzą się wokół niego.

– To Kara i Emma, prawda? – zapytała lekko Lilly, grzebiąc w skrzyni. – Och, tato, dlaczego nigdy wcześniej nie pokazałeś mi tych figurek? Są takie piękne! O wiele lepsze od tych bezkształtnych brył, które tworzysz teraz. Och, przepraszam... to znaczy, od tych abstrakcji.

Gdy tworzył posążki, czuł się samotny i zagubiony. Chciał się uwolnić od duchów. Teraz żałował, że nie zniszczył wszystkich skrzyń od razu, gdy je tu przywieziono.

Dusił go zapach magazynu. Co to właściwie było, szczury? A może złe duchy zmarłych? Czuł się podobnie jak kiedyś w kiwie, gdy nadleciały nietoperze.

– Nie powinnaś tu przychodzić – powiedział do córki.

– Tato, nie traktuj mnie jak dziecko. Jestem już zmęczona twoimi tajemnicami. Pewnie dlatego nie ma między nami prawdziwej więzi. Zamykasz się przede mną.

To przed duchami chciał się zamknąć.

– Sara...

– Sara? – powtórzył, podchodząc do Lilly. Ten magazyn był *chindi* – zaklęty. Poczuli, że powinien pozamykać wszystkie figurki z powrotem w pudłach, gdzie było ich miejsce, by już nikt ich nie oglądał ani nie dotykał. Właściwie powinien je zniszczyć.

Ale na to było już za późno.

– Powiedziałam Sarze o tych ciężarówkach, i ona... – ciągnęła Lilly, podnosząc następne wieko. W skrzyni znajdował się posążek nagiej Kary w prowokacyjnej pozie.

– Oooch – westchnęła dziewczynka. Figurka wyglądała, jakby rozświetlał ją jakiś wewnętrzny blask. Kara miała na twarzy swój enigmatyczny półuśmiech, który wabił mężczyzn i zwabił również Mike'a do jej pokoju hotelowego tamtej pamiętnej nocy. Statuetka była tak otwarcie erotyczna, że mógł ją stworzyć tylko kochanek modelki.

Mike otarł wierzchem ręki spocone czoło. Gardło miał ściśnięte tak mocno, że nie mógł

mówić. Czuł jednocześnie wściekłość, lęk, smutek, rozpacz i wyrzuty sumienia.

Lilly oczywiście nic z tego wszystkiego nie rozumiała.

– Jejku! Jejku! – zachwycała się z uniesieniem. – Tato, musiałeś bardzo kochać Karę... tak jak ja Nafu.

– Utrzymujesz jeszcze kontakty z tym cholerynym guru?

– Nie... nie w tym tygodniu.

Coś w jej wesołym i niewinnym tonie zaniepokoiło go nie na żarty.

– Gdy miłość jest w tobie, pojawia się również w życiu – wymądrzała się Lilly, dotykając krzyża na swojej szyi. – Nic dziwnego, że między tobą a Sarą nie było harmonii. Jak miała być, skoro kochałeś bliźniaczki?

– Nic nie rozumiesz – westchnął Mike.

– Kara jest teraz bardzo sławna. Gdybyś wystawił te figurki, szczególnie tę nagą, wszyscy chcieliby je zobaczyć. Może nawet Kara i Emma przyszłyby... razem. Może by się pogodziły. I ja bym ją wreszcie poznała...

– Ale ja wcale tego nie chcę – mruknął Mike.

– Ale ja bym bardzo chciała – szepnęła.

– Nie! – wykrzyknął poirytowany, zatrzaszczając pokrywę. Potem następną i jeszcze następną. Trzaski rozlegały się jeden po drugim jak wystrzały z karabinu.

– Wróciłeś tu ze względu na nie – oskarżyła go Lilly. – Kochałeś je. Obydwie.

– Nie – powiedział, zatrzymując wzrok na jej twarzy.

Głos Lilly zmienił się, stał się łagodny, trochę zalękniony.

– Chcę wiedzieć, która z nich jest moją matką – powiedziała, czerwieniąc się. – Jestem bardziej podobna do Kary... – szepnęła z nadzieją.

– Kto ci to powiedział? Kara i Emma wyglądały zupełnie identycznie.

– Stałeś się sławny, bo sypiałeś z nimi obydwoma.

– Daj temu spokój.

– Chcę wiedzieć, kim jestem!

Mike poczuł się zupełnie wyczerpany. Może rzeczywiście zwariował, ale chociaż zamknął wszystkie skrzynie, i tak mu się wydawało, że wypuścił na wolność jakąś niszczycielską siłę.

– Którą z nich naprawdę kochałeś, tato? Która jest moją matką? Chcę poznać matkę. Chcę wiedzieć, dlaczego bliźniaczki znieawidziły się nawzajem. I dlaczego wszyscy byli przekonani, że je zabiłeś. A przede wszystkim chcę wiedzieć, dlaczego sprawiłeś, że znieawidziły również mnie...

Po tych słowach w wielkim, pustym magazynie zapadła dudniąca cisza.

– One nienawidzą mnie... nie ciebie – rzekł w końcu Mike zdławionym głosem.

– Chcę mieć matkę, nie tylko ciebie.

Czy Lilly nie czuła zła, które czaiło się wokół nich? Czy miała na to zbyt wiele białej krwi?

– Tato, twoja aura jest w tej chwili jaskrawo-czerwona.

– To dlatego, że za chwilę dostanę zawału.

– Głupi. Jeśli ty mi nie powiesz, która z nich jest moją matką, to zadzwonię do wujka Sando.

– Nie mieszaj go w to! – wykrzyknął Mike.

Lilly uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Gdy wujek Sando zobaczy te figurki, nic go nie powstrzyma.

Mike rzucił się w jej stronę, pochwycił ją za łokcie i siłą odciągnął od skrzyń.

– Tatusiu!

– Lilly, miałem ważne powody, by ukryć te figurki.

– Dlaczego one obydwie zniknęły po premierze filmu? Kara uciekła do Hollywood, a Emma do Meksyku. Dlaczego Emma nigdy tu nie przyjeżdża, chociaż wszyscy, a szczególnie babcia, kochali ją najbardziej na świecie? W każdym razie wujek Stuart tak mówi.

Mike pobladł.

– Tato, te wszystkie figurki wyglądają tak samo. Nie umiem powiedzieć, która jest która.

– Bo one wyglądały tak samo... przynajmniej na zewnątrz – westchnął. – Gdy były starsze, przestały się jednakowo ubierać i starały się

różnić, ale właśnie dlatego potrafiły nabierać innych, gdy zamieniły się ubraniami.

– Czytałam, że były sobie bardzo bliskie. Wujek Stuart mówi, że zbyt bliskie. Jak jedna dusza w dwóch ciałach.

– Były identyczne... – powiedział Mike przez wyschnięte gardło. – Nierozłączne. Bliższe sobie niż matka i dziecko lub kochankowie. I to był ich największy problem.

– Ale w końcu się rozdzieliły. Przez ciebie.

Mike potrząsnął głową.

– To wszystko jest takie romantyczne – stwierdziła dziewczyna z szeroko otwartymi oczami.

Naraz wzrok Mike'a zatrzymał się na ostatnim posądku, który jeszcze nie został przykryty wiekiem. Długa, wąska skrzynia, podobna do trumny, stała przy bocznej ścianie, z dala od innych. Mike wpatrywał się w nią jak zaczarowany. Figurka przedstawiała leżącą dziewczynę, która wyglądała jak umarła. Jej delikatna twarz z brązu była zupełnie pozbawiona wyrazu. Ramiona miała bezwładnie wyciągnięte wzdłuż boków, a spod zamkniętych powiek spływały po jej policzkach lśniące łzy.

Twarz Kary. Łzy Emmy.

Mike skrzywił się boleśnie. Tamta noc była końcem wszystkiego. Kara uwiodła go zbyt łatwo. Zadręczał się myślą, że po raz drugi

zrujnował swe marzenia o Emmie i wiarę w siebie.

Pobladł jeszcze bardziej. Te duchy były zbyt realne.

– Tatusiu, muszę wiedzieć. Która z nich jest moją matką?

Zacisnął dłonie w pięści, odnalazł młotek, którego Lilly używała do otwierania skrzyń, zamachnął się i z całej siły uderzył w twarz posążku. Powtarzał uderzenia raz za razem, aż kawałki brązu zaczęły przyskać dokoła jak żwir. Uspokoił się, dopiero kiedy twarzy nie dało się już rozpoznać. Wówczas odrzucił młotek i spojrzął w przerażone oczy córki.

– Wyjdź stąd!

Przynajmniej raz nie protestowała. Gdy zniknęła, bezwładnie opadł na podłogę obok skrzyni, ale po chwili znów sięgnął po młotek. Przypominał sobie stracony rok, gdy tworzył te figurki, i powoli, metodycznie zabił gwoździami wszystkie skrzynie, jedną po drugiej.

Dopiero telefon od Sando uświadomił mu, że powinien mieć oko na Lilly przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Tu mówi Sando! – dyszał w słuchawkę jego przyrodni brat. – Lilly powiedziała mi o posążkach sióstr. A ty twierdziłeś, że nie będzie żadnej wystawy...

Mike bezmyślnie patrzył przed siebie. Na

drodze przed domem leżało rozgniecione ciało węża. Pewnie wyszedł, żeby powygrzewać się w wiosennym słońcu, a Sara go przejechała. To był zły omen.

Sando mówił coraz szybciej. Mike odpowiedział mu tylko jednym słowem:

– Nie.

Ale tego słowa nie było w słowniku jego brata.

– Odkąd Kara dostała Oscara, wszyscy w tym kraju interesują się jej życiem. Słyszałeś, że wychodzi za Raymonda, twojego bliźniaka? Możesz w to uwierzyć?

Raymond i Kara, kochankowie od czasów szkoły średniej, zamierzali się pobrać? Rzeczywiście, to było dziwne.

– Kara jest żywą legendą! Pomyśl tylko...

– Nie urządzam żadnej wystawy.

– To będzie wielkie wydarzenie!

– Po moim trupie.

– Właściwie dlaczego nie przyszło mi to wcześniej do głowy? Znowu zrobisz to z obydwoma. One się wściekną. Ray się wścieknie. Będzie chciał cię zabić. A potem znikniesz. Wszyscy pomyślą, że jedno z nich cię wykończyło... Co za fantastyczna reklama!

– Czy ty mówisz poważnie?

– Stary, Kara to w tej chwili najlepszy temat, jaki można sobie wymarzyć. Znowu wykorzystamy wątek z bliźniaczkami.

Mike zacisnął palce na słuchawce.

– Jeśli piśniesz choćby jedno słowo na temat Lilly, to obydwaj będziemy skończeni.

– Może po prostu pozwól mi pracować. Sam wiem, co trzeba zrobić. Michael, pamiętasz, co było rok temu w Nowym Jorku? Jesteś mi winien...

– Ty sukinsynu...

– Zrobimy wystawę w mojej galerii w Laguna Beach. Dzięki temu wzrosną szanse na pojawienie się Kary – oznajmił Sando i szybko odłożył słuchawkę.

Mike stał nieruchomo, intensywnie myśląc. Bliźnięta. Dobra siostra i zła siostra. Biały bliźniak i indiański bliźniak.

Urodzenie bliźniąt było zawsze znaczącym wydarzeniem w życiu Nawahów. Indiańska część duszy Mike'a wierzyła w dualizm dobra i zła. Zło należało kontrolować, zamykać.

Przez całe lata ukrywał głęboko we wnętrzu uczucia do Emmy. Ukrywał w sobie śmiertoczną moc, która wykradła go z rodzinnego hoganu i doprowadziła do rancza rodziny Shayne'ów.

Przez całe lata chował się przed tą mocą w małżeństwie, w pracowni, w swojej sztuce, ale nie mógł już dłużej tego robić. Ta ziemia i jego córka pragnęły, by się odkrył, zmuszały go do tego.

Słońce świeciło jasno, powietrze pachniało

nhem, ale pustynny wiatr jeszcze przynosił
tchnienie zimy. Wiosna była czasem między zimą
a latem, czasem przebudzenia.

Mike przypomniał sobie pytanie córki: Która
z nich jest moją matką? Nagle zrobiło mu się
bardzo zimno.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nieznośny tłok panujący na jezdni sprawił, że Mike wysiadł z taksówki o jedną przecznicę wcześniej. Był bardzo spóźniony, ale niewiele go to obchodziło. Nie chciał mieć nic wspólnego z tymi rzeźbami dwóch kobiet. Pragnął o nich zapomnieć.

– Kara! Kara! – skandował ochryple tłum fanów.

Przeszył go dreszcz. Duchy podeszły zbyt blisko. Sięgnął ręką do kieszeni, wygrzebał garść zmiętych banknotów i wsunął je w spoconą dłoń taksówkarza. Ukrywając twarz pod nisko opuszczonym rondem kapelusza, skreślił za róg.

Limuzyny zakorkowały jezdnię. Na chodniku przed galerią tłoczyły się w trzech rzędach tandetnie ubrane dziewczęta. Jezdnia, pełna świateł,

fotografów, wozów transmisyjnych i reporterów, wyglądała jak plan filmowy. Mike skrzywił się brzydko, przepychając się łokciami przez tłum. Sando. Ten sukinsyn poszedł na całość.

Mike dosyć lubił Laguna Beach. Kiedyś była to prawdziwa kolonia artystów, urocze miasto z bajecznymi domami zawieszonymi na zboczach gór i kanionów. Fale oceanu rozbijały się o wysokie klify. Główna ulica stanowiła ciąg galerii.

Wolałby być zwykłą muchą niż główną atrakcją dzisiejszego wieczoru gwiazd. Uniósł zaproszenie, usiłując niespostrzeżenie precyzyjnie się obok ochroniarza, ten jednak, najwidoczniej uprzedzony przez Sando, że ma wypatrywać długowłosego mężczyzny w znoszonych dżinsach i starym stetsonie, natychmiast pomachał ręką w kierunku orkiestry i łomot perkusji ucichł.

– To on! Greywolf! – zapiszczała jakaś kobieta i w stronę Mike’a rzuciło się pół tuzina ślicznotek. Mike zeszywniał. Dobrze wiedział, że nie chodzi tu o niego ani o jego sztukę. Sando po prostu usiłował skupić na nim uwagę mediów. Chłodnym spojrzeniem przeczesywał morze nieznamomych twarzy i ożywił się, dopiero gdy zauważył Lilly, Sando, Stuarta, Zet, Frances i Sarę. Wszyscy razem stali w odległym kącie niczym grupa konspiratorów.

Firma Stuarta zamierzała w najbliższy weekend przejąć Benedek Tech, firmę z Los Angeles,

i to był powód, dla którego Stuart pojawił się na wystawie. Frances i Zet przyleciały firmowym samolotem ze względu na Stuarta, a przy okazji zabrały ze sobą Lilly. Ale co tu robiła Sara?

Gdy Mike zatrzymał wzrok na córce, ta pobladła i nonszalancko odrzuciła włosy na plecy. W jej oczach zabłyśły łzy. Skinął jej głową, obrócił się na pięcie, podszedł do baru i zamówił whisky.

Barman, chudy blondyn z fryzurą surfera i uśmiechem przyklejonym do twarzy podał mu kieliszek szampana.

– Przepraszam, mamy tylko to.

Mike opróżnił kieliszek, a po chwili następny. Kiedy sięgał po trzeci, barman uśmiechnął się lekko. Po czwartym kieliszku Mike ‘owi zakreśliło się w głowie i postanowił trochę przystopować. Wyjął z kieszeni zapalniczki i zapalił jedną.

– Tu nie wolno palić – powiedział barman.

– Świetnie – mruknął Mike, zapalając kolejną zapalniczkę.

– Proszę pana...

Od szampana zaschło mu w ustach, a umysł wydawał się nieco przytępiony.

– No, nie żałuj sobie. Wyrzuć mnie stąd – mruknął.

Włączył się alarm przeciwpożarowy.

– No i narobił pan – wzruszył ramionami barman.

Alarm po chwili przestał wyć. Mike poczuł zapach bzu i odwrócił się szybko, czując, że tętno mu przyspiesza.

Sara, w sukience z obcistej satyny, z burzą rudych włosów i niepewnym uśmiechem na wargach, przeszływała go wzrokiem.

– Cześć, mój ulubiony barbarzyńco.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał ostro.

Wyjęła mu z ręki kieliszek po szampanie i obróciła go w palcach.

– Czy w tych historiach, które Lilly sprzedała brukowcom, jest chociaż źdźbło prawdy? Jak się po tym poczułeś?

To była ostatnia kropla przepełniająca czarę goryczy. Mała zdrajczyni w porozumieniu z Sando wyciągnęła Mike'a na zakupy, zostawiając magazyn otwarty. Jeszcze tego samego wieczoru jej rewelacje pojawiły się w prasie, a Mike po powrocie do domu znalazł zaproszenie na wystawę przybite do drzwi pustego magazynu. Siny z wściekłości, natychmiast zadzwonił do Sando.

– Stary – wyjaśnił krótko jego przyrodni brat – wyjeżdżając z Nowego Jorku, podpisałeś pewien dokument.

– To zwykły ordynarny szantaż. Te rzeźby są zbyt osobiste.

– Są zrozumiałe dla każdego. Będiesz na tej wystawie albo cię podam do sądu.

Na tym rozmowa się zakończyła.

Sara przysunęła się bliżej.

– Mike, Lilly potrzebuje matki.

– Ma mnie.

– Tak naprawdę nigdy cię nie miała... nikt cię nie miał. Dobrze o tym wiem. Żyłam przecież w tej próżni, jaką było nasze małżeństwo.

– Ależ Saro, nasze małżeństwo nic dla ciebie nie znaczyło.

– Bliźniaczki mają do ciebie żal. Ja również. Ukradłeś mi najlepsze lata mojego życia, Greywolf. Wykorzystałeś mnie. Zdobyłeś sławę, a ja nie dostałam nic.

– Przecież ożeniłem się z tobą. To ty się ze mną rozwiodłaś.

– A ty kochałeś ją, nie mnie. Emmę.

– A czy tobie kiedykolwiek zależało na miłości? Odpowiedz...

W oczach Sary błysnęła duma i gorycz. Mike zacisnął pięści.

– Ty i siostry Shayne jesteście moimi przepustkami do lepszych czasów – wzruszyła ramionami. Okrzyki na dworze przybrały na sile. – Muszę już lecieć, kochanie.

Idź do diabła, pomyślał, nasłuchując bezsensownych komentarzy z galerii.

– Zbyt sentymentalne – stwierdził jakiś mężczyzna. Uwaga dotyczyła rzeźby przedstawiającej dwie jednakowe dziewczynki z podniesionymi głowami.

– Przyszłam tu, żeby zobaczyć akt – odpowiedziała mu kobieta. – Uwielbiam tę scenę w „Zdradzonej”, gdy bohater rzuca się na ukochaną, a zewsząd sypią się na nich okruchy szkła...

– Ja wolałabym przespać się z rzeźbiarzem – szepnął jakiś inny głos.

Mike cofnął się w cień. To nie był wernisaż, tylko raczej finałowa scena melodramatu. Musiał się stąd jakoś wydostać.

Zaproszenie na wernisaż było dość ogłędne: „Sando Parsons ma przyjemność przedstawić »Córki Pustyni« Mike’a Greywolfa, w tym wczesny akt Kary Shayne”. Brukowce były bardziej brutalne: „Kara Shayne – naga prawda”, „Indiański kochanek Kary i jej bliźniaczej siostry”, „Prawdziwa historia nieślubnego dziecka Kary”, „Ojciec ukradł mnie mamie, gwiazdzie filmowej”...

Wyszedł z baru, zabierając ze sobą kieliszek szampana. Niebo mieniło się barwami ognia. Galerię wypełniał tłum bogatych i sławnych, takich, którzy tylko udawali bogatych i sławnych, oraz zwykłych gapiów – i wszędzie kręcili się żądni krwi dziennikarze. Seksowne, rude kelnerki spowite w złotą lamę torowały sobie drogę przez tłum, roznosząc na tacach szampana. Ten wieczór wydawał się nie mieć końca.

Zauważył Lilly flirtującą z barmanem o wyglądzie surfera i podszedł tam szybko. Gdy się

zbliżył, barman spuścił wzrok i mruknął mocno speszony:

- Może umyję kieliszki.
- Zajmij się tym – zgodził się Mike.

Lilly ponuro patrzyła przed siebie. Chciał jej coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Przez chwilę panowało milczenie.

- Nie będzie jej tu – rzekł Mike w końcu.

Lilly skrzywiła się boleśnie i przymrużyła oczy.

– Przecież... miałam się z nią spotkać. Wujek Sando powiedział, że na pewno przyjdzie.

- Obiecał ci to?

Lilly wyjęła kieliszek pomiędzy długich, brązowych palców Mike'a i nerwowo upiła łyk. Wyrwał jej kieliszek tak gwałtownie, że szampan ochlapał sukienkę córki. Zerwała się i podbiegła do lustra za fontanną.

– Moja sukienka! A tak chciałam ładnie wyglądać... dla niej – jęczała, wykręcając się przed lustrem na wszystkie strony. Dopiero teraz Mike zauważył, że sukienka ma duży dekolt i jest stanowczo za krótka.

– To jedwab ahimsa – wyjaśniła na widok jego sceptycznego spojrzenia. – Z kokonów jedwabników, które zmarły śmiercią naturalną. Podoba ci się?

- Chciałbym tylko, aby go było więcej.
- Przecież sam mi kupiłeś tę sukienkę, nie

pamiętasz? Wtedy, kiedy przez cały dzień wygłaszałeś kazanie na temat kart kredytowych. O tym, że jeśli kiedykolwiek podpiszę sama rachunek, to...

– Tak, tak – skinął głową. To było tego dnia, gdy Sando...

Dzisiaj jego córka miała w uszach aż sześć brylantowych kolczyków. Nigdy też nie widział na jej palcach tak wielu pierścionków.

– Ta biżuteria – zapytał słabym głosem. – Czy to prawdziwe brylanty?

– Tak, tatusiu. Kupiłam je za pół ceny. Po prostu nie mogłam się oprzeć. Wiedziałam, że chciałbyś, bym wyglądała dziś jak najlepiej, na wypadek gdyby mama...

Mama. Zrobiło mu się duszno i zacisnął dłonie w pięści.

– Ty nie masz matki – rzekł ochryple.

– Nazwisko Kary widnieje w mojej metryce urodzin.

– Jak się o tym dowiedziałaś?

Właściwie niepotrzebnie pytał. Dobrze wiedział, że nastolatki są najbardziej wścibskim gatunkiem istot na świecie. Wystarczyło, że na minutę spuścił z niej wzrok, a już myszkowała w jego rzeczach, brała, co chciała, robiła bałagan.

– Może gdyby mama ponosiła część wydatków na moje utrzymanie, to nie miałbyś wrażenia, że lada dzień doprowadzę cię do bankructwa

– rzuciła Lilly nonszalancko, oblizując wargi.
– Szampan jest pyszny. Wujek Stuart poradził mi, żeby dodać do niego plasterki brzoskwini... Tutaj jest tak gorąco – zachichotała.

Nie było gorąco, ale Lilly wyglądała na rozpaloną. Oczy podejrzenie jej błyszczały.

– Dlaczego jesteś taka zaczerwieniona? Dlaczego tak niewyraźnie mówisz? Niech cię wszyscy diabli. Piąś?

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

– Jesteś dla mnie niemiły – zachichotała.

Stuart pojawił się w pobliżu, ale na widok Mike'a zatrzymał się i oparł o ścianę kilka metrów dalej. Chirurg plastyczny, fryzjer, optyk i krawiec wykonali przy nim kawał dobrej roboty. Dawny Stuart z wielkim nosem odszedł w niepamięć. Nowy Stuart miał twarz filmowego idola i gibkie ciało. Zamiast okularów nosił szkła kontaktowe. Również jego dawna gburowatość znikła bez śladu; teraz uśmiechał się nieustannie.

Zmiana włosów. Zmiana twarzy. Trudniej było zmienić wnętrze. Na widok tego szerokiego uśmiechu Mike dostawał gęsiej skórki.

Stuart pokiwał Lilly ręką, a ona posłała mu w powietrzu pocałunek.

– Pójdę się z nim przywitać – oznajmiła.

– Pytałem cię, czy piąś... – powtórzył Mike, ale Lilly już nie było. Rozejrzał się, po drugiej stronie sali zauważył Sando rozmawiającego

przez telefon komórkowy. Na widok Mike'a uśmiechnął się szeroko i triumfalnie pomachał grubym plikiem brukowców.

Mike poczuł, że robi mu się niedobrze. Podszedł do przyrodniego brata, wyrwał mu gazety z ręki, zmiął je i wyrzucił do kosza.

– Jesteś obrzydliwy – mruknął.

– Przecież spałeś z nimi obydwoma – odparował Sando z błyskiem zazdrości w oczach. – Każdy facet dałby sobie uciąć jaja, żeby mieć tyle szczęścia co ty. Posłuchaj tylko. – Wyciągnął jedną z gazet z kosza i zaczął czytać: „Dzikię, śmiałe, niewiarygodne – tak należałoby zacząć opis seksualnych wyczynów słynnego trio”,

– Kłamstwa. Śmieci – warknął Mike.

– To się sprzedaje, chłopie!

– Sara mówiła to samo. Chcę iść do domu.

– Sara? Jest tutaj?

– Chcę wracać do domu.

– Wrócisz, kiedy to przedstawienie się skończy. Nie wcześniej.

– Ty to nazywasz przedstawieniem?

– Powinieneś mi podziękować.

– Ona nie przyjdzie. Nie masz na co czekać.

– Chyba żartujesz – wzruszył ramionami Sando i zauważył Sarę w zielonej sukience. – Ooo, jak ona świetnie wygląda! Nie masz nic przeciwko temu, żebym się z nią umówił?

- Nie jesteś w jej typie.
- Odpowiedz na moje pytanie.
- Przecież i tak zawsze robisz to, co chcesz.
- Tak, to moja najlepsza cecha – skinął głową Sando.

– I zarazem najgorsza.

Sando bez dalszych komentarzy oddalił się śladem Sary. Galeria pękała już w szwach. Naraz przed wejście podjechała wysmukła limuzyna, a w niej kobieta o twarzy zasłoniętej woalką. Gdy wystawiła z samochodu zgrabną nogę, tłum oszalał. Reporterzy wyrzaskiwali pytania, flesze oślepiły wzrok, fani zaatakowali szpaler policjantów w mundurach.

Mike miał wrażenie, że niewidoczny magnes przyciąga go do drzwi, w których stanęła wysoka, tajemnicza postać. Perkusja zamilkła i wszystkie oczy wpatrzyły się w jeden punkt. Stojąca między dwiema fontannami postać, spowita w biel, odrzuciła welon.

Mike nie wierzył własnym oczom. Była nierealnym zjawiskiem, ale istniała naprawdę. Poznałby ją wszędzie. Jej twarz prześladowała go w snach, odkąd pamiętał, choć za nic na świecie nie przyznałby się do tego nawet przed sobą. Cienki nos, czerwone usta bez cienia uśmiechu, wysoko osadzone kości policzkowe. Miała już swoje lata, ale wciąż była piękna.

Zimne jak lód zielone oczy omiotły galerię i zatrzymały się na jego twarzy.

Sando przysięgał, że jej nie zaprosił.

– Indiana Parsons – powiedział starszy dżentelmen w bursztynowych okularach.

Białe włosy otaczały jej chudą szyję jak elżbietańska kryza. Kiedy zdążyła posiwieć? Dlaczego wciąż go poruszał jej widok? Tłum wstrzymał oddech, kiedy przeszła obok niego obojętnie, nie witając go słowem ani gestem. Przystanęła przy posązku Emmy otoczonej motylami i dotknęła jednego z nich.

– Słodkie. – To słowo zabrzmiało jak cięcie brzytwą. – Za słodkie jak na artystę kalibru Greywolfa – zaśmiała się. – Ale jestem pewna, że wielu osobom to się podoba. Byłeś młody. Kupię tę rzeźbę.

– Nie jest na sprzedaż – rzucił sucho Mike.

Indiana odwróciła się i wreszcie spojrzała na niego.

– Wszystko ma swoją cenę.

– Tatusiu! – zawołała Lilly, podbiegając do nich. Indiana otoczyła ją ramionami. – Tatusiu, nie bądź głupi!

– Jestem Indiana Parsons – przedstawiła się artystka.

– Wiem. Jest pani malarką. Babcia ma kilka pani obrazów. Widziałam jeszcze inne w galerii. Bardzo mi się podobają!

– Będiesz mi pozować – oznajmiła Indiana, dobrodusznie poklepując dziewczynę po ramieniu. – Na pewno się zaprzyjaźnimy.

Mike poczuł na plecach zimny dreszcz. Wziął głęboki oddech i wycofał się do odludnego kąta. Zabrakło mu sił, by dalej uczestniczyć w tym szaleństwie. Musiał się stąd jak najszybciej wydostać.

Przebiegał zatłoczone sale, aż dotarł do ostatniej. Była pusta, tylko jedna z podobnych do Kary kelnerek, odstawiwszy tacę z kieliszkami na podłogę, klęczała w modlitewnej pozie przy stojącym pośrodku posągu.

Zza okna dochodził oślepiający blask słońca odbitego od fal oceanu. Mike nie widział dziewczyny wyraźnie, dostrzegał tylko jej sylwetkę. Mimo wszystko jej obecność irytowała go. Nie miał ochoty widzieć już nikogo więcej.

Czerwone słońce zachodziło nad falami i całą salę wypełniał pomarańczowy blask.

Mike szybko szedł w stronę drzwi. Gdy przechodził obok posągu i klęczącej przy nim dziewczyny, ta podniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz.

Nie widział wyraźnie jej twarzy, ale usłyszał szloch i zatrzymał się z głośno dudniącym sercem. Ten głos. Osłonił oczy, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

Powoli, powoli rysy jej twarzy wyostrzyły się.

Widział wyraźnie burzę rudych loków, świetliste, piękne oczy, kształtne, smukłe ciało. Cały świat znał tę twarz.

Kara.

Emmy z nią nie było. Przyszła sama.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Kara!

Popatrzyła na niego.

– Witaj, gwiazdo – rzucił ostrym tonem.

Zacisnęła powieki, ale nie udało jej się powstrzymać łez.

– Jesteś piękniejsza na żywo niż na ekranie.

Pochyliła głowę i delikatnie otarła palcami mokre policzki.

– Miło cię widzieć – wymruczał złowieszczo.

– Przestań już – szepnęła z cierpieniem, jakiego nigdy by się po niej nie spodziewał.

W sąsiedniej sali rozległ się baryton Sando.

– Muszę iść – powiedziała Kara.

Mike poprowadził ją w zacieniony kąt.

– Nigdzie nie pójdziesz. Musimy porozmawiać... o Lilly.

Przyłożyła drżącą dłoń do ust.

– Lilly twierdzi, że potrzebuje matki. Ale ona nie ma matki. Ma tylko ciebie.

Kara pobladła i w jej oczach pojawiły się smutek i poczucie winy.

– Co to za kobieta, która porzuca dziecko...

– Wyraźnie powiedziałaś mi, co o mnie myślisz, już wtedy, gdy ci ją oddawałam.

– Racja – mruknął niechętnie.

– Czym jest życie w swojej najprostszej formie? – rozprawiał Sando w sąsiedniej sali. – Czego potrzebuje mężczyzna, kobieta, każdy z nas, by być szczęśliwym? Myślę, że właśnie o tym mówią prace Greywolfa, podobnie jak prace wszystkich wielkich artystów. Mike pokazuje nam, że są rzeczy, których nie sposób zobaczyć, można je tylko poczuć. Na przykład wtedy, gdy patrzymy na te rzeźby. Percepcja kontra rzeczywistość. Kochał obydwie te kobiety. Był ich kochankiem. Były tak podobne, że nie potrafił ich odróżnić. Nadal nie wie, która z nich...

Kara spojrzała prosto w oczy Mike'a i znów zobaczył w jej spojrzeniu mnóstwo cierpienia i poczucia winy. Zaraz jednak podniosła się z podłogi i podeszła do drzwi, ale gdy nacisnęła klamkę, okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz.

– Wcale się nie zmieniłaś od tamtej ostatniej nocy – powiedział szorstko. – Udajesz, że masz

jakieś uczucia, że rani cię coś, co powiedziałem. Ale jesteś tylko tanią aktorką z ładną twarzą, która dobrze wygląda w filmach i dobrze wygląda w rozbieranych scenach. Przypadkiem wyglądasz tak samo jak kobieta, którą kochałem. Nie potrafisz niczego czuć naprawdę, karmisz się tylko uczuciami innych. Emmy. I moimi. Celowo wtargnęłaś między nas. A teraz chcesz zranić Lilly, sprawić, by i ona miała rozdartą duszę. Niedobrze mi, kiedy o tym myślę.

– Ty też jesteś winien temu, co się stało – szepnęła.

– Po co tu przyszedłeś? Chcesz seksu?

– Nie.

– Oczywiście, że nie. Emma już przestała się mną interesować, więc ty również. To po co przyszedłeś?

Piękna twarz Kary złagodniała i posmutniała.

– Lilly – szepnęła. – Musiałam ją zobaczyć.

– Trzymaj się od niej z daleka.

Pobladła jeszcze bardziej, jakby te słowa boleśnie ją zraniły.

Czuł obecność Emmy. Skąd się to wzięło? Dlaczego? Emma nic go już nie obchodziła. To wszystko przez Karę...

– Nie rób tego – szepnął. – Nie próbuj zachowywać się jak ona. Swoją drogą jestem pełen podziwu dla twoich umiejętności. Potrafisz udawać łagodną i cierpiącą istotę.

Kara patrzyła na niego wzrokiem, który wdzierał się w najgłębsze zakamarki duszy, a jego ciało reagowało na ten wzrok tak jak tamtej nocy, gdy nauczyła go, że pożądanie i nienawiść mogą być jednym. Wziął głęboki oddech.

– Niech cię diabli – mruknął.

Znała jego słabe strony i wiedziała, jak najskuteczniej udawać Emmę. W przeszłości dwa razy go oszukała, ale nie zamierzał jej na to pozwolić już nigdy więcej.

Wyciągnął ramiona, by ją odepchnąć i uciec, ale zamiast tego przyciągnął ją do siebie. Poczł jej miękkie piersi i krągłe biodra przy swoim cieple i natychmiast rozpoczęło się szaleństwo. Serce dudniło mu tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Rozsądek kazał mu uciekać jak najdalej, ale nie był w stanie tego zrobić.

Przycisnął ją do drzwi. Ogarniała go fala gorąca. Zapomniał o Lilly, zapomniał o całym świecie. Wszystkie jego zmysły skupione były na tej kobiecie o twarzy i ciele Emmy. Dotknął jej policzka, czoła, odgarnął z twarzy kosmyk miękkich włosów...

Kara zrobiła ruch, jakby chciała się wyrwać, ale to tylko rozpałiło go jeszcze bardziej.

– Nic cię nie obchodzi Lilly – mruknął ponuro. – Tak jak nigdy nie obchodziła cię Emma. Ale zanim z tobą skończę, na pewno coś poczujesz.

Napał na nią biodrami, wgniatając ją w drzwi,

i jednocześnie wtulił twarz z jej szyję. Och, Boże. Pachniała bzem, tak jak Emma. Nienawidził ich obydwu. Jego dłonie powędrowały za dekolt sukienki i rozerwały koronkowy biustonosz. Jej ciało było gorące, parzyło mu dłonie.

Zamknął ją w żelaznej klatce swych ramion i uniósł głowę.

– Po co tu przyszedłeś? Żeby mnie podniecić? Chcesz dostać więcej tego samego?

Czuł jej przerażenie, nienawiść i zagubienie. I jeszcze coś, co go zadziwiło – ona też go pożałowała, i to wbrew sobie. Chciał ją zranić, zgwałcić, zostawić na jej ciele brutalne ślady.

– Pamiętasz tę rozbieraną scenę w „Zdradzonej”? Na pewno...

Patrzyła na niego bez tchu.

Wsunął rękę pod jej spódnicę i odnalazł ciepłe, wilgotne miejsce. Drgnęła gwałtownie, jakby czekała tylko na ten jeden dotyk.

– Niech cię diabli. Do tego nadajesz się doskonale – szepnął, oddychając ciężko.

Patrzyła na niego oczami pełnymi bólu i namiętności.

– Nie dostałaś tego Oscara za nic – mruknął.
– Jesteś cholernie dobrą aktorką.

Wsunął wolną rękę w jej włosy i mocno szarpnął do tyłu.

– Teraz moja kolej.

Pochylił nad nią twarz, pragnąc niszczyć,

ranić, poddać się siłom ciemności. Tym razem nie pozwoli jej wygrać.

– Dziwka – szepnął ze zdumiewającym opamięnieniem. – Wynoś się stąd, zanim obydwójce tego pożałujemy.

– Ja już żałuję – odparła. – Bardzo żałuję, Mike.

Opuścił ramiona, ale ona przywarła do niego i całowała jego twarz.

– Bardzo żałuję, Mike. Niepotrzebnie chciałam cię jeszcze raz zobaczyć. Proszę... spróbuj mnie nie nienawidzić.

Naraz za jego plecami rozległ się głos Lilly.

– Kara... Mamo...

Kara pobielała na twarzy.

– Boże... Och, Mike... co my robimy?

Błysnął flesz i Sara triumfalnie pomachała aparatem fotograficznym.

– Chciałeś wiedzieć, Mike, po co tu przyszedłam. Po to!

Kolejny błysk flesza. Kara opuściła ramiona. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem przeniosła wzrok na Lilly.

– Kochanie...

– Wynoś się stąd! – wykrzyknął Mike.

Kara otworzyła drzwi i wybiegła.

– Nie! Nie! – wykrzyknęła Lilly. – Wracaj, mamo!

Zapadło milczenie. Mike wiedział, że już po

nim, a jednak, w jakiś przedziwny sposób czuł się odrodzony, jak zbłąkane dziecko, które odnalazło drogę do domu. To nie miało żadnego znaczenia, że była niewłaściwą bliźniaczką. Jego dusza wyrwała się do Kary Shayne, a jej dusza do niego. Zamknął drzwi, które Kara zostawiła otwarte, i oparł się o nie.

Lilly dopadła do niego, bijąc pięściami w jego pierś. Przytrzymał ją delikatnie i gładził po włosach. Z głową obróconą na bok, wyrwijając się, krzyczała:

– Idź po nią, tato! Przeprowadź tu moją mamę! Idź po nią!

– Nie mogę.

Odwróciła się i znieruchomiła.

– Lilly!

W milczeniu odsunęła się od niego. Wiedział, że jeśli nie pójdzie za Karą, to na zawsze straci córkę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Łup. Łup.

Buty do biegania grzęzły w miękkim piasku.

Od biegania muzyka w jego głowie przestawała grać i wreszcie mógł myśleć.

Dziś wieczorem.

Dwoje to towarzystwo, troje to tłum. Wrażliwy kochanek nie może dzielić się swoją kobietą z nikim innym. Ta suka zasłużyła na śmierć.

Wiatr niósł po plaży śmiecie: czarną torbę foliową, brudne papierowe talerze i kubki.

Biegający naciągnął na głowę kaptur szarego dresu i kopnął jeden z kubków. Zatrzymał się, wygrzebał w piasku dołek i zasypał kubek – tak samo, jak mógłby zasypać martwe ciało albo psie odchody.

Malibu. Co w tej nazwie tak przyciągało ludzi?

Ona lubiła to miejsce.

Dom na plaży kosztował tu majątek. Z tyłu były góry Santa Monica, a od frontu ocean do surfowania. I co z tego?

Jej się to podobało.

Biegał po plaży już ponad godzinę, udając przeciętnego miłośnika piasku, zachodów słońca, psów i piłek plażowych.

Nonsens.

Włożył bluzę z kapturem nie ze względu na temperaturę, ale po to, by nikt nie mógł dostrzec jego oczu – szczególnie teraz, gdy zbliżał się do jej domu.

Co ona sobie myślała? Jak śmiała się tak obnażyć przed całym światem? Wielki biust i tak dalej. Zmuszała go, by jej pożądał. Włączała tę muzykę w jego głowie. Zmuszała go, by ją zabił. Sama się o to prosiła.

Plaża była pokryta nierównościami i od czasu do czasu noga trafiała w dołek. Bolała go lewa kostka, w skarpetkach miał mokry piasek, a między palcami stóp okruchy muszelek. Ale wiedział, że gdy już ją zabije, znikną wszelkie złe uczucia i niedogodności. Będzie wolny. Muzyka w jego głowie przestanie grać.

Popatrzył na jej dom, częściowo zasłonięty przez palmy i cyprysy. Kiedyś imponujący, teraz budynek był architektonicznym koszmarem. Trzy piętra upchnięte jak szuflady w ciasnej ko-

modzie, wielkie tarasy z widokiem na morze – to wszystko jeszcze byłoby znośne dla oka, ale jakiś idiota niedawno pomalował całość na brązowo i dołożył plastikowe imitacje belek.

We wszystkich oknach na parterze paliło się światło. Na górze tylko jedno okno było oświetlone. Ogród, garaż i dach skrywał mrok.

Hollywoodzcy aktorzy to zadufane w sobie głupki. Jeden czy dwa filmy, i ktoś, kto nie skończył nawet szkoły średniej i dotychczas był nikim, kelnerem albo kierowcą, zaczynał się zachowywać jak udzielny książę.

Powoli, ostrożnie zbliżył się do wyszczerbionych schodów prowadzących do drzwi rezydencji. Wspinał się po nich spokojnie, bez pośpiechu, z pewnością siebie człowieka, który jest u siebie. Nawet zatrzymał się na chwilę i rozejrzał, udając, że podziwia widok.

Potem muzyka znów zaczęła grać i ruszył dalej.

– Chodź do tatusia...

Uciekać. Byle dalej. Od Mike'a. Od Lilly.

Od tego szaleńca, który śledził ją od lat i którego obawiała się przy każdym wyjściu z domu.

Biegła do limuzyny. Sara wyskoczyła za nią, teraz trzymając w ręku kamerę wideo. Niebo nad jej głową było bardziej czerwone niż jej rude

włosy. Alejka za rzędem pięknych palm, gdzie stały zaparkowane samochody, wydawała się zupełnie ciemna.

Oślepił ją błysk flesza. Podniosła rękę i w tej samej chwili Sara zrównała się z nią. Czerwona dioda na kamerze nadal się paliła.

– Czy przyjechała tu pani, by zobaczyć swoją córkę, czy też kochanka?

– Wystarczy już, suko! – zawołał męski głos. To był Raymond. Trzasnął drzwiczkami samochodu z niezwykłą u niego wściekłością, jednym susem znalazł się przy Sarze i podniósł ją tak, że nie mogła złapać tchu. Dopiero gdy zaczęła wierzgać nogami, postawił ją z powrotem na ziemi i kopnął kamerę o kilka metrów dalej.

– Zapłacisz za to! – krzyczała Sara. – Obydwoje zapłacicie!

Raymond porwał Karę na ręce i zaniósł do limuzyny. Trzasnęły drzwiczki i samochód pomknął przed siebie, wymijając hordy reporterów.

– Do granicy – zadysponował Raymond.

– Nie – sprzeciwiła się Kara. – Do domu. Malibu.

– Ale twój fan... Musisz stąd wyjechać. Chcę się z tobą ożenić, żebym mógł cię chronić...

– Nie możesz.

– Kara, Kara, Kara.

Wrzeszczący fani zaciekle szturmowali policyjne barierki.

- Ostrożnie, Hoke – poprosiła Kara kierowcę.
– Uważaj na nich.

Motocykle i samochody ścigały ich z wyciem klaksonów.

– Pijawki. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujemy, to kolejny spektakl dla prasy – złościł się Raymond. – Chcą nas zjeść żywcem! – Na widok jej przestraszonej twarzy dodał już ciszej: – Gdy weźmiemy ślub... dziś wieczorem, w Meksyku...

– Nie, nie. Nie dzisiaj. – Odwróciła twarz tak, by nie widzieć świateł jadących za nimi samochodów, i oparła się o jego ramię. – Dziękuję... za to, że mnie stamtąd zabrałeś. Mam nadzieję, że nie zrobiłeś Sarze żadnej krzywdy?

– Nie, chociaż z trudem się powstrzymałem.

Gdy jego wzrok zatrzymał się na jej ustach, zarumieniała się. Raymond nie chciał przyjść do galerii. Nie lubił Sando, swojego przyrodniego brata, a już zupełnie nie mógł ścierpieć Mike'a Greywolfa.

– Ostrzegałem cię przed Greywolfem, prawda? Mówiłem, że na nowo rozbudzi w tobie wszystkie destrukcyjne uczucia. Wiem, jak wyglądają takie powroty...

Raymond był psychiatrą. Oczywiście nie traktował jej jak swojej pacjentki, ale mimo wszystko dostrzegał stanowczo zbyt wiele. Nie potrafiła mu spojrzeć prosto w oczy. Nie teraz, gdy Mike dopiero co ją całował, gdy widziała Lilly... Miała

mętlik w głowie i w tym stanie ducha nie potrafiła nikomu zaufać.

Powtarzała sobie, że poszła na wernisaż ze względu na Lilly, ale dobrze wiedziała, że prawdziwym powodem była chęć spotkania Mike'a. Czy to kiedykolwiek przeminie? – zastanawiała się. Czy on i jego pozbawiona matki córka już do końca życia będą mieli nad nią władzę?

Bezmyślnie obracała na palcu zaręczynowy pierścionek z brylantem.

– Mówiłem ci, żebyś dała sobie spokój – powtarzał Raymond.

– Ray, nie mogę za ciebie wyjść.

– Jeśli ten indiański barbarzyńca znów próbował się do ciebie dobierać, to go zabiję.

Kara znieruchomiła.

– Dlaczego właśnie on? Dlaczego zawsze musisz mu się rzucać na szyję?

Ukryła twarz w dłoniach.

– Przysięgam ci, że do niczego nie doszło.

– Coś się jednak wydarzyło.

– Twoja matka tam była.

– Niech ją diabli porwą – rzucił Raymond z nienawiścią.

– Lilly też. Jest bardzo piękna. Przez cały czas myślałam o tym, co powiedziała temu dziennikarzowi... Pamiętałam, że kiedyś przyjechała do mnie do Malibu, a mnie tam nie było. Przez całe życie zawodzę w najważniejszych momen-

tach. – Kara zaczęła szlochać. – Lilly jest o wiele dzielniejsza ode mnie.

– Rozmawiałaś z nią?

– Chciałam, ale...

– A z Mikiem?

Hoke zaklął i przycisnął gaz, żeby uciec od ścigających ich pojazdów. Kara przypomniała sobie o jego obecności. Jedną z najgorszych stron sławy było to, że nigdy nie mogła być sama.

– Och, Raymond, nie powinnam była cię w to wszystko wplątywać. To był z mojej strony egoizm. Byłam głupia, sądząc, że mogę kogokolwiek poślubić, a zwłaszcza ciebie. Moje życie jest skomplikowane, zbyt wiele w nim nierozwiązanych spraw. Ale... gdy się znów pojawiłeś, byłam już zmęczona samotnością. Bezradna, zagubiona... A ty trwałeś przy mnie.

– Jak zawsze – powiedział z goryczą.

– Trafiłeś na odpowiednią chwilę, ale to nie była właściwa decyzja. Wiem, że to się źle dla ciebie skończy, a nie zasłużyłeś na cierpienie po tym wszystkim, przez co przeszedłeś z mojego powodu.

– Nie jesteś sama – powiedział Raymond z pochmurną twarzą. – Cały świat cię kocha. Ja cię Kocham. Kochałem cię od czasów liceum.

– Tak naprawdę wcale mnie nie znasz – westchnęła Kara. – Nie jestem już tą samą dziewczyną, którą kiedyś kochałeś.

Jego oczy zabłyśły.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

Kara odsunęła się od niego i przyłożyła czoło do chłodnej szyby.

– Czuję się rozdarta. Myślałam, że niektórzy ludzie będą zawsze w moim życiu, że nic nas nie rozdzieli. A potem coś się dzieje, coś idzie nie tak... Nie jestem taka, jak myślisz. Nie zasługuję na twoją miłość. Nie zasługuję na niczyją miłość.

– Nie chcesz chyba być jego dziwką! – Raymond poniewczasie ugryzł się w język. – Przepraszam...

Widziała jednak, że jest wściekły.

– Zapomnij o nim, Raymond. I o mnie też.

Za oknami migąły światła miasta. Umysł Kary zalewały obrazy z przeszłości. Czowała się winna, potwornie winna. Tyle kłamstw. Nawet jej związek z Raymondem był kłamstwem. Jeśli cokolwiek pociągało ją w tym mężczyźnie, to tylko podobieństwo do Mike'a.

Przypomniała sobie dwie identyczne z wyglądu dziewczynki, które kąpały się razem w wannie, wycierały jednym ręcznikiem, myły zęby na wyścigi. Dwa identyczne torty urodzinowe z taką samą liczbą świeczek. Sekretny język, znany tylko im obydwu, tajemne zabawy. Telepatia, spajająca ich umysły i dusze tak mocno, że Kara wciąż nie była pewna, co pochodziło od niej samej, a co od Emmy.

Kara zawsze pragnęła być Emmą, a Emma Karą. Szczególnie po tym, jak Mike pojawił się w ich życiu. Przez niego stały się sobie obce...

Dlatego musiały poświęcić jego i Lilly.

Usłyszała pisk hamulców i jakaś ręka wystawiła kamerę przez okno przejeżdżającego obok samochodu. Znow błyski fleszy. Kara była więźniem w tym bajkowym piekle sławy.

– Jesteś dziś wyjątkowo cicha – zauważył Raymond już spokojniejszym głosem.

– Moi fani w ogóle mnie nie znają. Czasami czuję się tak, jakbym powoli umierała... Ta osoba, którą uwielbiają, nie istnieje naprawdę.

– Jesteś aktorką, tworzenie iluzji to przecież twój zawód.

Wzdrygnęła się.

– Tak. Ale czasami można od tego oszaleć.

– To prawda – przyznał.

Jego oczy znow przybrały taki wyraz, jakby widział za dużo. Kara przeczesła dłonią splecione włosy. Kiedyś Raymond oznaczał dla niej bezpieczeństwo. Był kimś, kto pokochał ją, jeszcze zanim stała się sławna. Naraz uświadomiła sobie, że tak naprawdę niewiele wie o jego uczuciach. Dużo opowiadała mu o sobie, on natomiast nie był zbyt wylewny. A jednak czuła, że pod maską jego spokoju kłębią się potężne emocje.

Nie znosił Mike'a. Aż do tej pory sądziła, że jest to jedna z rzeczy, które ich łączą.

Rzadko chodziła na przyjęcia, ale Max, reżyser, zmusił ją, by przyszła na bankiet promujący film. Właśnie tam ponownie spotkała Raymonda. Ucieszyła się na jego widok. Właściwie dziwne, że nie spotkali się wcześniej: ona była największą gwiazdą filmową, a on najsłynniejszym psychiatrą wielkich gwiazd. Max posadził ich obok siebie. Początkowo Kara traktowała Raymonda z dystansem, on jednak pochylił się w jej stronę i powiedział cicho:

– Nie bój się mnie. Nie mam żalu, że kiedyś mnie rzuciłaś. Nie będę ci wypominał przeszłości... ani wydzierał ci twoich tajemnic.

– Jakich tajemnic? – zdumiała się.

– Nadal jestem twoim wielkim fanem. Pamiętasz te wszystkie noce, które spędziliśmy na płaskowyżu?

– Proszę cię...

– Co się stanie, kiedy mury runą i twoje sekrety ujrzą światło dzienne?

Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta i Kara poczuła, że brakuje jej tchu. Chciała wstać, ale on pod stołem pochwycił ją za rękę i przytrzymał.

– Bez paniki. Niepotrzebnie to powiedziałem. Zależy mi na tobie, zawsze mi zależało, wybaczyłem ci nawet to, że chociaż nieprzytomnie cię kochałem, ty jawnie podrywałaś Mike'a Greywolfa, pamiętasz?

Nic nie odpowiedziała.

– Jesteś kłębkiem nerwów. Długo tak nie wytrzymasz, chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

Z wdzięcznością pochwyciła wtedy jego ciepłą, wyciągniętą w jej stronę dłoń. Uśmiechał się prawie jak Mike, a ona czuła się trochę samotna.

– Może twoje tajemnice wcale nie są takie straszne – powiedział jej wtedy. – Każdy potrzebuje kogoś, z kim mógłby porozmawiać, komu mógłby zaufać. Szczególnie tutaj.

Znała go, nie powinna mu ufać, ale tak bardzo potrzebowała bratniej duszy.

– Pewnie uważasz, że aktorki są kapryśne i neurotyczne. Przychodzisz na te przyjęcia, żeby zdobywać pacjentki?

Roześmiał się.

– Prawdę mówiąc, interesują mnie domy. Ten, w którym jesteśmy, jest bardzo sławny. To jeden z dwóch projektów Zachariasza Larsona.

– Nie miałam o tym pojęcia – zdziwiła się.
– Wiesz, on zaprojektował również mój dom.

– Naprawdę? W takim razie gdybyś chciała przeprowadzić remont, niczego w nim samowolnie nie zmieniaj.

– Właśnie myślałam, żeby przebudować go w stylu hacjendy.

– Lepiej tego nie rób, bo potem będziesz żałować. Max wydał fortunę na renowację, ale zachował oryginalny styl budowli. A szczerze

mówiąc, to przyszedłem, bo usłyszałem, że tu będziesz.

– Więc... czy mogę zostać twoją pacjentką?

– To wykluczone po tym, co przeżyliśmy razem. Nadal mnie pociągasz i mógłbym zapomnieć o etyce zawodowej. Ale mogę ci polecić kolegę. Sam wolałbym zostać twoim przyjacielem – uśmiechnął się.

– Nie – odrzekła Kara krótko. On jednak zadzwonił, a gdy nie chciała się z nim spotkać, przez dłuższy czas przysyłał jej purpurowe róże, lawendę w doniczkach, zaproszenia na koncerty i opery. W końcu przyjęła zaproszenie na jacht. Daleko od brzegu, wśród błękitnych fal Pacyfiku, czuła się wystarczająco bezpiecznie.

Odrzuciła następne zaproszenie, ale Raymond był bardziej uparty niż ona i wkrótce wycieczki jachtem stały się ich codzielnym rytuałem. Kara leżała na poduszkach, patrząc na miasto na brzegu, i czuła się tam znacznie bezpieczniej niż na lądzie.

Minęły miesiące, nim wreszcie zaczęli naprawdę rozmawiać, ale gdy już bariera została przełamana, mówili o wszystkim – oprócz Mike'a. W końcu cierpliwość Raymonda została nagrodzona. Poprosił ją o rękę i po jakimś czasie Kara przyjęła oświadczyzny.

Ale dzisiejszy wieczór uświadomił jej, że nie była gotowa do małżeństwa. Nagle poczuła, że

wychodząc za Raymonda, popełniłaby wielki błąd. Skąd brały się jej uczucia do Mike'a?

– Kara, ja zawsze będę przy tobie. Pragnę cię już od wielu lat.

Wciąż obracała pierścionek na palcu, ale nie dała rady go zdjąć.

– Kara... chyba nie chcesz, żebym cię błagał.

– Wszystko skończone.

– Nie dla mnie. Poczekam, dam ci tyle czasu, ile potrzebujesz...

– Nie potrzebuję czasu.

Jak miała mu powiedzieć, że dla niej istnieje tylko Mike?

Hoke nacisnął klakson i elektronicznie otwierana brama jej nowej posiadłości otworzyła się. Trzy jadące za nimi samochody ostro zahamowały, a limuzyna wsunęła się między brązowe mury. Kara wysiadła szybko. Raymond upierał się, że nie zostawi jej samej, ale przypomniła mu, że w domu jest Marta, pokojówka.

– Myślałem, że jej były chłopak...

– Rozstała się z nim – wyjaśniła Kara. Poprosiła Hoke'a, by odwiózł Raymonda do domu, sama zaś pobiegła obok palm i wielkich donic z lawendą na wewnętrzne podwórze otoczone ogrodem. Znajdował się tu basen i kilka granitowych fontann, kręte schody wiodły do drzwi domu. W ostatniej chwili, zanim zniknęła we wnętrzu, wzrok Kary zatrzymał się na wielkim

brązowym posągu Ryczącej Lwicy. Rzeźba autorstwa Mike'a stała w kącie kaktusowego ogrodu, w miejscu, gdzie Marta znalazła Lilly.

Zamknęła za sobą ciężkie, rzeźbione drzwi i pilotem włączyła alarm. Ciężko pracowała, by móc kupić i wyremontować ten dom. Z wielkim zapałem układała kamienną podłogę i ozdabiała sufity imitacją drewnianych belek. Ściany kazała otynkować ręcznie, bez wygładzania, i pomalować w tonacji ziemi. Gdy już wszystko było gotowe, rozłożyła po całym domu bezcenne indiańskie dywaniki. Nie zdecydowała jeszcze, co zrobi z kolumnami w niewykończonym holu. Nic tu do niczego nie pasowało, i zaczynała dostrzegać, że ten generalny remont był chybiowym pomysłem.

Wydała majątek, by stworzyć taki dom, z jakiego uciekła. Wszelkie podróbki to tylko strata czasu.

Jedną ze ścian holu pokrywały lustra. Widziała w nich odbicie nieznamomej kobiety. Och tak, rude włosy i szczupła figura bez wątplenia należały do niej. Ale oczy, dusza? Czyje były? Wydawało jej się, że częściej dostrzega w lustrze twarz siostry niż swoją. A potem zobaczyła biedną, osieroconą Lilly w czarnej sukience.

Pomyłki przy remoncie domu były niczym w porównaniu z błędami, jakie popełniła w życiu.

Zadzwoił telefon. Kara usłyszała jakiś

dźwięk na górze i zawołała Martę, ale zarówno jej wołanie, jak i dźwięk telefonu pozostały bez odpowiedzi. Włączyła automatyczną sekretarkę.

To był Raymond. Mówił coś cicho, powoli i cierpliwie. Ale nie wiedziała co, bo zasłoniła dłońmi uszy.

Telefon znów zadzwonił. Raymond miał w zwyczaju powtarzać tę samą wiadomość, szczególnie gdy wiedział, że Kara jest w domu. Nie zwracając uwagi na sygnał, przeszła przez galerię, jadalnię, bezmyślnie wędrowała przez ciąg niewykończonych pomieszczeń. Naraz ten okropny dom wydał jej się pozbawionym ciepła mauzoleum, a ona od siedmiu lat nie czuła się tak pełna życia i tak samotna.

Kolejny telefon. Otworzyła szklane drzwi i wystawiła twarz na chłodny wiatr od oceanu. Coś się poruszyło za pobliskim cyprysem. Wyczuwała czyjąś obecność. Przypomniała sobie groźby szalonego fana. Szybko zamknęła drzwi i wróciła do swojego gabinetu urządzonego w stylu chińskim.

Na żaluzjach pojawił się jakiś cień. Wstrzymała oddech i powiedziała sobie, że to na pewno tylko gra wyobraźni. W całym domu zainstalowano system alarmowy.

Mimo wszystko nie podchodziła do okien. Usiadła przy biurku i sięgnęła po leżącą na nim książkę. Był to jakiś hiszpański romans,

prawdopodobnie własność Marty. Biedna Marta. W prawdziwym życiu miała równie mało szczęścia w miłości co Kara.

Jej wzrok zatrzymał się na grubym, oprawionym w zieloną skórę tomie, który Raymond zostawił otwarty na blacie jej biurka. Zastanawiała się, dlaczego podkreślił akurat to zdanie: „Każdy wielki błąd ma swój moment przesilenia, czasami jest to tylko ułamek sekundy, gdy można jeszcze wszystko odwrócić, wszystkiemu zapobiec”.

– Jeśli ma się wystarczająco dużo charakteru – dodał Raymond.

Zaczęła drzeć. Mike. Do czego by doszło, gdyby nie przeszkodziły im Lilly i Sara?

Po drugiej stronie pokoju, na kominku, błyszczała statuetka Oscara. Wielka aktorka, Kara Shayne. Dobry żart. Łóżko zarzucone było scenariuszami. Niektóre z nich już przejrzała, innych nie. Nie była w stanie skupić się nad żadnym tekstem. Wszyscy chcieli robić z nią filmy, ale ona odrzucała propozycje jedną po drugiej. Nie udzielała nikomu wywiadów.

Jednak ta skrytość i aura tajemnicy tylko zwiększały jej sławę. Krytycy filmowi twierdzili, że jej twarz ma niezwykłą właściwość odzwierciedlania emocji, szczególnie bolesnych, z którymi publiczność łatwo się identyfikuje. Brukowe w nieskończoność publikowały ujęcia słynnej

rozbieranej sceny, a także sensacyjne kłamstwa na temat jej bujnego życia erotycznego. Znana wróżka Robin O'Hair miała na jej punkcie obsesję. Nieustannie analizowała jej życie i przysyłała przepowiednie dotyczące przyszłości.

Kłamstwa. Wszystko kłamstwa. Dlaczego nie mogli jej wreszcie zostawić w spokoju?

Kiedyś prowadziła zupełnie inne życie. Zwykle. Potrafiła odnajdować przyjemność w prostych rzeczach. Ale to przeszłość, do której nie było powrotu.

Położyła się i nakryła kocem. Była zmęczona, tak bardzo zmęczona.

Zasnęła i jak zwykle coś jej się przyśniło.

Zgubiła się w starożytnym mieście umarłych, wyrzeźbionym z czerwonej skały lśniącej magicznym światłem. Była przerażona. Siostra weszła do któregoś z jednoizbowych kamiennych domów. W milczeniu wędrowała po opuszczonych placach i kiwach, wspinała się po drabinach i urwiskach, wchodziła na wysokie tarasy. Potem trafiła do jaskini, gdzie znalazła ukryte źródło, a przy nim stertę kości i czaszek, ale jej siostry tam nie było. Gliniane ściany pociemniały i zaczęły się do niej zbliżać. Było jej duszno, nie mogła oddychać.

Wtedy siostra zawołała ją po imieniu. Poszła za nią i zbyt późno zorientowała się, że tamta prowadzi ją w dół, w krąg piekielnych ciemności.

Krzyknęła i obudził ją własny głos. Powoli znów zasnęła. Tym razem obudził ją dźwięk faksu. Usiadła na łóżku i patrzyła na arkusz papieru wysuwający się z aparatu. Lęk jej nie opuszczał. Czuła, że w pobliżu czai się jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Sięgnęła po arkusz i nie czytając, podarła go na strzępki, które następnie spaliła na metalowej tacy. Szkarłatny kwiat ognia po chwili zmienił się w rozżarzoną czerwoną kulkę.

Leżała nieruchomo, czując narastający coraz bardziej niepokój.

Godziny mijały. Wiatr na zewnątrz wzmagał się. Usłyszała kroki na piętrze. Nie, to było na zewnątrz. Zawołała Martę.

Ktoś zastukał pięścią do drzwi wejściowych. Postanowiła pójść na górę i poszukać Marty.

Potem rozległ się dzwonek. Jak to możliwe, że ktoś dotarł do drzwi, nie uruchamiając alarmu?

Zerwała się z łóżka, zupełnie już rozbudzona, z mocno bijącym sercem. Z pilotem do alarmu w rękę przebiegła przez galerię i zatrzymała się dopiero na widok dziwnych cieni w holu.

Wielka, ciemna pięść znów zadudniła w drzwi. Kara zobaczyła przez okno sylwetkę potężnego mężczyzny. To nie był Hoke.

Ze strachu wstrzymała oddech. A potem usłyszała znajomy głos, wypowiadający jej imię. To był głos Mike'a.

Na czoło wystąpiły jej kropelki potu. Przypomniała sobie słynną scenę ze „Zdradzonej” i poczuła ucisk w żołądku.

– Kara! – powtórzył Mike, szarpiąc klamkę.
– Wpuść mnie, zanim jakiś cholerny ochroniarz zadzwoni na policję!

Mike. Wrócił do niej. Nareszcie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gdy ta suka wsunęła palce we włosy mężczyzny, na twarzy biegacza pojawił się dziwny grymas, a w jego głowie rozległo się dudnienie. Gdy objęła dłońmi piersi i zaczęła tańczyć, zagryzł mocno wargę.

Z jego gardła wydobył się zwierzęcy pomruk, w dodatku nie potrafił oderwać od niej wzroku. Delikatna twarz, nabrzmiałe usta, jędrne piersi. To wszystko, co oferowała teraz nieznanemu mężczyźnie, to wszystko należało do niego. Było jego. Jeśli on sam nie mógł jej mieć, nikt inny również nie będzie jej miał. To postanowione.

Musiał ją zniszczyć, okaleczyć jej twarz i ciało tak, by już nigdy nikt jej ani nie rozpoznał, ani nie pożałował.

Przyjrzał się temu dzikusowi, którego uwodziła. Wysoki. Silny. Muskularny.

Postąpił o krok do przodu, ale zaraz zatrzymał się. Wziął głęboki oddech, potem następny. Musiał się uspokoić.

Musiał ukarać mamę za to, że była dla niego niedobra.

Kara patrzyła na Mike'a bez słowa. Był w białej koszulce i spranych dżinsach, potargane ciemne włosy opadały mu na kark, a w oczach błyszczała nienawiść.

– Jesteś pijany – szepnęła.

– Tak. Bardzo. Dzwoniłem. Dlaczego nie odbierałaś telefonu?

Znów nacisnął guzik dzwonka. Zimne kafle podłogi wydawały się płonąć pod jej bosymi stopami.

– Wpuść mnie.

– Ciszej. Idź do domu.

Jego przenikliwe spojrzenie przewiercało ją na wylot.

– Już za późno. Emma...

Przeszył ją ból.

– Nie...

– Emma.

Emma. Czy postanowił udawać, że widzi Emmę? Nienawidziła go za to, że nawet dla niego

ona i jej siostra były tylko bliźniaczymi połówkami jednej całości. Chciała mieć go tylko dla siebie. To właśnie było przyczyną tragedii.

– Emma...

– Przestań – powiedziała błagalnie. – Idź już...

– Do cholery, jeśli mi nie otworzysz, to wybije szybę.

Tak, jak w „Zdradzonej”. Wiedziała, że jest do tego zdolny. Nerwowo oblizła usta.

– Całowałaś mnie tak, jakbyś tego chciała – mówił. – A potem pojechałaś do domu z moim bratem. Gdzie on jest?

– Nie ma go tu.

– Wpuść mnie.

– Nienawidzę cię.

Rozpostarł szeroko dłoń i przyłożył palce do szyby.

– A czy nienawiść kiedykolwiek nas powstrzymała?

Zalały ją niechciane wspomnienia, a serce zaczęło bić szybciej. Podeszła do szyby i przyłożyła swoją dłoń do miejsca, w którym była jego ręka.

Mike oparł się o szybę całym ciałem. Kara zrobiła to samo.

Taka sama scena była w „Zdradzonej”.

Po chwili Mike oderwał rękę od szkła.

– Otwórz – powtórzył ochryple.

– Mike, nie rób tego – szepnęła.

– Może nie potrafię się powstrzymać.

Ona też nie potrafiła. Uniosła ramiona i całym ciałem przywarła do szyby, prężąc się jak kot.

Jego dłonie wróciły i znów zetknęły się z zarysem jej dłoni, a potem palce przesunęły się wzdłuż jej ramion, piersi i bioder. Choć oddzielała ich szyba, wszystko było przejmująco rzeczywiste. Mike odsunął się od szyby i zwinął dłoń w pięść, jakby chciał rozbić szkło gołymi kostkami. Kara podniosła głowę i roześmiała się z euforią. Śmiała się nadal, gdy on sięgnął po jedną z donic z lawendą i podniósł ją na wysokość ramienia.

– Odsuń się – zawołał i rzucił donicę. Szyba roztrzaskała się z łoskotem na miliony odłamków. Rozległo się wycie alarmu.

W tym miejscu kończył się scenariusz ze „Zdradzonej”. Dalej musieli improwizować. Mike przeskoczył przez wyrwę w szkłe i stanął przed Karą na szeroko rozstawionych nogach. Po jego twarzy spływała strużka krwi.

Kara przestała się śmiać.

– Jesteś ranny – szepnęła.

– To tylko małe skaleczenie.

Cofnęła się i oparła o kolumnę, nie zwracając uwagi na migoczące czerwone diody i wycie alarmu. Mike trzema długimi krokami znalazł się przy niej i wyjął pilota z jej dłoni. Szeptem podała mu kod. Wcisnął kilka guzików i wycie ucichło.

Delikatnie dotknęła czerwonej pręgi na jego policzku.

– Masz racę, to tylko skaleczenie. Cieszę się, że nic ci się nie stało.

Pochwycił jej spojrzenie.

– Dobroć... z twojej strony? Nie udawaj, że masz serce – rzekł z goryczą i pocałował ją.

– Masz mokre włosy – szepnęła po dłuższej chwili.

– Brałem prysznic.

– Trzeba było poczekać... poszlibyśmy pod prysznic razem.

– Później – roześmiał się i znów wsunął język w jej usta. – Smakujesz zupełnie tak jak ona. Wyglądasz jak ona. Ona mnie nie chce, przez ciebie... więc muszę zadowolić się tobą. Ty i ja jesteśmy sobie warci.

Pochwycił jej biodra i przycisnął do swoich. Emma. Wiedział, że jeśli znów to zrobi, straci ją na zawsze. To byłaby z jego strony ostateczna zdrada Emmy i siebie samego, najgorszy ze wszystkich grzechów, najcięższe ze wszystkich kłamstw.

– Nie, nie tak – szepnęła. – Nie... dopóki wciąż wierzysz w te wszystkie kłamstwa.

– Wiem, że ciągle kłamiesz, ale seks to dziwna sprawa. Od wernisażu nie mogę przestać o tobie myśleć. Muszę cię mieć. Nic mnie nie obchodzi Raymond... ani to, kim jesteś, ani kim byłaś wcześniej. Możesz to uznać za obłąd.

Obłąd. Och tak, dobrze wiedziała, o czym on mówi. Nigdy jeszcze nie czuła się tak słaba, a jednocześnie taka podekscytowana.

Otoczył ją ramionami, przyciągnął do siebie i oparł czoło o jej czoło. Jego ręka powędrowała pod jej spódnicę, palce sięgnęły głęboko i zaczęły się poruszać. Przymknęła oczy, poddając się pieśszczocie.

Raptownie Mike puścił ją i cofnął się pod drzwi. Omal nie wybuchnęła szlochem. Odtrącił ją w chwili, gdy zaczęła płonąć. Stał nieruchomo i patrzył na nią z grymasem na twarzy.

– Jaka ty jesteś łatwa – rzekł ochryple. – Zawsze taka byłaś. Ale podoba mi się to... w każdym razie dzisiaj.

– Możesz mnie obrażać, ile tylko zechcesz, ale najpierw...

– Nie tak szybko.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Później – westchnął i zaklął pod nosem.

– Chodź tu, Kara.

Wiedziała, że nie powie ani słowa więcej, że nie będzie jej prosił. Ale nie musiał.

– Udawaj znowu, że jesteś Emmą.

Popatrzyła w lustro na ścianie i zobaczyła Emmę z twarzą zalaną łzami. A zaraz potem Karę, śmiałą i promienną jak pogańska bogini.

– Bądź Emmą – nakazał jej szorstko. – Ja też mam dzisiaj ochotę poudawać.

Zrobiłaby wszystko, wystarczyło tylko, by spojrzeć na nią tymi głodnymi, ciemnymi oczami. Pod wszystkimi kłamstwami, pomiędzy nią a tym mężczyzną leżała głęboka prawda.

Podniosła rękę i odpięła górny guzik bluzki. Mike tylko się roześmiał.

– Na kolana. Czołgaj się.

Z płonąącym wzrokiem przyklęła jak grzesznik, który prosi o przebaczenie. Mike zacisnął dłonie w pięści.

Nagle noc zmieniła się w dzień. Biały rozbłysk zatrzęsł fundamentami domu, wyrzucił Mike'a na zewnątrz, a Karę posłał w stronę schodów. Uderzenie o stopień złamało jej żebro. Otworzyła szeroko oczy i zaczęła krzyczeć.

Szyby w oknach pękały jedna po drugiej i cały hol zasłany był odłamkami szkła. Kolumny w holu drżały, a z góry po schodach spływała rzeka ognia. Kara wiedziała, że musi się stąd jak najszybciej wydostać, ale nie mogła wstać, nie mogła oddychać.

– Nie wstawaj! – wykrzyknął do niej Mike.
– Czołgaj się w moją stronę!

Ale Kara nie była w stanie się poruszyć. Nic nie widziała przez gęstą zasłonę czarnego dymu.

Gdzieś na górze trzasnęła złamana belka i z sufitu posypał się deszcz iskier.

– Chodź tu, Kara. Szybko!

Podniosła głowę i jęknęła z przerażenia.

– Mike...

Usłyszała jednak, że on woła po imieniu Emmę, i uświadomiła sobie, że zawsze tak będzie. Skoro tak... Jej ostatnim postanowieniem było to, że przez resztę życia będzie udawać swoją siostrę – w łóżku i poza nim.

Nastąpił jeszcze jeden wybuch, a potem wszystko spowiła czerń.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Przenikliwe wycie syren otrzeźwiło Mike'a. Leżał nieruchomo, wpatrując się w rzeźbione drzwi domu Kary, które teraz, wyrwane z zawiasów, wylądowały na drzewie. Cały dom wyglądał jak wielka pochodnia. Z otworów po drzwiach i oknach sypały się iskry i unosiły kłęby czarnego dymu, napędzając ogród gryzącym swądem.

Kara była w środku.

Policjanci i strażacy rozwijali węże. Wielkie reflektory oświetlały zewnętrzne ściany budynku.

Jak przez mgłę Mike usłyszał okrzyk:

– Ona tam jest! Kara Shayne jest w środku!

Dobry Boże... Kara... Musiał się podnieść, musiał ją ratować, ale siły wystarczyło mu tylko na uniesienie głowy. Niebo zawirowało mu w oczach, zamknął powieki. Był półprzytomny.

Przez jego umysł przelatywały setki obrazów. Brązowe statuetki w skrzyniach podobnych do trumien. Dziewczyna w sukni ze złotej lamy. Kara rozbierająca się przed nim w wieczór po premierze filmu. Lilly błagająca go rozpaczliwie: Idź po nią, tato! Przeprowadź ją tu! Przeprowadź moją mamę!

Wszystkie te obrazy zderzały się ze sobą, mieszały i składały w pozbawioną sensu całość. I nagle rozmaite okruchy wspomnień, które dotychczas wydawały się niezrozumiałe, złożyły się w nowy wzór.

Emma wpatrzona wilgotnymi oczami w Lilly na placu w Santa Fe... Po premierze Mike poszedł do hotelu Kary, domagając się prawdy o Lilly, ona zaś ściągnęła błękitną suknię i uwiodła go, a potem wybuchnęła płaczem.

– Mike, Lilly jest moja. Bardzo mi przykro – usłyszał i poczuł się zdruzgotany. Łudził się, że to Emma okaże się matką jego córki. Pragnął Emmy, a tymczasem co zrobił? Znow przespał się z jej siostrą.

Uciekł stamtąd ze świadomością, że stracił Emmę na zawsze. A potem stworzył ten posążek z twarzą Kary i łzami Emmy. Przypomniawszy sobie widok Kary przy tym posągu poprzedniego wieczoru. Dotykała go delikatnie czubkami palców, a w jej oczach znow błyszcząły łzy. Wyglądała zupełnie tak samo jak posąg.

Łzy. Tak wiele łez. Kara nigdy nie płakała. Wpadała we wściekłość i wtedy jej oczy lśniły jak u pantery. Ale nie płakała.

To Emma płakała. Emma!

Od jak dawna Emma grała role obydwu bliźniaczek?

„Mike, Lilly jest moja. Tak mi przykro”.

Był zbyt wściekły, by zauważyć głębię smutku kryjącego się za tymi słowami. Uciekł z hotelu jak złodziej, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej. Pobiegła za nim, ale zaczął jej grozić w obecności gości na jej przyjęciu. Próbował zapomnieć o tej nocy, bo odkrył wtedy, kim naprawdę jest: barbarzyńcą, którym rządzą najprymitywniejsze instynkty.

Tylko że... Ta kobieta w pokoju hotelowym szlochala tak żałośnie, jakby miało jej pęknąć serce. A Kara nigdy nie płakała.

Dlaczego Emma udawała wtedy Karę?

Próbowała mu powiedzieć, kim jest, ale był zbyt wściekły, by jej słuchać. Zranił ją tak mocno, że uciekła na dobre.

Ale gdy oskarżono go o podwójne morderstwo, obydwie siostry znów się pojawiły.

Ale czy naprawdę? Wyglądały wtedy zupełnie identycznie – jeszcze bardziej niż zwykle. Emma była zmieniona, smutna. Kara też. Potem już nigdy nie widziano ich razem. Dlaczego?

Co tu się, do diabła, działo?

A dziś wieczorem Kara... Nie, nie Kara! Emma. Boże. Czy w tym domu była naprawdę Emma? Jak to możliwe, skoro siostry nie utrzymywały ze sobą kontaktów?

Wiedział już na pewno, że w domu Kary znajdowała się Emma. Najwyższym wysiłkiem woli rozchylił powieki i zmusił się, by przez kłęby dymu pobiec w stronę domu. Nie zatrzymał się, nawet gdy iskry zaczęły parzyć mu ramiona i policzki, gdy płuca wypełnił dym i gdy usłyszał wołania strażaków. Osłonił oczy dłonią i brnął naprzód.

– Zabierzcie tego idiotę sprzed domu!

– Emma! – wykrzyknął w stronę ryczących płomieni. – Emma!

Koszula zaczęła się na nim palić. Był już w drzwiach, gdy jakieś ręce pochwyciły go i odciągnęły od ognia. Próbował się wyrwać, ale dwaj mężczyźni powalili go na trawę i najpierw ugasili płomienie, a potem odciągnęli go dalej na trawnik.

Odłamki szkła przecięły dżinsy i zraniły go w udo. Jęknął i złapał się za nogę obiema dłońmi.

– Nic ci nie jest? Przepraszam, musieliśmy cię uderzyć. Wszystko w porządku?

Mike wybuchnął śmiechem. Powinien być martwy; po tym wszystkim nie miał prawa żyć.

– Ona jest tam w środku – szepnął ochryłym głosem. – Wyciągnijcie ją!

- Tam w środku nikt nie miał prawa przeżyć.
- Mylisz się.
- O co ci chodzi?
- Ja tam byłem.
- Hej, ja cię widziałem w telewizji! To ty zrobiłeś tę słynną rzeźbę przedstawiającą ją nagą!
- Idźcie po nią!
- A co ty tu robiłeś? – zapytał któryś z mężczyzn.
- Jestem jej starym znajomym.

Idźcie po nią, chciał powtórzyć po raz kolejny, ale spomiędzy poruszających się warg nie wydobył się żaden dźwięk. Bolały go plecy i miał dreszcze. Twarze mężczyzn rozmazywały mu się w oczach. Poczuł, że zapada się w ciemność.

Gdy znów otworzył oczy, dwóch policjantów wynosiło z domu czarne worki z ciałami.

- Kto to jest? – zapytał stojący obok reporter.
- Kara Shayne i Ray Parsons.
- Parsons?
- Psychiatra. Jej narzeczony.
- Ktoś coś widział? – zapytał niski, krępy policjant. – Albo kogoś?
- Znaleźliśmy tu faceta. To ten słynny rzeźbiarz, który...

W głowie Mike'a rozbłysło białe światło.

- ...mówi, że był w środku.

Mike z dudniącym sercem patrzył na worki z ciałami. Nagie ciało Emmy przyciśnięte do ciała Raymonda.

Niech to jasna cholera. Miał plamy krwi na dżinsach, okruchy szkła we włosach.

– ...przysięgam, był tu jeszcze przed chwilą.

Już prawie udało mu się skryć w cieniu, gdy wpadł na niskiego mężczyznę w szarym dresie.

– Uważaj, jak idziesz! – usłyszał i poczuł rękę na swoim ramieniu. – Geraldo Chavez, detektyw z Wydziału Policji Los Angeles – powiedział jakiś inny głos. Ten mężczyzna miał na sobie pomiętą białą koszulkę i brudne dżinsy.

– Z tego, co słyszałem, jest pan ostatnią osobą, która widziała pannę Shayne przed jej śmiercią. Czy mogę zadać panu kilka pytań?

Detektyw Chavez był wysoki, miał ogorzałą twarz z szerokim nosem i potężne ramiona. Nawet w znoszonych dżinsach emanował autorytetem. Jego przenikliwe spojrzenie denerwowało Mike'a.

Jak miał powiedzieć policjantowi, szczególnie takiemu aroganckiemu, że w worku znajduje się ciało drugiej bliźniaczki? Media oszalałyby ze szczęścia, a on sam w ciągu pięciu minut padłby ofiarą linczu.

Chavez wyjął z kieszeni notes.

– Kim była dla pana Kara Shayne?

– Przyjaciółką.

– Od jak dawna?

– Wychowaliśmy się razem.

– Czy łączyły was bliskie stosunki?

– Tak i nie.

– Co pan tu robił?

– Była wczoraj na mojej wystawie.

Chavez wypytał o wystawę, notując każde słowo Mike’a.

– A więc po wystawie zaprosiła pana do siebie...

– Niezupełnie.

Detektyw obrócił długopis w palcach.

– Będą nam potrzebne próbki krwi.

Był policjantem i na tym polegała jego praca. Miał za sobą cały potężny aparat, stało za nim prawo.

– Zabierzemy pana na posterunek i tam zadamy jeszcze kilka rutynowych pytań – dodał.

Rutynowych? – pomyślał Mike z niedowierzaniem. Jak mógł użyć tego słowa, gdy w worku leżało ciało Emmy?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Biegacz z trudem powstrzymał się od chichotu, gdy do ambulansu ładowano worki z ciałami. Żałował, że nie może zobaczyć, co pożar zrobił z jej twarzą.

Nasunął kaptur na głowę i cofnął się głębiej w cień. Ambulans odjechał. Meksykański gliniarz przesłuchiwał skrzywionego indiańskiego mieszkańca.

W pierwszej chwili był zły, że ten drań uszedł z życiem i w dodatku omal go nie rozdeptał, ale w sumie dobrze się stało. Gliniarze skupili się na Indiańcu i nie szukali nikogo więcej.

Samochody zaczęły się rozjeżdżać. Było już po wszystkim. Po niej też. Musiał o niej zapomnieć. Postanowił wyjechać do Meksyku.

Ale melodia, która brzmiała w jego głowie

przez całą noc, zaczęła grać na nowo, chociaż próbował zasłaniać uszy dłońmi.

Czy to był jej duch? A może ona nadal żyła?

Musiał się upewnić, co dokładnie było w tym worku na zwłoki. Jeśli ona naprawdę zginęła, to skąd brały się dźwięki w jego głowie?

Musiał obciąć jej język.

Chavez nadal pisał coś w swoim notatniku. Mike przyglądał mu się, popijając zimną, niedobłą kawę.

– Czy pan ma tyłek ze stali? – zapytał w końcu. – Nie wierzę, że czuje się pan dobrze na tym krześle. Dlaczego nie wyrzucicie ich na śmietnik?

– Nie mamy środków w budżecie na zakup nowych krzeseł.

– Ten cholerny pokój przesłuchań jest chyba gorszy od celi skazańców. Gdybyście mnie tam zamknęli, to przynajmniej nie musiałbym odpowiadać całymi godzinami na głupie pytania.

Chavez poruszył się niecierpliwie.

– Nie musi pan nic mówić. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu.

Mike ze znużeniem przeciągnął ręką po włosach.

– Ile razy jeszcze...

– Może pan wynająć adwokata, choć sądzę, że to nie będzie potrzebne.

Wyczerpany, zrozpaczony Mike spojrzał na niego bezradnie.

– Ile razy już to słyszałem? Pięćdziesiąt?

Chavez wyłączył dyktafon, przeciągnął się i zaczął przeglądać notatki.

– Znalazłem pana na miejscu przestępstwa. Był pan ostatnią osobą, która widziała ofiarę żywą. Byliście kiedyś blisko związani, ale mamy jeszcze drugą siostrę, Emmę. Jak to było? Sypiał pan z nimi jednocześnie? Czy dlatego zerwały ze sobą kontakty?

Mike z wściekłością pochylił się do przodu.

– Ani słowa na temat Emmy.

– Kochał pan Emmę? To dlatego Kara była wściekła?

– Powiedziałem, ani słowa o tym.

– Na wystawie były posążki obu sióstr?

Mike wziął głęboki oddech, próbując zapanować nad nerwami, i skinął głową.

– A zatem ustalmy przebieg wydarzeń. Kara przyjeżdża na wystawę, widzi rzeźby Emmy, wpada w szal i ucieka. Pańska córka wierzy, że jej matką jest gwiazda filmowa. Pan jedzie za Karą do domu. Drzwi są zamknięte, alarm włączony. Rozbija pan szybę, żeby dostać się do środka. Dom wybuchuje, ona ginie, a pan uchodzi z życiem.

Ramiona Mike'a, owinięte grubymi warstwami bandaży, pulsowały bólem.

– Niech mi pan powie coś, o czym jeszcze nie wiem.

– To pan niech mi powie.

- Ja nie zrobiłem jej nic złego.
- Mamy motyw. Mamy...
- Nic nie macie. Ja tego nie zrobiłem.
- O czymś pan zapomniał.
- Czy pan nigdy nie sypia? Ja już jestem ledwie żywy.

– To Kara nie żyje. Bliźniaczki? Musi mi pan powiedzieć, jak to jest z dwiema naraz.

– Może zająłby się pan szukaniem prawdziwego mordercy?

O świcie Mike miał wrażenie, że przyrósł do metalowego krzesła. Był otępieły od pytań. Gdy powoli nabierał przekonania, że już nigdy stąd nie wyjdzie, ktoś zapukał do drzwi.

Jasnowłosy policjant o piegowatej twarzy wsunął głowę do środka i oznajmił:

– Przepraszam cię, Chavez, ale szef kazał ci powiedzieć, że na zewnątrz jakiś grubas wydziera się jak diabli. Podobno jest bratem tego rzeźbiarza.

- Ja nie mam brata – oznajmił Mike.
- Zwolnimy pana, ale proszę zabrać stąd tego grubasa.
- O Jezu – jęknął Mike.

– Woli pan trafić z nim do jednej celi?

Gdy Mike wyszedł z posterunku, Sando właśnie krzyczał przez megafon do tłumu reporterów:

– Muszą mu postawić konkretne zarzuty albo zwolnić!

Mike odebrał mu megafon.

– Ciicho. Dali mi pięć minut, żebym cię uciszył i rozpędził ten tłum. – Otoczył Sando ramieniem i sprowadził ze schodków.

– Miło, że mi podziękowałaś – burknął urażony grubas.

– Chyba żartujesz, durniu.

Sara wyrwała się z tłumu, wołając:

– Hej, ludzie! Nazywam się Greywolf. Jestem jego byłą żoną! – Dopadła Mike'a i objęła, zadając przy tym nieznośny ból. – Kochanie...

Skrzywił się. Ona go pocałowała. Błysnęły flesze.

– Myślałem, że jesteście już po rozwodzie – mruknął Sando z przekąsem.

– Zgadza się – pokiwał głową Mike.

– Więc nadal się widujecie? – drażył Sando.

– Chcesz się ze mną umówić, kurduplu?

– A ty byś chciała?

– Nigdy w życiu.

W samochodzie Sando był niezwykle cichy.

– Nie za bardzo lubię być sam. Czy ty i Lilly macie się gdzie zatrzymać?

Mike milczał.

– Pewnie odmówisz, ale może jednak zatrzymalibyście się w moim domu nad oceanem? W Laguna Beach?

Mike potarł skronie i ze zdumieniem stwierdził, że właściwie nie ma nic przeciwko temu.

Może po prostu nie chciał zostać sam z myślami o Emmie. Bez względu jednak na powody, zaskoczył siebie i Sando krótką odpowiedzią:

- Dzięki.
- Pakt o nieagresji?
- To może zbyt wiele powiedziane.

Trzy dni intensywnej uwagi mediów, rekonwalescencji, towarzystwa Sando, dąsów Lilly, widoku tłumu fanów Kary koczujących przed bramą posiadłości oraz własnej rozpaczycy wyczerpały Mike'a do granic możliwości. Czwartego ranka nie był już w stanie przeczytać gazety.

– Niech ich diabli – mruknął przez zaciśnięte zęby i szarpnął stronę tak mocno, że przedarła się na pół. Gazeta przeprowadzała ankietę wśród czytelników, pytając ich, czy wierzą, że to Greywolf podpalił rezydencję Kary.

Poranne słońce zaglądało do wypełnionej bielą i chromem kuchni Sando. Gdy zaspana Lilly weszła do środka przez wahadłowe drzwi, kuchnia wydała się Mike'owi ciasniejsza niż pokój przesłuchań. Dziewczyna miała poszarzałą twarz i sińce pod oczami.

Mike złożył gazetę i rzucił ją na stół.

– Dzień dobry – powiedział z naciskiem.

Nie odpowiedziała. Sięgnęła do szafki i wyjęła pudełko płatków, karton mleka, miskę i łyżkę.

– Nie mogłaś spać? – zapytał.

Przygryzła wargę i w milczeniu naląła mleka do miski.

– Byłem na długim spacerze na plaży – mówił dalej Mike. – Zauważyło mnie kilku reporterów. Z trudem udało mi się uciec...

Lilly spojrzała na niego. Z przechylnego kartonu wyciekało mleko.

– Rozlewasz mleko – zauważył.

Wyprostowała karton.

– Jak możesz się tak zachowywać, zupełnie jakby nic się nie stało...

– Wreszcie się odezwałaś – rzucił cierpko.

Oczy Lilly zaszkliły się.

– Jak m-mogłeś z-zabić...

– Przecież jej nie zabiłem – jęknął.

– Ale byłeś tam!

– I czego to dowodzi?

– Dowodzi? Od zbierania dowodów jest detektyw Chavez.... – urwała, powstrzymując łzy.

– Lilly, posłuchaj. Omal sam nie zginąłem.

– Szkoda... szkoda, że nie zginąłeś. Boże... nawet nie mogę wyjść z domu, bo cały tłum obcych ludzi zadaje mi okropne pytania na twój temat. Jak myślisz, jak ja się z tym czuję?

– A jak myślisz, jak ja się z tym czuję?

Odsunęła krzesło.

– Nie mogę uwierzyć, że sama cię tam wysłałam.

– Przecież to nie ja ją zabiłem.

– Pan Chavez powiedział w telewizji co innego.

– Myli się.

Bez dalszej dyskusji Lilly wzięła do ręki miskę.

– Dokąd idziesz?

Wstawiła miskę do zlewu i zalała wodą.

– Jak długo będę musiała siedzieć tu zamknięta razem z tobą?

Mike wstał i podszedł do okna. Za plecami słyszał, że Lilly zakręciła kran i pobiegła na górę. Nie tylko córka uważała go za mordercę. Sara sprzedała prasie całą historię jego życia. Najgorsze brudy płynęły szerokim strumieniem właśnie z Albuquerque. Dopilnowała też, by dobrały mu się do skóry media ogólnokrajowe – jego zdjęcie pojawiało się w niezliczonych reportażach i w każdym wydaniu wiadomości CNN. Przypuszczał również, że to ona była autorką zdjęcia zamieszczonego na pierwszych stronach wszystkich ważniejszych gazet w Kalifornii, na którym policjant wprowadzał go na posterunek w centrum Los Angeles.

W telewizji na okrągło pokazywano wszystkie filmy z Karą. Po każdym z nich wyraz twarzy Lilly stawał się jeszcze bardziej ponury.

Ta sprawa była na ustach wszystkich i Mike czuł pętlę zaciskającą się na jego szyi. W jednej chwili trzymał Emmę w ramionach, a w następnej

dom stanął w płomieniach. Wciąż miał w uszach jej przerażone wołanie i wiedział, że to wspomnienie nie opuści go do śmierci.

Późnym wieczorem obejrzał w telewizji powtórkę „Zdradzonej”. Kara była niewiarygodnie piękna, ale widok jej nagiego ciała w ogóle go nie podniecał. Piękna, bez wątplenia, ale nie była Emmą.

Gdzie podziewała się Emma? Co wiedziała o wydarzeniach tamtego strasznego wieczoru? Czy miała z nimi coś wspólnego? Czy celowo zastawiła pułapkę na siostrę?

Nie potrafił sobie poradzić z natłokiem pytań i targającymi nim wątpliwościami.

– Kiedy będziemy mogli pobrać od pana próbki krwi?

Mike mocniej zacisnął palce na słuchawce.

– Dzwoniono do mnie z laboratorium już dwa razy. Mówiłem im, że nie wiem. Muszę najpierw porozmawiać z moim adwokatem. Powinien tu być za chwilę.

– To dobrze. Im szybciej, tym lepiej.

Ciągła presja. Ze złością rzucił słuchawkę na widełki. Badanie krwi oznaczało kolejne publiczne oskarżenia i nową wrzawę w mediach.

Telewizja pokazywała właśnie wieczorne wiadomości. Zachodzące za oknem słońce wyglądało jak krwawa kula. Mike odstawił martini na bok

i wyszedł na balkon. Nad falami oceanu unosiła się samotna mewa.

Na dźwięk dzwonka drgnął i poszedł do drzwi. Tak jak się spodziewał, ujrzał za nimi adwokata. Slim Price, jeszcze niższy i grubszy niż Sando, miał w sobie arogancję urodzonego wojownika. Był czarny, pochodził z biednej rodziny i cechował się chorobliwą ambicją, która pozwoliła mu przebyć drogę ze slumsów na renomowany uniwersytet. Potem już szybko wspiął się na sam szczyt.

Wszedł do salonu i zatrzymał się pośrodku, wbijając wzrok w ekran telewizora, gdzie prokurator stanowy komentował właśnie ostatnie wiadomości.

– Tak. Mamy podejrzanego. Owszem, poczyniliśmy znaczące postępy.

– To jest prokurator stanowy? Cha, cha! – ryknął Slim, szczerząc olśniewająco białe zęby i gładząc siwą brodę. – Płacę moim ludziom za oglądanie tych pajaców po to, żeby pan nie musiał ich oglądać!

Mike zmarszczył brwi, gdy Slim bez pytania wyłączył telewizor.

– Ma pan jeszcze trochę tego martini?

To nie było pytanie, lecz rozkaz. Jak wielu spośród tych, którzy wspięli się bardzo wysoko, startując z bardzo niska, Slim był połączeniem lizusa z autokratą.

Mike przyrzadził od razu dwa drinki. Slim bez

wahania zajął najwygodniejszy fotel, wziął od Mike'a szklaneczkę i pił powoli, bacznie rozglądając się po salonie.

– Bardziej mi żal tego chwalipięty niż pana. Trafiło im się to morderstwo jak ślepej kurze ziarno. Fani Kary popadli w obłąd, zresztą nie tylko oni. Robią z niej świętą.

– Media poczuły krew. Moją.

– Prokurator musi mówić, że są blisko znalezienia winnego, bo za to mu płacą. Niech pan się nie martwi. Ma pan mnie.

– A co z tymi badaniami krwi?

– Chavez jest uparty jak osioł. Tylko ja zdołam ochronić pana przed pudłem.

– A niewinność wcale się nie liczy?

– Trafił pan w sedno. Jeśli uda im się pana przyskrzycić, to ich kariery ruszą z kopyta.

– Nie lubię być od nikogo zależny.

– To niech mnie pan zwolni.

– I co wtedy?

– Prokurator plecie, co mu ślina na język przyniesie. Podobno zebrali bardzo niewiele materiału dowodowego. Niech pan im da te próbki krwi. Gdy ją zbadają, moi eksperci się tym zajmą. A teraz, kilka dobrych wiadomości.

Slim położył na stole dwa bilety lotnicze.

– Niech się pan pakuje, wraca do domu i prowadzi normalne życie. Tylko niech pan trzyma język za zębami. Reszta należy do mnie.

– Nie ma mowy, żebym się z tego zupełnie wyłączył. Jestem niewinny.

– Domniemanie niewinności... dopóki nie udowodni się winy. Cha, cha. W sądzie. Ale nie na ulicy, gdy obcy ludzie będą pana oskarżać o morderstwo.

– Wiem. Moja własna córka...

Jednak Slim nie dał mu dokończyć.

– Na rozprawie bez trudu zrównam ich z ziemią. Popelnili mnóstwo błędów. Aha, widziałem wczoraj w wiadomościach pańską byłą żonę. Niezła. Spotyka się z tym pańskim bratem?

Mike bez słowa patrzył przed siebie.

– To, co wygaduje o bliźniaczkach...

Mike znów włączył telewizor. Nie miał ochoty rozmawiać o Sarze i Sando.

– Są jakieś szanse, żeby pan mnie z nią umówił?

– Niech pan zapyta Sando – wzruszył ramionami Mike.

– Ej, ta telewizja jest jak narkotyk. Robi wodę z mózgu.

– To znaczy, że ja jestem już uzależniony.

– Ja wolę kobiety... i dobrą kuchnię. Trzy razy byłem żonaty i pewnie jeszcze ze trzy razy się ożenię. O ile któraś mnie wcześniej nie rąbnie, ha!

Telewizja znów pokazywała scenę wyciągania worków z ciałami z płonącego domu Kary, a potem tłumy fanów składające wieńce przy

murze. Następny w kolejności był wywiad ze Slimem, który puszył się i dowcipkował, najwyraźniej zachwycony sytuacją.

– Wolałbym, żeby mój adwokat nie uważał tej sprawy za doskonałą zabawę – mruknął Mike.

– No owszem, lubię być na świeczniku. Lubię zaciętą walkę i całe to prężenie mięśni. Jestem pańskim osobistym gladiatorem.

– Ten wybuch omal nie rozerwał mnie na kawałki – rzekł Mike ponuro. – Kobieta, którą znałem przez całe życie, zginęła na moich oczach. Chcę wiedzieć, jak to się stało. Kto to zrobił. I dlaczego. I chcę się tego dowiedzieć jak najszybciej! Rozumie pan?

– Wynająłem detektywa. Twierdzi, że to mógł zrobić dosłownie każdy. Sławna, atrakcyjna kobieta, mieszkająca samotnie... Gwiazda, którą każdy chciał mieć w swoim prywatnym filmie. Taka sława przyciąga najróżniejszych wariatów. Jakiś fan prześladował ją już od dawna. No i ta pokojówka, która zniknęła... Może coś ukradła, a potem podpaliła dom, żeby zatrzeć ślady.

Mike nie poświęcił pokojówce żadnej uwagi. Złożył dłonie i zastanawiał się przez chwilę.

– W chwili wybuchu Kara znajdowała się o metr ode mnie. Nasze ciała powinny być w tym samym worku.

– To znaczy, że ma pan cholernie dużo szczęścia. Po prostu...

– Szczęścia? – powtórzył Mike, z trudem hamując wybuch. – Ona nie żyje i wszyscy są przekonani, że to ja ją zabiłem! Widział pan to? – wskazał na stertę gazet. Wyciągnął jedną i przeczytał na głos wielki nagłówek: „Śmierć w płomieniach ponieśli legendarna Kara Shayne i jej narzeczony. Indiański kochanek był na miejscu zdarzenia”.

– Czy mógłby pan to zostawić...

Ale Mike czytał dalej.

– „Strażacy odkryli dwa nagie ciała w sypialni panny Shayne, znajdującej się na piętrze domu. Policja podejrzewa podpalenie. Jedyńm świadkiem zdarzenia był Mike Greywolf, słynny rzeźbiarz i były przyjaciel panny Shayne. Dotychczas nikomu nie postawiono oficjalnych zarzutów. Nekrologi publikujemy na stronie C16”.

Przeczytał cały artykuł jeszcze raz od początku i naraz zamilkł, ogłuszony jakąś myślą.

– Niech pan przestanie! – szepnął Slim.

Mike odłożył gazetę i wpatrzył się w ocean. Na piętrze. Ciała znaleziono na piętrze. Gardło ścisnęło mu się z emocji.

– Niech pan powie swojemu detektywowi, że ta historia nie trzyma się kupy. Nagie ciała w sypialni na piętrze. – Umilkł i zaczął drżeć. – Ona była o metr ode mnie. Jak mogła dostać się na piętro, rozebrać i wskoczyć do łóżka z innym mężczyzną? To nie ona zginęła...

– Ona nie żyje, panu się poszczęściło – odparł Slim gładko. – Szkoda, że nie mam czasu na jeszcze jedno martini...

– Pan mnie wcale nie słucha!

Slim był już przy drzwiach.

– Jak wyglądam? – zapytał na widok wozów transmisyjnych.

Nie było sensu niczego mu tłumaczyć.

– Mógłby się pan przed tym ogolić – rzucił Mike cierpko.

– Cha, cha – zaśmiał się adwokat, gładząc się po brodzie.

Gdy zniknął, Mike opadł na fotel. Oczywiście, bardzo pragnął wierzyć, że Emma żyje, ale jednocześnie czuł obezwładniającą wściekłość. Gdzie ona jest? Dlaczego nie pokazała się publicznie, skoro wiedziała, że policja podejrzewa go o morderstwo? Czy celowo zastawiła na niego tę pułapkę? Dlaczego?

Po chwili złość opadła. Może ona po prostu bała się ujawnić.

Po raz kolejny przypomniał sobie scenę wynoszenia worków ze zwłokami z domu. Pokazano również jego: z długimi, rozpuszczonymi włosami i grymasem na twarzy wyglądał jak szalony dzikus.

– Panna Shayne planowała wkrótce ślub – mówił telewizyjny komentator. – W towarzystwie narzeczonego wybrała się na wystawę prac

byłego kochanka. Najprawdopodobniej zdenerwowała się, bo Greywolf zaprezentował na wystawie jej akt. Panna Shayne pokłóciła się z Greywolfem i opuściła wystawę, on jednak pojechał za nią do domu.

Bzdury. Co za kosmiczne bzdury. Przecież Emma dobrze o tym wiedziała.

W telewizji pokazano ujęcie nagiego posągu, potem kilka gazetowych nagłówków i twarz Indiany. Potem scenę, gdy Kara wyrywała się z ramion Mike'a i uciekła od niego, a Lilly błagała go, by ją przyprowadził.

Sara. To ona nakręciła te sceny. Życzył jej, żeby smażyła się za to w piekle przez całą wieczność.

Zobaczył jeszcze jedno zbliżenie swej ponurej twarzy. Zirytowany, zmienił kanał i trafił na program Jimmy'ego Rogersa. Jimmy prowadził właśnie najsłynniejszą wróżkę w Los Angeles, Robin O'Hair, w stronę czerwonej pluszowej kanapy. Pomógł jej usiąść i przeczekał aplauz widowni.

– Pani O'Hair, już kilkakrotnie pomogła pani policji Los Angeles rozwikłać trudne kryminalne zagadki.

– To prawda – zaświergotała wróżka charakterystycznym, infantylnym głosikiem. – Zawsze się cieszę, gdy mogę komuś pomóc.

– Podziwiała pani Karę Shayne...

– Była wyjątkową aktorką. Absolutnie niepowtarzalną – odrzekła Robi, trzepocząc rzęsami pokrytymi grubą warstwą tuszu.

– Więc kto ją zabił?

Robin przybrała tajemniczy wyraz twarzy i przymknęła oczy. Po długiej chwili otworzyła je i rzekła:

– W tym worku nie było ciała Kary. Ktoś chce wrobić Mike’a Greywolfa w morderstwo.

– Jak to? – zdumiał się Jimmy.

– Kara uciekła z ukochanym. Już nigdy się nie odnajdzie.

Widownia zaczęła skandować:

– Jimmy! Jimmy! Jimmy!

– Gdyby znów się pojawiła, znalazłaby się tym samym w śmiertelnym niebezpieczeństwie – powiedziała Robin cicho. – Ktoś chce ją zabić i nie spocznie, dopóki tego nie uczyni.

Mike oblał się zimnym potem.

Kto był w tym worku na ciała? Kto jeszcze znał prawdę? Gdzie była Kara? Gdzie była Emma? Czy ktoś zastawił tę pułapkę specjalnie na niego? A może komuś zależało na śmierci siostr? A może tylko na śmierci Emmy?

Wiedział, że musi ją znaleźć, zanim będzie za późno.

CZEŚĆ TRZECIA

NIEROZŁĄCZNE

*Jeśli nisko spadamy, częstokroć
Nie jest to wina gwiazd, ale nas samych*³

³ William Szekspir, „Juliusz Cezar”, przeł. Józef Paszkowski, Warszawa 1964 (przyt. tłum.).

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Wielki kłęb czarnych chmur wznosił się nad ciemniejącym tropikalnym morzem. Dusza Emmy także pogrążona była w mroku.

Biegła, niczego nie dostrzegając, wzdłuż rzędu palm i niskich, krytych strzechą chat na plaży. Nie czuła nawet tego, że jej nagie stopy co chwila grzęzną w mokrym piasku. Przebywała w innym czasie i innej przestrzeni.

Ciepła fala dosięgła jej stóp, pozostawiając ślady piany na kostkach i mocząc spódnicę. Emma krzyknęła. Po chwili druga fala, znacznie silniejsza od pierwszej, omal nie zwała jej z nóg.

To wystarczyło, by przywrócić ją do świadomości. Pod powiekami czuła piekące łzy i oddychała tak szybko, że bolały ją płuca.

Czarna woda. Mokry piasek. Słone powietrze. Ocean.

Dlaczego płakała? Skąd się tu wzięła, po kolana w falach oceanu? Z trudem przełknęła ślinę. Gardło też ją paliło. Próbowwała się uspokoić, uciszyć dudnienie serca. Jakiś koszmar wygonił ją z łóżka.

Zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, co robiła przez całe popołudnie i wieczór. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, było przyjęcie urodzinowe Manuela. To było przed południem. Widziała jego rozjaśnioną twarz, wielkie brązowe oczy utkwione w czekoladowym torcie, który przed nim postawiła. Potem przeniósł wzrok na nią i uśmiechnął się jeszcze szerzej na widok różowej papierowej czapeczki na jej głowie.

To było jej ostatnie wspomnienie. A potem nie pamiętała już nic.

Palmy szumiały na wietrze. Czuła zapach rozgrzanego tłuszczu, meksykańskich potraw smażonych w restauracjach na plaży, gdzie lubili przychodzić amerykańscy turyści. Melodyjny głos śpiewał hiszpańską piosenkę do wtóru gitary. Meksyk, Isla Mujeres. To tutaj mieszkała od siedmiu lat. Ale skąd się wzięła na plaży?

Zatrzymała wzrok na ciemnych ruinach hotelu „Presidente”, który stał na malutkiej wysepce przy Playa Norte. Kilka lat temu zniszczył go huragan. Znajoma plaża ze strzechami z liści

palmowych, oświetlona księżycem, wyglądała niezwykle romantycznie. Emma często tu przychodziła w ciągu dnia i pisała, siedząc na białym piasku nad brzegiem niebieskozielonego morza. Zwykle wypożyczała parasol albo hamak. Kellnerzy przynosili jej posiłki i coś do picia. Gdy zbliżał się termin oddania książki, było to jedyne miejsce, w którym potrafiła oderwać myśli od szkoły, kliniki i dzieci.

Ale teraz akurat niczego nie pisała. Niedawno skończyła jedną książkę, a nie zaczęła jeszcze następnej.

Księżyc w pełni wznosił się wysoko na czarnym niebie. To znaczyło, że jest już bardzo późno. Przyjęcie Manuela skończyło się przed południem. Co się działo potem, przez te wszystkie godziny? Próbowała sobie przypomnieć, ale w umyśle widziała tylko mgłę. Porcelanowa żaba powoli spadała z wysokiej półki, zanim roztrzaskała się na kamiennej podłodze. Deszcz okruchów porcelany i twardych karmelków. Pantery skakały po różowej ścianie pełnej cieni. A potem zobaczyła siebie samą za kierownicą sportowego samochodu. Pędziła autostradą wzdłuż wybrzeża w stronę Los Angeles.

Twarz Mike'a na tle morza ognia. Twarz Mike'a skąpana w blasku księżyca. Trzymał w ramionach Karę. Żrąca, niedobra zazdrość.

Dlaczego? Skąd? Te obrazy nie miały żadnego sensu.

Mgła w jej umyśle gęstniała coraz bardziej, serce biło mocno.

Oddychając z wysiłkiem, wyszła z wody i powlokła się w stronę plastikowych ławek na plaży. Kręciło jej się w głowie. Przymknęła oczy i przez chwilę leżała nieruchomo, przyciskając palce do powiek.

Miała kolejny atak zaniku pamięci. Już od lat jej się to nie zdarzało. To oznaczało, że zrobiła coś złego, co chciała wyprzeć ze świadomości. Tak przynajmniej twierdził lekarz. Myśl o kolejnej luce w pamięci przygnębiła ją tak bardzo, że zerwała się i znów zaczęła biec. Dopiero gdy poczuła ból w nodze, zwolniła i uświadomiła sobie, że jest skaleczona. Szła dalej powoli, kuśtykając. Do oświetlonego pomostu przybił właśnie kuter i rybacy wynosili wielkie, zakrwawione cielska rekinów na deski.

– *Gringa!* – zawołał wesoło na jej widok jeden z rybaków.

Skreśliła w wąską uliczkę między dwoma rzędami ciasno stojących stuletnich domów i już po kilku minutach dotarła bezpiecznie na własne podwórko, pełne kwitnących hibiskusów. Weranda zalana blaskiem księżyca, palmy w donicach, rzeźby, niektóre autorstwa Greywolfa. Minęła drzewko cytrynowe obok fontanny, kępę paproci i otworzyła drzwi do sypialni.

Tu czuła się bezpiecznie. Na komodzie stały

zdjęcia ciemnookich dzieci, oprawione w srebrne ramki. Powiodła po nich wzrokiem, najdłużej zatrzymując spojrzenie na okrągłej buzi Manuela. Znalazła go na ulicy, wychudzonego i obdartego, i przekonała, by zaprowadził ją do kartonowego szałas, w którym mieszkał z trójką rodzeństwa i ciężarną matką. Tam udało jej się przekonać Isabelę, by zapisała Manuela do szkoły, a sama poszła na zajęcia dla kobiet w ciąży w klinice Katherine. Powoli obydwie z Katherine zaczęły uczyć Isabelę, która ledwie umiała czytać i pisać. Gdy Isabela zmarła przy porodzie, Emma, która dobrze wiedziała, czym jest samotność, zajęła się Manuelem.

Poranne przyjęcie urodzinowe udało się doskonale. Manuel, otoczony grupą dzieci, był niezmiernie przejęty.

– Co to jest? – zapytał, wskazując na tort.

– Twoje święto – roześmiała się Katherine, stawiając na stół talerz *ceviche de caseroles* – ślimaków marynowanych w soku z limonki z papryczkami chili.

– Dla mnie? – zapytał Manuel niepewnie.

– Dla ciebie, skarbie, żebyś mógł podzielić się tym z innymi dziećmi.

Ach, w Meksyku było zbyt wielu takich Manuelów. Ten jednak był dla niej wyjątkowy. Bardzo się do niego przywiązała.

Przeniosła wzrok na zdjęcie Juanity. Dziew-

czynka uwielbiała szkołę, od kiedy miała własne książki i ołówki, a jej matka czuła się na tyle dobrze, by móc się zająć pozostałymi dziećmi. Teraz mieli wreszcie prawdziwy dom. Jasnooka Juanita była łagodna jak...

W błysku wspomnienia Emma ujrzała inną dziewczynkę, z innego życia. Zobaczyła Lilly, olśniewająco piękną w czarnej sukience, zbyt śmiałej jak dla osoby w jej wieku. Błysk myśli. Skup się. Plaża. Kara.

Weszła do łazienki i zapaliła światło. Wiatrak pod sufitem zaczął się obracać z cichym szumem, rozwiewając kosmyki jej krótko obciętych włosów. Och...

Obciętych? Spojrzała w lustro. Miała przeciętą wargę i podbite lewe oko. Podniosła ręce do głowy. Skaleczona warga bolała. Paznokcie miała połamane i brudne.

Gdzie ona była? Co takiego robiła?

Kara.

Przymrużyła oczy i zamiast siebie zobaczyła w lustrze Karę. Kara próbowała jej przesłać jakąś wiadomość. Wpatrując się w odbicie, wyostrzała powoli spojrzenie, aż znów ujrzała własną twarz.

– Kim jesteś dzisiaj? – zapytała drżącym głosem. – Chcę być sobą. Dobry Boże, pozwól mi być sobą!

Cofnęła się o krok, potem o drugi i jeszcze następny, aż uderzyła plecami w ścianę. Dopiero

wtedy to zobaczyła. Po prawej stronie od odbicia jej twarzy lustro pomazane było szminką. Imię Kary, wypisane kilkakrotnie krwistoczerwonymi, wielkimi, drukowanymi literami. KARA. KARA. KAR...

W tym miejscu szminka się złamała. Na białym blacie leżało kilka czerwonych okruchów.

Czoło Emmy pokryło się zimnym potem. Jak szalona wbiegła do sypialni i zapaliła światło. Na łóżku leżała walizka, a obok niej kilka par dżinsów i bawełnianych koszulek.

Wyjeżdżała gdzieś. Znowu.

Zadzwoił telefon. Emma usiadła na łóżku i słuchała stanowczego głosu matki, wydobywającego się z głośnika.

– Emma, wiem, że mnie słyszysz. Na litość boską, jest już niedziela wieczór. Od trzech dni próbuję się do ciebie dodzwonić.

Trzy dni.

– Podnieś słuchawkę. Emmo, odbierz telefon, proszę cię. Nie dam sobie rady z tym wszystkim, potrzebuję cię. Sama nie wiem, co jest gorsze, wozy telewizyjne, tłum fanów Kary koczujących przy bramie czy brak wiadomości od ciebie. Przed chwilą wróciłam z Los Angeles. Stuart wyśle po ciebie samolot. Aha, Emmo, Greywolf tam był, w domu Kary, gdy zginęła w pożarze.

Niedziela.

Kara zginęła.

Pożar.

Greywolf tam był. W domu Kary.

Znów zobaczyła twarz Mike'a na tle morza płomieni. Brązowe statuetki ich obydwu. Bez żadnego sensownego powodu dotknęła palcami rozciętej wargi.

Kim była? Kto krył się pod maską kłamstw?

Pamiętała tylko przyjęcie Manuela... dzisiaj. Nie, nie... Policzyła na palcach. Nie dzisiaj. Od czwartku minęły już trzy dni.

Całe trzy dni. Dotychczas gubiła po kilka godzin... najdłużej cały dzień. Gdy terapeuta powiedział jej, że muszą popracować nad przyczyną tych zaników pamięci, przerwała leczenie.

Mike tam był. Ogarnięta paniką Emma zepchnęła walizkę i ubrania z łóżka. Pod spodem leżało kilka par płetw i maski do nurkowania, w łazience wisały dziecięce kostiumy kąpielowe.

Nie mogła pojechać do domu. Nie chciała. Dzieci jej potrzebowały. Szczególnie Manuel.

Kara nie żyje. Mike tam był.

Życie, które prowadziła od siedmiu lat, legło w gruzach.

Drżącymi rękami podniosła walizkę i znów położyła ją na łóżku. Wyjęła z niej wszystkie ubrania i wrzuciła do szafy. Nie mogła pojechać do domu, absolutnie nie mogła spotkać się z Mikiem.

Była wolna, ale za jaką cenę?

Mike mieszkał teraz w Nowym Meksyku, razem z Lilly.

Popatrzyła na dolną szufladę komody. Tam znajdowały się fotografie, których starała się nigdy nie oglądać. Najmniej lubiła tę, na której Mike, oparty na strzelbie, stał w aroganckiej pozie nad zabitym jeleniem. Emma wtedy długo opłakiwała śmierć zwierzęcia i Mike obiecał jej, że nigdy więcej żadnego nie zabije.

Wbrew sobie wyciągnęła szufladę i znalazła w niej dwa zdjęcia zrobione w automacie. Siedziała na kolanach Mike'a, a on ją całował. Zatrzymał wtedy dwie odbitki i jej również dał dwie.

– Żebyś o mnie nie zapomniała – szepnął.

Tak jakby była w stanie zapomnieć. Choć bardzo tego pragnęła przez te wszystkie lata. Boże, jak bardzo.

Kara kiedyś znalazła te zdjęcia i wyśmiała Emmę, nazywając sentymentalną idiotką.

Ostatnia fotografia była wyrwana z jakiegoś pisma i przedstawiała Mike'a w muzealnym ogrodzie pełnym rzeźb. Stał oparty o brązowy posąg konia, który zdobył jakąś międzynarodową nagrodę. Wiecznie otoczony wielbicielami, tu wydawał się bardzo samotny.

Kara nie żyje. Mike tam był.

Myśl o tych dwojgu razem była trucizną dla jej duszy. Od samego początku wszedł między nie.

Cierpienie i poczucie zdrady nie osłabiło pomimo upływu wielu lat. Tylko pisanie i opieka nad dziećmi przynosiły jej ulgę.

Czy ból stałby się jeszcze większy, gdyby poznała całą prawdę?

Wsunęła zdjęcia z powrotem do szuflady. Zostawiła tylko fotografie Lilly, po namyśle wrzuciła je do walizki.

Mike i Kara. Kara zawsze wszystko jej odbierała. Zabawki, przyjaciół. Ale Emma nie miała nic przeciwko temu... dopóki nie pojawił się Mike, a potem Lilly.

Czy Kara naprawdę nie żyła?

Zwinęła się w kłębek i zaczęła płakać. Może dlatego nie usłyszała skrzypnięcia otwieranych drzwi i szybkich kroków Katherine w korytarzu.

– Mogę wejść? – zapytała Katherine, uchylając drzwi do sypialni. – Właśnie wróciłam z wizyty domowej. Twoja matka dzwoniła – dodała po chwili.

– Wiem – wykrztusiła Emma z trudem przez ściśnięte gardło.

– Powiedziała mi o Karze. Tak mi przykro. – Pomimo uśmiechu, na twarzy Katherine widać było wyczerpanie. – Gdzie byłaś? Szukałam cię wszędzie...

Emma szybko otarła oczy i usiłowała się uśmiechnąć. Kochana Katherine. Niektórzy ludzie wydawali się doskonale zaprogramowani już

od chwili urodzenia. Czy Katherine zawsze wiedziała, kim jest? Czy od dziecka chciała zostać lekarką? Nawet największy chaos w klinice nie był w stanie wytrącić jej z równowagi.

– Byłam na spacerze.

– Och? – zdziwiła się Katherine. – A... twoje włosy?

– Obcięłam je.

– Były takie ładne...

Emma podniosła dłonie do szyi.

– Tak będzie mi wygodniej.

– No dobrze – zgodziła się Katherine bez większego przekonania. – I tak odrosną. Jak ci minęła podróż?

– Podróż?

– Z Puerto Vallarta. Pojechałaś tam przecież, żeby pisać.

– T-tak.

– A gdzie tak pokaleczyłaś twarz?

– Och... przewróciłam się.

– A co się stało z twoim głosem? Nie możesz mówić?

Emma nie była w stanie dłużej wytrzymać spokojnego wzroku Katherine.

– Emmo, co się właściwie stało? Czy...

– Nic.

– Pojedziesz do matki?

– Nie.. nie mogę.

Tej nocy nie udało jej się zasnąć. Przewracała

się z boku na bok, myśląc o Karze. Prześladowały ją wizje panter na ścianach kiwy i morze płomieni. Słyszała głos Mike'a, który wołał ją po imieniu.

O świcie matka znów zadzwoniła. Emma podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

– Musisz tu przyjechać – powiedziała Frances. – Organizuję wielką uroczystość, by uczcić pamięć twojej siostry. Wszyscy tu będą. Gubernator, głowy państw...

– Czy to naprawdę konieczne?

– Twoja siostra była osobą publiczną, znaną na całym świecie. Musisz przyjechać.

– Ale mam...

– Co się stało z twoim głosem?

– Gardło mnie boli. Nic takiego.

– Boisz się, że go spotkasz, tak? To przez niego wyjechałaś z domu.

Emma nic na to nie odpowiedziała.

– Nie będziesz musiała się z nim spotykać. Nie dopuszczę do tego. Stuart rozumie, jakie to ważne, i wyśle po ciebie kierowcę na lotnisko. Aha, wyznaczyłam dużą nagrodę za informacje, które mogą pomóc w znalezieniu mordercy twojej siostry.

Emma szeroko otworzyła oczy.

– Po co to zrobiłaś?

– A co w tym dziwnego?

Gdy matka odłożyła słuchawkę, Emma wróci-

ła do pakowania. Pod łóżkiem znalazła zmiętą gazetę. Rozprostowała ją i jej puls znowu przyspieszył. Zawinięte w „Los Angeles Times”, leżały przed nią zwęglone pasma rudych włosów. Opadła na łóżko i zakryła usta dłonią, żeby nie krzyczeć.

Po chwili zwinęła gazetę wraz z zawartością w kulę i na powrót wepchnęła pod łóżko.

Włączyła telewizor i znalazła CNN. Z poczer-
niałych ruin domu jej siostry wynoszono dwa worki z ciałami. Emma usiadła na łóżku i patrzyła jak zahipnotyzowana. W następnej kolejności zobaczyła zmęczoną, pociemniałą twarz Mike’a.

– Czy zabił pan Karę?

W oczach Mike’a błysnęła złość.

– Czy jakikolwiek normalny człowiek wysadziłby w powietrze dom, w którym akurat się znajduje?

– Którą z sióstr pan kochał?

– Żadnej.

Prawnik Mike’a odebrał mu mikrofon i sam odpowiadał na kolejne pytania. Emma wyłączyła telewizor.

Myśl o tym, że będzie musiała stanąć twarzą w twarz z fanami Kary, matką, Mikiem – szczególnie z nim – wprowadziła ją w panikę. Ale nie miała wyboru.

Tego ranka wszystkie dzieci po kolei dotykały jej nowej fryzury, która po umyciu i uczesaniu

wyglądała już trochę lepiej. Potem Emma uścisnęła je wszystkie na pożegnanie. Manuel podszedł do niej jako ostatni. Zarzucił jej ręce na szyję i wtulił głowę w ramię. Na widok jego ufego uśmiechu Emma poczuła, jak łyzy napływają jej do oczu. Wiedziała, że nie zasługuje na miłość tego dziecka.

– Ten kraj – szepnęła, patrząc na Katherine przez łyzy – ten kraj i ten chłopiec ocaliły mi życie.

– Ty też uratowałaś tu niejedno życie – pokiwała głową lekarka.

– Emmo – powiedział Manuel cicho. – Kiedy zegnamy się z kimś, kogo kochamy, to po hiszpańsku mówimy: *hasta luego*.

Do zobaczenia.

Emma pomyślała o Lilly.

– Nigdy cię nie opuszczę, Manuelu. Spotkamy się znowu, obiecuję.

Rozległ się dzwonek faksu i urządzenie wypluło pojedynczą kartkę papieru. Emma wzięła ją do ręki i zaczęła drzeć na całym ciele.

– Co się stało? – spytał Manuel.

– Kocham was wszystkich – powiedziała do dzieci przez łyzy. Rzuciła okiem na faks i szybko zmięła papier. – Uważajcie na siebie, dopóki nie wrócę.

„Ty będziesz następna”. Przeczytana wiado-

mość była jak mocny cios. Szantażysta wiedział... Wielokrotnie ostrzegał, że wyjawি wszystko publicznie, jeśli Emma ośmieli się wrócić do domu. Kara nie żyje. Mike tam był.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Gdy Slim skręcił w stronę lotniska, żołądek Mike'a zacisnął się mocniej. Jeśli Emma wydo-
stała się z domu, to gdzie teraz była?

Za zakrętem natrafili na korek. Droga była
zablokowana przez wozy transmisyjne, kamerzy-
stów i tłum reporterów. Mike szybko nałożył na
nos ciemne okulary.

– Jakimi liniami lecicie? – zapytał Slim z oży-
wieniem.

Mike zgarbił się w fotelu, próbując ukryć
twarz.

– Niech ich cholera. Może jeszcze rozbiją tu
namioty?

– Cha, cha – odrzekł Slim dobrodusznie.

Lilly, siedząca z tyłu, podała mu nazwę linii
lotniczych. Slim zahamował i tłum reporterów

natychmiast rzucił się w ich stronę, niemal oślepiając ich fleszami.

– Witam państwa – rzucił do nich rozpromieniony adwokat przez otwarte okno, ale uśmiech szybko zniknął z jego twarzy, gdy reporterzy jak jeden mąż podbiegli do drugiej strony samochodu, gdzie siedział Mike.

– Dawaj do przodu – rzucił Mike niecierpliwie. – Muszę się stąd wydostać razem z Lilly, a potem rób, co tylko zechcesz.

Slim przełączył dźwignię na jałowy bieg, przycisnął pedał gazu i reporterzy rozpięchli się na boki jak stado wróbli. Mike i Lilly wyskoczyli z auta i zaczęli się przedzierać przez tłum fanów w stronę terminalu. Ktoś podstawił Mike'owi mikrofon pod nos i tuż za jego uchem rozległ się zdyszany głos:

– Panie Greywolf, czy prokurator okręgowy ma rację? Czy włamał się pan do domu Kary Shayne? Czy testy DNA wykażą, że pańska krew znajdowała się na odłamkach szkła wewnątrz domu?

– Zostawcie go w spokoju! – wykrzyknęła Lilly przez łzy.

Mike pociągnął ją za rękę.

– Chodź!

Przy bramce na lotnisku stała długa kolejka, ale na szczęście zaraz otworzono drugie stanowisko. Mike wrzucił drobne z kieszeni do

plastikowego kubka i przeszedł bez żadnych problemów. Stojący obok pracownik lotniska zatrzymał dziennikarza, który próbował zrobić to samo.

- Poproszę pański bilet.
- Jestem z „Examinera”...
- Przykro mi.

Wreszcie byli bezpieczni.

– Mike! Lilly! – zawołał znajomy głos. A niech to. W ich stronę biegła Sara. Lilly podeszła do niej, by się przywitać, i znów błysnęły flesze. Sara wyszczerzyła zęby w promiennym uśmiechu.

- Lecicie o szóstej? Jaki ten świat jest mały!
- Za mały – ugodził się Mike ponuro.
- Czy Sara może z nami usiąść? – poprosiła Lilly.

Lilly.

- Lilly, Sara pracuje w gazecie...
- Mogę rozmawiać, z kim chcę!
- Saro, bardzo cię proszę, daj jej spokój...
- Gdybyś zgodził się ze mną porozmawiać, w gazecie ukazałaby się twoja wersja zdarzeń. Jako twoja była żona...
- Nic z tego – przerwał jej Mike.

Miał nadzieję, że podczas lotu uda mu się trochę uspokoić, a tymczasem musiał siedzieć obok Sary, w dodatku wszyscy pasażerowie gapi-li się na niego i szeptali coś między sobą. Jakiś

chłopak z aparatem ortodontycznym na zębach podsunął mu notes, prosząc o autograf. Mike potrząsnął głową.

– Morderca! – usłyszał w odpowiedzi.

Mocno pochwycił chłopaka za rękę.

– Coś ty powiedział?

– Proszę mnie puścić!

Pasażerowie patrzyli na tę scenę z przestraszeniem. Łysy mężczyzna siedzący z przodu wewał stewardesę.

Mike puścił chłopaka, zamówił drinka i ponuro wpatrzył się w oparcie siedzenia przed sobą, starając się nie zwracać uwagi na irytującą paplaninę Sary. Po chwili Lilly zapytała, czy mogłaby zostać na kilka dni u swojej byłej macochy.

Znowu zaczynał się koszmar. Przyjaciele zwracali się przeciwko niemu, opuściły go nawet własna córka i Emma.

Emma. Gdzie ona była?

Musiał ją znaleźć.

– Nie zamierzam oddać ci mojej firmy bez walki – wybuchnął Benedek.

I tak to zrobisz, pomyślał Stuart, a głośno powiedział:

– Widzę, że będziemy potrzebowali jeszcze jednego spotkania.

– Spotkamy się w sądzie – warknął Benedek i rzucił słuchawkę.

Stuart energicznie nacisnął przycisk wzywający sekretarkę.

– Czy jest już ten facecik, który ma pisać o mojej nowej książce?

– Dzwonił, że się spóźni.

Spojrzał na zegar. Było już piętnaście po dziesiątej. Gówniarz miał tu być punktualnie o dziesiątej.

Stuart nie był byle kim. Był Stuartem Shayne, szefem SKT, największym geniuszem komputerowym tego pieprzonego świata.

– Jest tu pańska matka i jeszcze kilka innych osób – poinformowała go sekretarka.

– Moja matka? – zdumiał się. Może usłyszała, że właśnie wyszła jego książka? Albo może chciała zobaczyć biuro. Przez te wszystkie lata nigdy go tu nie odwiedziła, choć wielokrotnie ją zapraszał. Ale dla Emmy na pewno znalazłaby czas. Tylko Emma się dla niej liczyła.

– Powiedz jej, że mam ważne spotkanie.

W słuchawce rozległ się głos Frances.

– To pilna sprawa.

Ja też mam mnóstwo pilnych spraw, pomyślał ze złością. Przycisnął guzik na biurku i zasłony na szklanej ścianie oddzielającej jego gabinet od reszty biura rozsunęły się z cichym świstem. Widział teraz przed sobą setkę swoich najlepszych ludzi. Wszyscy byli młodzi i rzutcy, wszyscy tkwili przy telefonach i komputerach. Firma

kwitła, a jego osobisty majątek był naprawdę imponujący. Stuart miał wszystko.

Niestety, miał również kilka problemów, z którymi musiał się uporać.

Drzwi otworzyły się i Frances wpadła do gabinetu, ciągnąc za sobą Zet.

– Widziałaś moją książkę? – zapytał Stuart, zwracając się do matki. – Za chwilę mam wywiad dla...

– Tak, a o czym jest ta książka? – zapytała, grzebiąc w teczce pełnej jakichś papierów.

– O mnie.

– Aha – mruknęła, wyraźnie go nie słuchając. Stuart podał jej egzemplarz.

– Wpisałem tam dedykację dla ciebie.

Rzuciła okiem na okładkę i odłożyła książkę na biurko.

– Och, naprawdę? To miło z twojej strony, ale trochę mi się spieszy.

– Pan Gregory i jego fotograf już tu są – rozległo się przez interkom.

– Zet uważa, że w takiej chwili nie powinnam myśleć o pieniądzach – powiedziała Frances.

– Ale jeśli nie teraz, to kiedy? Po śmierci Kary zaczęłam patrzeć na pewne sprawy inaczej.

Stuart pochylił się nad biurkiem.

– Chcę zrobić coś dla moich dzieci.

Obdarzył ją swoim najpiękniejszym uśmiechem, ale ona tego nie zauważyła, zajęta

kartkowaniem papierów. W końcu podniosła głowę.

– Ty jesteś bardzo bogaty. Nie mogę ci dać niczego, czego byś i tak nie miał.

Oprócz twojej miłości, pomyślał.

– Zmieniłam testament. Postanowiłam zostawić wszystko Emmie. Ona jest tylko pisarką, a ponadto samotną kobietą, co bardzo utrudnia życie.

Uśmiechnął się grzecznie, choć ta jej arogancka obojętność omal nie doprowadziła go do wybuchu.

– Chciałam ci o tym powiedzieć, tak dla porządku.

– Oczywiście. Dziękuję, mamo.

– Nie masz nic przeciwko temu? Nie będziesz próbował obalać tego testamentu?

Stuart roześmiał się.

– Tak jak powiedziałaś, pieniędzy mam aż nadto. A Emmę kocham tak samo jak ty.

– I wyślesz po nią na lotnisko swojego najlepszego kierowcę?

– Oczywiście.

Frances zatrzasnęła aktówkę i wstała.

– W takim razie to już wszystko.

Gdy wyszła, Stuart podniósł z biurka książkę z dedykacją i wyrzucił ją do kosza.

Samolot przyleciał trochę przed czasem i Em-

ma dość długo czekała na kierowcę Stuarta. W samolocie nie potrafiła się przemóc, by wziąć cokolwiek do ust, i teraz była bardzo głodna.

Międzynarodowe lotnisko w Albuquerque, o ścianach pomalowanych na beżowo i różowo, było bardzo ładne. Wielkie okna wpuszczały do środka mnóstwo światła. Emma jednak skryła się w podziemiach, na najniższym poziomie, zasłaniając twarz kapturem zielonej bluzy.

Jeden po drugim samochody odjeżdżały sprzed lotniska i wkrótce podjazd opustoszał. Samochodu Stuarta nadal nie było widać. Emma ze zniecierpliwieniem zerknęła na zegarek. Przy tym ruchu kaptur osunął się jej na plecy i już po chwili usłyszała czyjś głos:

– To ona! Rany boskie, to naprawdę ona!

Ludzie wokół niej zaczęli się zatrzymywać.

– Ma krótkie włosy, ale to Kara! Ta aktorka, która się spaliła!

Emma w panice naciągnęła kaptur na głowę, ale było już za późno. Tłum ludzi przygniatał ją do ściany. Czyjaś ręka znów zdarła jej kaptur z głowy.

– Dziewczyno, przecież ty nie żyjesz!

Ze wszystkich stron wyciągały się do niej drapieżne dłonie trzymające długopisy, serwetki i bilety lotnicze. Ktoś zerwał jej z przegubu bransoletkę, prezent od Katherine. Cofnęła się i potknęła o własną walizkę.

– Proszę... – wyjąkała bezradnie. – Bierzecie mnie za kogoś innego!

– To nie ona! – zawołała jakaś pulchna dziewczyna z niemowlęciem przyciśniętym do piersi. – To ta druga bliźniaczka, ta zła! Pisarka. Sypiała z kochankiem Kary, z tym indiańskim rzeźbiarzem! Nienawidziła Kary!

Tłum zamruczał groźnie. Dziecko, zaalarmowane złością w głosie matki, zwinęło małe dłonie w piastki i zaczęło wierzgać nogami. Napór tłumu przewrócił jego matkę na ziemię.

– Dziecko! – wykrzyknęła Emma. – Ostrożnie! Podnieście ją!

Niemowlę rozplakało się głośno. Ktoś znów popchnął jego matkę. Dziewczyna zachwiała się i zawiniątko w różowym kocyku wyleciało jej z rąk. Na szczęście Emma zdążyła pochwycić je w porę. Poczowała zapach talku i mleka, zapach niemowlęcia. Przypomniała sobie, że Lilly miała kiedyś podobny kocyk.

Rozglądała się gorączkowo dokoła, szukając twarzy matki małego. Twarze zacierały się jej w oczach, zlewały w jedną plamę, głosy brzmiały jak natrętny zgietk.

– Czy twój indiański kochanek zabił twoją siostrę?

– Właśnie, czy on ją zabił?

– Dlaczego nie zapytacie o to mnie? – ode-

zwał się naraz jakiś głęboki męski głos, w którym pobrzmiwała nuta pogardy.

Emma gwałtownie obróciła się na pięcie.

– Mike!

Zobaczył różowy tobołek w jej rękach i zrozumiał, co się dzieje.

– Cofnijcie się! – wykrzyknął, klękając nad leżącą na ziemi matką. Pomógł jej wstać i doprowadził do Emmy.

– Morderca! – zawołał jakiś głos. Po zmęczonej twarzy Mike'a przemknął cień. Bez słowa wyjął dziecko z ramion Emmy i oddał matce, która skinęła głową i oddaliła się szybko. Potem ujął Emmę dłonią pod brodę i popatrzył jej głęboko w oczy.

Już dwa razy zakochiwała się w nim i dwa razy go traciła. Trzeci raz nie popełni tego błędu. Ale... on wychowywał jej dziecko.

Mike opuścił rękę. Wszyscy ucichli. Emma przestała widzieć otaczający ich tłum, przestała słyszeć głosy. Czowała się jak we śnie. Widziała tylko Mike'a.

On jedyny potrafił zajrzeć wprost w głąb jej duszy, zrozumieć ją jak nikt inny. I właśnie ta cecha, która zawsze pociągała ją w nim najbardziej, w tej chwili wydała jej się wprost przerażająca. Co by zrobił, gdyby poznał prawdę – całą prawdę?

Gdy tłum znowu ich otoczył, Mike wydał

z siebie kowbojski okrzyk i zdecydowanie wkroczył między gapiów. Rozsunęli się posłusznie. Ujął Emmę za łokieć i poprowadził w stronę spokojnego kąta.

– Powiesz mi wreszcie, co tu się właściwie dzieje?

To była ostatnia rzecz, jaką powinna była zrobić. A jednak w głębi duszy miała do niego pełne zaufanie. Nerwowo oblizwała usta.

– Mike, ludzie na nas patrzą.

– No to trzeba coś z tym zrobić – mruknął, rozglądając się dokoła. Emma podążyła za jego spojrzeniem i znieruchomiała.

– Damska toaleta – szepnęła. – Nie!

– Ja nie być dziki. Ja umieć czytać – mruknął z lekką ironią, ciągnąc ją w tamtą stronę.

– Przecież nie możesz tam wejść!

– A kto tak powiedział?

– Ten znak! Chyba że przeszedłeś operację zmiany płci...

Rzucił jej spojrzenie z ukosa.

– Tak między nami mówiąc, to nie.

Śmiało otworzył drzwi, popchnął Emmę do środka i powiedział donośnie:

– Mężczyzna w damskiej toalecie!

W kabinach rozległy się piski i odgłosy spuszczonej wody. Jedna po drugiej spłoszone kobiety uciekały z toalety, stukając obcasami. Któraś wyciągnęła komórkę.

– Dzwonię po ochronę – oświadczyła.

Mike wyrwał jej telefon i wrzucił do kosza na śmieci.

– Wychodź stąd!

Zamknął drzwi od środka na zasuwę, popatrzył na Emmę i powiedział przeciągle:

– No, to wreszcie jesteśmy sami. Którą z was dzisiaj odgrywasz?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– Emmo, co tu się do cholery dzieje?

Patrzyła na niego bez słowa.

– Ostatnim razem, kiedy cię widziałem, miałaś długie włosy. Czołgałaś się do mnie i znowu udawałaś swoją siostrę. A potem nastąpił wybuch. Gdy odzyskałem przytomność, byłem przekonany, że nie żyjesz. Tamtej nocy w Santa Fe to ty byłaś w hotelu w pokoju Kary, prawda?

Gwałtownie złapała oddech.

– Emma, dlaczego to robiłaś? Na litość boską, dlaczego?

W jego głosie było więcej smutku niż złości i Emma poczuła napływające do oczu łzy.

– Ja nie... nie wiem, o czym mówisz...

– Z domu Kary wyniesiono dwa ciała. Myślałem... Do diabła, jak się stamtąd wydostałaś?

Czy wiesz, jak się czułem, gdy myślałem, że nie żyjesz?

Próbowała odsunąć się od niego, ale mocno pochwycił jej przegub.

– Najpierw udawałaś Karę. Potem byłaś sobą.

Przyciągnął ją bliżej i odgarnął pasmo włosów z jej czoła.

– Byłaś dobra w obydwu rolach. Ale zdecydowanie wolę, kiedy jesteś sobą. Może mi wyjaśnisz, dlaczego od siedmiu lat nikt nie widział was obydwu razem?

Wstrzymała oddech.

– Powiedz mi, co się dzieje – prosił Mike.

– Chcę ci pomóc!

Sekundy mijaly jedna za drugą. Emma była przerażona. Mike przeszywał ją wzrokiem.

– Emmo, dwoje ludzi nie żyje. Ja mam na karku policję. Cały świat jest przekonany, że zabiłem twoją siostrę.

– Nie mogę ci pomóc.

Mike głośno wciągnął powietrze.

– Jesteś tego pewna? – zapytał, pochylając się nad nią. – Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Dlaczego już od lat nikt nie widział ciebie i Kary razem?

Serce waliło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

– Jak to się stało?

Telefon komórkowy w koszu zaczął dzwonić.

– Byłaś tam... w jej domu – szepnął Mike.
– Czy to ty ją zabiłaś? A jeśli tak, to kiedy? Gdzie? Do diabła, Emmo! Dlaczego?

Łzy paliły jej powieki, ale uparcie potrząsała głową.

– Od jak dawna odgrywałaś rolę gwiazdy filmowej? A może tylko tamtej nocy? Emmo, od jak dawna? – Dotknął palcem skaleczenia na jej wardze. – Skąd to się wzięło?

Czoło miała mokre od zimnego potu. Drżącymi palcami próbowała otworzyć zasuwę w drzwiach.

– A co będzie z Lilly? – nie ustępował Mike.
– Ona potrzebuje matki!

– To twoja córka.

– Nigdy się jej nie wypierałem. A ty? Przecież jest również twoją córką. Jesteś jej matką! Więc dlaczego na jej akcie urodzenia znalazło się nazwisko Kary?

Emma drżała na całym ciele.

– Tamtej nocy próbowałaś mi to powiedzieć... Wtedy, w Santa Fe, po premierze. Ale byłem zbyt wściekły na nas oboje, by słuchać. Myślałem, że rozmawiam z Karą i że to z nią się przespałem. Czułem się jak zwierzę. Nie byłem w stanie cię słuchać. Bałem się tego, co mógłbym usłyszeć. Emmo, prowadzisz bardzo niebezpieczną grę. Zginęły dwie osoby...

– Nie...

– Jesteś mi winna prawdę!

Musiła jakoś stąd się wydostać. Musiała uciec. Nie miała pojęcia, co mu powiedzieć. W głowie czuła zamęt. Raniła innych, ale jednego była pewna – prawda byłaby gorsza pod najgorszych kłamstw. Bardzo żałowała tego, co zrobiła, ale żadne słowa nie mogły wymazać przeszłości.

– Emmo, prawda jest twoją jedyną szansą. Nie obchodzi mnie, czy zrobiłaś coś złego...

Przełknęła ślinę, powstrzymując łzy.

– A jeśli prawda... jest gorsza od wszystkiego, co możesz sobie wyobrazić?

– Emmo, zaufaj mi. Cokolwiek to jest, możesz mi powiedzieć.

Zapanowała cisza, tak przejmująca, że aż przerażająca. Twarz Emmy wypogodziła się na chwilę. Prawie gotowa była mu uwierzyć. Bezradnie zaczęła płakać.

– Nie rób tego – jęknął Mike. – Powiedz, dlaczego przysłaś na moją wystawę? Dlaczego mnie sprowokowałaś, żebym za tobą poszedł?

Otarła łzy.

– Twoje oczy nie kłamią – rzekł. – Gdy patrzę na ciebie, czuję ból... bo to jest również i mój ból. Wiem, kto jest przy mnie. Wiem, że gdy płonął dom Kary, byłem z tobą. To ty mnie całowałaś. Pamiętam, jak patrzyłaś na Lilly wtedy w Santa Fe... Chciałaś mi wszystko powiedzieć.

To była prawda.

Przeszył ją porażający lęk. Zobaczyła przed sobą drobne dłonie, gorączkowo wpychające kawałki porcelany pod stertę suchych liści w ogrodzie. Stopy wspinające się po drzewie. W górę. W górę, w bezpieczne schronienie zielonych liści. Mała dłoń unosiła pokrywę cedrowej skrzyni i pomogła jej wejść do środka. Kara i Mike spleceni uściskiem w blasku księżyca. Wspomnienia, które wyparła...

Och, Boże. Czy przypomni sobie również to, co zrobiła z Karą?

– Czy udawałaś Karę dlatego, że chciałaś mnie wciągnąć w pułapkę? Chciałaś, żeby mnie oskarżono o morderstwo?

– Och... Nie! Nigdy nie chciałabym cię skrzywdzić!

– W takim razie zaufaj mi. Gdzie byłaś, gdy Kara zginęła?

Emma patrzyła na niego z oszołomieniem. Widziała siebie, zupełnie przemoczoną, nad ciemnym otworem pieczary na płaskowyżu.

Nie wiedziała. Nie miała najmniejszego pojęcia, co się stało.

Musiała uwolnić się od Mike'a, zanim opowie mu całą potworną historię. Jak by zareagował, gdyby mu powiedziała, że tej nocy, gdy kochali się w pokoju hotelowym Kary, gdy udawała Karę, jego słowa uświadomiły jej bezmiar kłamstw siostry? Kara naopowiadała jej kłamstw o nocy

w stodole. O Lilly. I Emma była wściekła, że te kłamstwa odebrały jej Mike'a i córkę.

Po raz pierwszy w życiu była naprawdę wściekła. Pojechała na ranczo, żeby do końca rozprawić się z Kara, ale tam dopadł ją kolejny zanik pamięci. W kilka godzin później ocknęła się na skraju płaskowyżu. Wściekłość bez granic była jedyną rzeczą, jaką zapamiętała z tamtego dnia. Zaniki pamięci zawsze oznaczały, że zrobiła coś okropnego.

Nie mogła wrócić do Mike'a po tym, jak go oszukała w hotelu. Jak miałyby mu to wyjaśnić? „Zrobiłam to, bo musiałam się przekonać, które z was mnie okłamuje”.

Poznała prawdę, ale było już za późno. Dlatego uciekła. Dopiero po kilku tygodniach dowiedziała się, że Kara zniknęła tej samej nocy i że Mike został oskarżony o podwójne morderstwo. Wróciła więc i udawała, że jest Kara, a potem musiała wrócić po raz drugi, jako Emma.

Udawała, że się pokłócili, ale przez cały czas miała nadzieję, że jej obawy okażą się bezpodstawne, Kara w końcu wróci i ten koszmar się skończy.

Przeczesała całą pustynię wokół domu, ale nie znalazła żadnych śladów. W końcu zdesperowana pojechała do posiadłości Kary i wcieliła się w rolę siostry. Czasami gdy patrzyła w lustro, miała wrażenie, że to Kara oddaje jej spojrzenie.

Zrobiła to, by chronić Mike'a, nie po to, by go skrzywdzić.

– Emmo, gdzie byłaś tej nocy, gdy spłonął dom Kary?

– W Meksyku – wyszeptała bezbarwnie.
– W Puerto Vallarta.

– Udowodnij to. Czy ktoś był z tobą?

– Tak – skłamała. – Mężczyzna.

– Przez całą noc?

Skinęła głową.

– Opisz go. Jak wyglądał?

– Mike...

– Jak miał na imię?

– Javier.

– Jak wyglądał?

– Wysoki. Ciemny.

– Podobny do mnie?

– N-nie... Wcale nie jest do ciebie podobny.

– Więc nadal podobają ci się mężczyźni tacy jak ja?

– Nie!

– Byłoby to zupełnie zrozumiałe. Ja już pogodziłem się z tym, że mam słabość do rudowłosych kobiet o okropnym charakterze. Ciężko się pozbyć złych nawyków.

Emma zobaczyła oczami wyobraźni Karę, a potem Sarę, żonę Mike'a. Obydwie były rude. Na myśl o innej kobiecie u boku Mike'a robiło jej się niedobrze.

Naraz poczuła, że tego wszystkiego było już za wiele. Przerazający zanik pamięci, trzy dni wyjęte z życiorysu. Dziwaczne sny. Fałszywa śmierć Kary. Powrót do domu. Mike.

Próbowała go odepchnąć, ale równie dobrze mogłaby próbować przesunąć betonowy mur.

- Jeśli mnie nie wypuścisz, zacznę krzyczeć...
- Proszę bardzo.

Ale gdy otworzyła usta, on natychmiast zakrył je swoją wielką dłonią, a drugą ręką mocno pochwycił ją w pól. Próbowała walczyć, gryźć jego palce, kopać, ale on unieruchomił ją i zamknął jej usta mocnym pocałunkiem. W tej samej chwili drzwi toalety otworzyły się z hukiem i stanął w nich uzbrojony ochroniarz w towarzystwie kobiety, która wykrzyknęła:

- To on! To ten mężczyzna!

Znów błyski fleszy. Znów szum kamer.

Mike natychmiast puścił Emmę, ale zdążył jeszcze szepnąć jej do ucha:

- Dziennikarze. Tym razem wygrałaś.

Była tak zdenerwowana, że nie mogła złapać tchu. W uszach jej brzęczało, przed oczami migotały dziwne iskierki. Zakręciło jej się w głowie i zemdląta.

Spokojnie. Tylko spokojnie. Odwróć się, rozejrzyj. Uśmiechaj się. Nie ma powodów do paniki. Tylko gdzie ona jest?

Wysoki, ubrany na czarno mężczyzna przepychał się między turystami. Dziewięćmilimetrowy glock ciążył mu przy pasku.

Miała cholerne szczęście, że to nie ją wyniesiono z domu w tym worku. I jak to się stało, że jej samolot przyleciał wcześniej? Nie przeszła przez kontrolę bagażu. Na dole też jej nie znalazł.

Lotnisko było pełne ludzi: turystów złaknionych atrakcji wielkiego miasta, nastolatków z koleczkami w nosach i ze sprzętem do wspinaczki na plecach, brzuchatych mężczyzn w dżinsach i słomkowych sombreroach. Gdzieś w oddali mignęła mu ruda głowa i pospieszył w tamtym kierunku, ale spotkał go zawód. Dziewczyna była za młoda i za gruba.

Spokojnie, powtarzał sobie, wyrównując oddech i starając się wtopić w tłum.

Naraz o kilka metrów dalej zauważył zamieszanie, kamery i tłum gapiów. Podeszedł bliżej. No tak, Emma była w pomieszczeniu dla VIP-ów, razem z tym indiańskim sukinsynem.

Ogarnęło go podniecenie myśliwego, który wreszcie dopadł swojej ofiary. Ukradkiem pogładził wypukłość na kurtce, pod którą ukrywał się pistolet, i uśmiechnął się szeroko.

Uśmiech miał piękny, ale zarazem... przerażający.

Salę dla VIP-ów pomalowano na beżowo.

W tym samym kolorze były stoliki, krzesła i kanapy. Emma leżała na jednej z nich, a Mike siedział obok, trzymając ją za rękę. Uświadomiła sobie, że są sami, ale czuła się zbyt zmęczona, by się na niego złościć.

Pochylił się nad nią, kazał jej otworzyć oczy i wypić szklanekę czegoś, co wyglądało na zimną wodę. Westchnęła i wtuliła twarz w jego dłoń.

– Lepiej się już czujesz? Nic ci nie jest?

Leżała nieruchomo, nie odzywając się.

– Przepraszam, że zachowałem się tak brutalnie. – Delikatnie przyciągnął ją bliżej do siebie. – Proszę, ocknij się! – powtarzał, gładząc ją po włosach.

Nie odzywała się, ciesząc się jedną z nielicznych chwil, gdy okazywał jej czułość. Powoli jednak przypomniała sobie, gdzie jest i jak się tu znalazła. Otworzyła oczy.

– Jak się pozbyłeś tego policjanta?

– Zemlądaś. Powiedziałem mu, że jesteś zrozpaczona po śmierci siostry i już wcześniej źle się czułaś, dlatego poszedłem z tobą do toalety.

– A on w to uwierzył...

Z uśmiechem podał jej szklanekę. Bezmyślnie przyłożyła ją do ust, jednym haustem połknęła zawartość i zakrztusiła się. To był dzin, z nieznaną domieszką wody! Rozkaszała się. Mike z rozmachem poklepał ją po plecach.

– Przestań – wykrztusiła. Palilo ją w gardle

i w nosie. – Chyba chciałeś mnie zabić. Przecież wiesz, że nie piję!

– Pozostawałaś z daleka od mojego do-
broczynnego wpływu przez długich siedem
lat. Przez ten czas mogłaś nabrać złych na-
wyków.

– Ale nie dżin.

– Javier...?

– Kto to...?

– Wiedziałem – uśmiechnął się kpiąco i uniósł
szkłankę w geście toastu.

Emma zsunęła nogi z kanapy.

– Muszę już iść.

– Nie tak szybko! – zaprotestował.

– Jestem zmęczona twoim towarzystwem.

– Przyzwyczaisz się.

– Wypuść mnie.

– Żebyś znowu zasłabła?

– Nie jestem słabą kobietą, którą co chwilę
trzeba ratować!

– Byłaś w domu zniszczonym przez wybuch.
I śmiertelnie boisz się kogoś lub czegoś.

– Jestem tylko... zmęczona... i głodna.

– Zawiozę cię, gdzie zechcesz. I nakarmię.
Mamy sobie dużo do powiedzenia.

Myśl o tym, że ma nadal pozostawać w jego
towarzystwie, zirytowała ją.

– Nie – oświadczyła, ale gdy spróbowała
stać na nogi, znów zakręciło jej się w głowie.

Mike podtrzymał ją szybko. Oparła się na nim i w następnej chwili już byli mocno przytuleni.

Jego serce biło jeszcze szybciej niż jej. Jego oddech parzył jej policzek.

– Co to za okropna rzecz, o której nie chcesz mi powiedzieć? – zapytał cicho.

Przez chwilę napawała się myślą, że może mu wyznać wszystko. Wszystko, co wiedziała i czego się lękała. Ale to trwało tylko chwilę.

– Mam do ciebie słabość... ale to tylko słabość, z którą będę walczyć do końca życia – powiedziała, zmuszając się, by spojrzeć mu w oczy.

Rysy Mike'a stwardniały. Powoli opuścił ręce.

– Niech cię diabli, Emmo. Dobrze, będzie tak, jak sobie życzysz. Sama do mnie przysłałaś w domu Kary, a teraz jesteś zimna jak lód.

Odwrócił się i szybko wyszedł, trzaskając drzwiami. Emma została sama. Jej ciało wydawało się ciężkie jak z kamienia, a jednocześnie zupełnie jakby była zawieszona w próżni. Co za dziwne uczucie.

Powlokła się do drzwi, ale gdy je otworzyła, rozpętało się piekło. Oszalały tłum przygwoździł Mike'a do ściany. Nie wiadomo skąd pojawiła się Sara. Mike wyrwał się do przodu i złapał ją wpół.

– Sara, zostaw ją w spokoju!

Sara próbowała uwolnić się z jego uścisku.

– Które z was zabiło Karę?

– On! – zawołała Emma. – Był tam!

Jego usta pobieleły, a twarz stała się zupełnie nieruchoma, tylko w oczach błyszczała zimna nienawiść.

– Ty też tam byłeś – wybuchnął.

Tłum zaryczał i odepchnął Sarę na bok. Kamera roztrzaskała się o ziemię. Mike upadł. Jednak Sara nie ustępowała:

– Dlaczego od siedmiu lat nigdy nie widziano ciebie i Kary razem?

Emma desperacko wyrwała się z tłumu i pobięła przed siebie.

Mężczyzna z dziewięciomilimetrowym głockiem podążył za nią.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Chciała uciec od wszystkiego, od Mike'a, od przeszłości, od matki, od Kary. A przede wszystkim chciała uciec od siebie. Ale wiedziała, że w końcu musi się zatrzymać.

Po jednej stronie autostrady słońce zachodziło na pomarańczowym niebie, po drugiej zbierały się fioletowe chmury, a przed nią horyzont rozjarzył się pojedynczą błyskawicą.

Pustynia była surowa i milcząca. Emma drgnęła, gdy spojrzała na prędkościomierz; wskazówka pokazywała sto czterdzieści kilometrów. Zdjęła nogę z gazu, ale nie była w stanie opanować drżenia dłoni na kierownicy.

Czy Mike pojechał za nią? Dlaczego go właściwie oskarżyła?

Opuściła szybę w oknie i chłodny wiatr wzbu-

rzył jej krótkie włosy. Nie chciała teraz myśleć o Mike'u, skupiła się więc na domu i matce – domu, z którego wyjechała wiele lat temu. Miała wtedy siedemnaście lat i właśnie wypuszczono ją ze szpitala po wypadku w stajni. Chciała, by Mike odwiedził ją w szpitalu, ale gdy prosiła o to matkę, ta za każdym razem wpadała w złość.

– Mamo, muszę się z nim zobaczyć – tłumaczyła Emma. – Nie rozumiesz? Muszę się dowiedzieć, dlaczego to zrobił. Chcę, żeby mi to wyjaśnił.

– Czasami fakty mówią same za siebie. Wszyscy troje powinniście spalić się ze wstydu.

Gdy Frances wychodziła, straż przy łóżku obejmował Stuart. Emma czuła coraz większą złość do rodziny. Traktowali ją jak przestępczynię tylko dlatego, że kochała Mike'a. Może gdyby nie stawiali takich przeszkód, Mike zapomniałby o Karze.

Wróciła do domu, ale nie zaznała tu spokoju. Nieustannie prześladowały ją surowe spojrzenia matki. I ciągle natykała się na Mike'a: na pastwiskach, na długiej werandzie ciotki Zet, na pustyni. Wystarczyło, by poczuła zapach bzu, a jej myśli już biegły do niego. Ale wspomnienia, które kiedyś były źródłem szczęścia, teraz przynosiły wyłącznie ból. Dom matki wydawał jej się pusty i martwy, tak samo jak pustynia.

Kara uciekła od tej pustki do Hollywood. Po jej wyjeździe Stuart chodził dziwnie ponury. Do Emmy powoli docierało, że jeśli nie odizoluje się od rodziny, to poczucie winy wpędzi ją w obłąd. Gdy powiedziała matce o swoich planach, Frances potraktowała to jak akt zdrady.

– Dokąd chcesz wyjechać?

– To nie ma najmniejszego znaczenia. Gdziekolwiek.

Szczerliwym trafem okazało się, że Katherine, córka przyjaciółki ciotki Zet, właśnie skończyła studia medyczne i rozpoczęła pracę w Meksyku, w klinice dla ubogich. Katherine była miła i wyrozumiała, toteż Zet wreszcie przekonała Frances do zmiany nastawienia.

W dniu wyjazdu Emmy Frances źle się czuła i nie odwiozła córki na lotnisko, pożegnała się z nią na progu domu. Na jej pobladłej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

– Emmo, źle wyglądasz. Za bardzo zeszczipałaś.

– Ty też.

– Uważaj na siebie.

– Ty też.

– Kiedy przyjedziesz?

– Nie wiem, mamo. Do widzenia.

– Nigdy nie wrócisz – szepnęła Frances, ścisnąc ją mocno.

Za jednym zamachem straciła wtedy Mike'a,

matkę, dom i... Karę. Zapatrzyła się na pustynię. Gdzie jest Kara? Gdzie była przez te wszystkie lata? Pomyślała o faksach, o groźbach szantażysty, o jego żądaniach. Co on właściwie wiedział? Kim był? Kogo mógł wziąć na cel w następnej kolejności, żeby ją ukarać?

Bardzo się bała, i to nie tylko o siebie. Nie mogła wystawiać Lilly na ryzyko, nie mogła zwrócić się po pomoc do Mike'a.

Na niebie pozostało jeszcze kilka różowych pasm. Ciemniejący krajobraz był dziwnie mroczny i piękny, ale napełniał serce Emmy niedobrymi przeczuciami. Miała wiele powodów, żeby uciekać przed Mikiem, by ranić innych... nawet Lilly. By płacić szantażyście.

Gdyby tak mogła zacząć wszystko, całe swe życie od początku...

Wjechała na szczyt wzgórza, u stóp którego rozciągało się Santa Fe. Światła miasta migotały jak klejnoty na tle gór Sangre de Cristo. Mogła stąd dostrzec firmę Stuarta, rozległy kompleks niskich zabudowań. Wiedziała, że w drodze na szczyt jej brat narobił sobie wielu wrogów, ale była dumna z jego osiągnięć.

Ciężkie, czarne chmury gromadziły się na północnej stronie nieba, zasłaniając gwiazdy. Pojawiło się kilka błyskawic i rozległ się grzmot. Zimny wiatr niósł zapach wilgoci.

Zanosiło się na burzę. Emma, wychowana na

pustyni, uwielbiała deszcz. Wystawiła dłoń przez otwarte okno. Nagle w jej wstecznym lusterku odbiły się oślepiające światła. Dopiero teraz zauważyła, że ktoś za nią jedzie.

Poprawiła lusterko i zdjęła nogę z hamulca. Samochód szybko nabierał przyspieszenia, zjeżdżając ze wzgórza. Pojedyncze krople deszczu szybko zmieniły się w mocną ulewę, utrudniając widoczność. Emma nie miała pojęcia, gdzie jest i czy przypadkiem nie przegapiła zjazdu do miasta. Opuściła szybę, by wyrzucić na zewnątrz, i ten, kto jechał z tyłu, znów ją oślepił.

Przyspieszyła. On też. A potem nagle uderzył w tył jej auta tak mocno, że obróciło ją na bok. I jeszcze raz, mocniej niż poprzednio. Auto Emmy znalazło się na lewym pasie, niemal ocierając się o jadącą z naprzeciwka ogromną ciężarówkę. Usłyszała trąbienie klaksonu i zgrzyt. Ciężarówka złamała jej boczne lusterko. Ogarnięta paniką wróciła na swój pas i skręciła w pierwszy zjazd, a potem przyspieszyła. Wynajęty samochód zakołysał się na koleinach kiepskiej drogi.

Prześladowca wciąż za nią podążał. Naraz przednie koło uderzyło w jakąś przeszkodę. Emma wyteżyła wzrok i ujrzała przed sobą coś żółtego. W świetle kolejnej błyskawicy dostrzegła rząd czerwonych pachółków ustawionych

pośrodku jezdni. No tak, roboty drogowe. Tylko tego brakowało.

Wielkie krople deszczu rozbijały się o szybę. Droga zwięzła się i obiegała łukiem wzgórze. Samochód podskakiwał na wybojach. Przednią szybę co chwila zalewały strugi rzadkiego błota.

Światła za nią były coraz bliżej i po chwili prześladowca znów uderzył w tył jej samochodu. Emma poczuła, jak samochód sunie po błocie w dół. Przed sobą widziała rwący strumień wody przelewający się przez barierki.

Sezonowa rzeka zalała niski most.

Gwałtownie nacisnęła na hamulec, ale auto nie zareagowało. Wjechała w sam środek strumienia na moście. Silnik zarzęził i umilkł. Niemal w tej samej chwili siła rwącego prądu poderwała auto do góry. Koła już nie dotykały asfaltu. Kolejna fala rzuciła ją na barierkę, raz, potem drugi.

Barierka pękła i oderwała się od mostu. Prawe koło pierwsze wysunęło się poza krawędź, a po chwili samochód runął do rzeki. Emma zaczęła krzyczeć, gdy woda wdarła się do środka, ale nagle nurt wyrzucił pojazd na skalistą wysepkę. Poduszki powietrzne eksplodowały. Emma poczuła przejmujący ból, który rozciągał się od czoła aż do karku. Woda sięgała jej do pasa.

Gorączkowo szarpała za kłamkę, próbując się wydostać, ale napór wody na drzwi był zbyt wielki. Zaczęła walić pięściami w szybę, ale po

chwili opadła bezsilnie na fotel. Woda sięgała jej już do piersi.

Resztkami świadomości zauważyła światła samochodu, który zatrzymał się nad rzeką. Drzwi otworzyły się i w kabinie na moment rozbłysło światło. W blasku kolejnej błyskawicy Emma zobaczyła wysoką, ciemną sylwetkę mężczyzny, który zbliżał się do niej z pistoletem w ręku. Szedł po stromym brzegu powoli, jakby nigdzie mu się nie spieszyło, a potem zsunął się do wody. Gardło Emmy zacisnęło się z przerażenia.

Kolejna błyskawica. Stojąc niemal po pas w wodzie, jej prześladowca podniósł rękę i wycełował.

W srebrnym blasku widziała jego twarz, przystojną, lecz skażoną okrucieństwem.

Huk rozbijanej szyby. A potem ciemność.

Ciemne chmury wisiały nad górami Sangre de Cristo, ale jeszcze ciemniejsze spowijały jego duszę.

To przez nią. Wszyscy uważali ją za anioła. Nikt nie wiedział... tylko on.

Krzyczała. Wydawało mu się, że nadal słyszy jej głos ponad dudnieniem strumienia.

Jeszcze mógł ją ocalić. Patrzyła na niego z błaganiem w oczach.

Chciałabyś, szyderczo uśmiechnął się w duchu. Nic z tego.

Chryste, ten hałas był nie do zniesienia. Zakrył rękami uszy. Błyskawice migotały jedna za drugą, w ich świetle widział, jak woda coraz wyżej zalewa jej samochód.

Chciał zobaczyć twarz Emmy pod wodą, chciał widzieć, jak uchodzące z ust bąbelki powietrza w końcu znikają. Tak jak kiedyś.

Ale zamiast tego ujrzał światła nadjeżdżającego samochodu.

Niech to diabli.

Lało okropnie.

Mike zbliżał się już do swojego zjazdu, gdy błyskawica oświetliła stojący na poboczu krzyż. Przy autostradach Nowego Meksyku stało takich mnóstwo. Ten aż ugiął się pod ciężarem plastikowych kwiatów.

Przez twarz Mike'a przemknął cień. Mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. W tym miejscu ktoś zginął, ktoś, kto był bardzo kochany. Mike był przesądny. Nie wiadomo dlaczego pomyślał o swoim dziadku. Ten krzyż wydał mu się jakimś ostrzeżeniem.

Emma. Gdzie ona była? Musiał ją znaleźć.

Krzyki. Idź tam, skąd dobiega krzyk.

Skąd ta dziwaczna myśl? Serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Miał nieodparte wrażenie, że słyszy głos dziadka.

Samochód zaczął podskakiwać na wybojach

i Mike, starając się odpędzić niepokój, skupił wzrok na pachółkach pośrodku jezdni. Był po prostu zdenerwowany, bo pozwolił, by Emma wymknęła mu się na lotnisku.

Mimo wszystko czuł obok siebie obecność duchów i wiedział, że musi ją znaleźć. Na próżno tłumaczył sobie, że Emma już dawno dotarła bezpiecznie do domu. Wewnętrzny głos nie chciał umilknąć. Idź tam, skąd dobiega krzyk.

Naraz oślepiły go jakieś światła. Zmrużył oczy i przysłonił je dłonią. Kto, do diabła, mógł nadjeżdżać z taką szybkością o tej porze od strony jego własnego rancza?

Ten idiota jechał prosto na niego. Droga wiła się i wspinała pod górę. Światła na chwilę zniknęły, ale zaraz znów się pojawiły, jeszcze bardziej oślepiające. Ten maniak jechał pasem Mike'a i wyraźnie przyspieszał.

Mike odbił w bok, na przeciwny pas. Ten dureń też skręcił. Mike poczuł ukłucie lęku i mocniej nacisnął pedał gazu. Na przednią szybę prysnęło błoto, wycieraczki tańczyły jak oszalałe.

Mike miał dziwne wrażenie, że jego rozpędzony samochód stoi w miejscu. Ten bandyta już prawie dotykał jego zderzaka.

Podobno przed śmiercią człowiekowi przelatuje przed oczami całe życie. Albo to nie jest prawda, albo Mike jeszcze nie zbliżał się do śmierci, bo widział tylko Emmę. Odbił w prawo,

stracił jednak kontrolę nad kierownicą i samochód stoczył się na skały na poboczu. Siła bezwładu rzuciła Mike'a do przodu. Rozległ się odgłos wybuchającej opony i tył auta poderwał się w górę. Samochód przekoziółkował i zatrzymał się w błotnistym rowie.

Gdy Mike oprzytomniał, okazało się, że auto z porozbijanymi szybami leży na dachu, on siedzi przypięty głową w dół i przysypany stertą map, książek, walizek i toreb z ubraniami. Z syczącej chłodnicy unosiła się para.

Przez rozbite okna do środka wlewał się deszcz, Mike jednak nie poruszał się, słuchając dudnienia wielkich kropel o blachę. Po chwili odzyskał oddech, odpiął pas i starł błoto z twarzy. Na szczęście Lilly spędzała tę noc u Sary.

Wyczołgał się spod walizek i spróbował wstać. Prawa kostka bardzo go bolała. Wyjął ze schowka beretę i wsunął za pasek spodni, a do kieszeni wrzucił garść nabojów.

Podciągnął się na rękach i wy dostał na zewnątrz. Syknął z bólu, gdy oparł ciężar ciała na bolącej kostce, ale nie miał wyboru, musiał się wziać w garść. Przynajmniej nadal żył. Wziął kilka głębokich oddechów i po chwili ból trochę zelżał, stał się bardziej tępy.

Musiał stąd zniknąć jak najszybciej. Nie miał pojęcia, czy ten maniak nie wróci lada chwila, by dokończyć dzieła.

Od mostu dzielił go kilometr. Wolał nie myśleć o tym, jak daleko jest stamtąd do domu. Wiedział, że jeśli nie przestanie padać, dotrze na ranczo dopiero nad ranem. Ale gdy tamten wróci...

A jeśli ten bandyta wracał z jego domu? Na tę myśl ogarnęła go panika. Zatrzymał się i wytarł twarz.

Cofnął się do wraku samochodu. Na szczęście komórka jeszcze działała. Mabel zdążyła zapewnić go, że wszystko na ranczu jest w porządku, po czym bateria wysiadła.

Do cholery, dlaczego nie przyszło mu do głowy, by poprosić Mabel o pomoc?

Idź tam, skąd dobiega krzyk. To znów był głos dziadka.

Kolejna błyskawica oświetliła drogę prowadzącą w stronę La Golindriny. Na końcu tej drogi Mike ujrzał postać otoczoną srebrzystym światłem. Miała rude włosy, przerażone, wielkie oczy i krzyczała.

Zapomniał o bolącej kostce i rzucił się biegiem w tamtą stronę.

Frances patrzyła przez okno na strugi deszczu. Wydawało jej się, że stoi tak już całą wieczność. Najpierw czekała na niego, a teraz na Emmę.

Przy każdym silniejszym podmuchu wiatru wpadała w nerwowe drżenie. Gdzie ona się podziewała? Kolacja czekała na piecyku już

ponad godzinę. Frances była zbyt zdenerwowana, by jeść, Czariny jednak nic nie mogło powstrzymać. Siedziała przy stole i właśnie wsuwała do ust ostatnią frytkę.

– Zjadłaś sama cały talerz frytek – skrzywiła się Frances.

– Ktoś przecież musiał je zjeść.

– A teraz jeszcze pochłaniasz orzeszki. I widzę, że wypijaś już pół butelki merlota!

– Gdybyś nie sterczała przez cały czas przy oknie jak obraz nędzy i rozpaczy, to może nie byłabym w takim podłym nastroju. Kiedy mam stres, zaczynam się opychać. A poza tym te frytki były pyszne.

– Samolot Emmy przyleciał już dawno temu. Dlaczego nie zadzwoniła?

Czarina dołała sobie merlota i wypła jednym haustem.

– Stuart też nie zadzwonił – mruknęła.

Frances włączyła telewizor i poderwała się z ożywieniem. Sara Greywolf wygłaszała właśnie komentarz, stojąc na tle lotniska. Za jej plecami widać było Mike'a i Emmę w otoczeniu tłumu.

– Ona jest z nim! – syknęła Frances.

Czarina spokojnie smarowała krakersa serem.

– W takim razie możemy się nareszcie odprężyć. Napij się.

– Czyś ty zwariowała? Dzwonię na policję!

Idź tam, skąd dobiegają krzyki.

Ale krzyk umilkł.

Z ronda kapelusza Mike'a spływały strugi deszczu. Oddychając ciężko, próbował dostrzec cokolwiek przed sobą. Czuł przeraźliwy lęk, tak samo jak dawno temu, gdy stał przed hoganem dziadków.

Niebo rozświetliła błyskawica i Mike dostrzegł, że w miejscu, gdzie powinien znajdować się most, teraz był rwący potok. O sto metrów dalej na dużej skale osiadł samochód zalany częściowo wodą. Za przednią szybą wyraźnie widoczna była czyjaś rozpostarta dłoń.

Mike pobladł i szybko pochwycił kilka kamieni, a potem wskoczył do wody i dobrnął do samochodu. Przez przyciemnione szyby dostrzegał za kierownicą sylwetkę kobiety. Pociągnął za klamkę, ale drzwi chyba były zablokowane od wewnątrz, zamachnął się więc i uderzył kamieniem w tylną szybę.

– Cholerne samochody! Budują je jak czołgi – mruknął przez zaciśnięte zęby.

Obejrzał kamienie i wybrał inny, z ostrzejszą krawędzią. Drugie uderzenie roztrzaskało szybę. Wsunął rękę do środka i odblokował drzwi. Zanim udało mu się je otworzyć, był już zupełnie wyczerpany.

– Och, Boże. Emma – szepnął. Siedziała zupełnie nieruchomo. Woda sięgała jej już do brody. Czoło miała rozcięte.

Skąd się tu wzięła? Dlaczego jechała do La Golindriny, zamiast do domu matki?

Ujął dłonią jej przegub i prawie zasłabł z radości, gdy wyczuł puls.

– Emma! – wykrzyknął.

Otworzyła oczy.

– Mike...

Z jej ust wyciekła strużka wody. Porwał ją na rękę i wyciągnął z samochodu. Była lekka jak piórko, choć ubranie miała zupełnie przemoczone. Mike bez wahania skierował się w stronę drugiego brzegu strumienia. Wiedział, że Emma musi się jak najszybciej przebrać w coś suchego, a jego ranczo było zbyt daleko. Nie straciła przytomności, ale niepokoił go bezruch jej ciała. Przypuszczał, że to skutek szoku.

Gdzie miał zatem pójść? Pomyślał o myśliwskim hoganie u podnóża gór.

– Emma – powiedział. – Słyszysz mnie?

Rozchyliła powieki i spojrzała na niego bez słowa, po czym znów zacisnęła je mocno.

– Właśnie chciałem cię zaprosić na kolację – mruknął. – Trzymaj mnie za szyję. Emmo, słyszysz mnie?

– Nie zabijaj mnie – wyszeptała. – Proszę...

– Co?!

– Byłeś... byłeś tam.

– Ty też tam byłeś, do cholery – warknął, zły na nią o ten brak zaufania. Patrzyła na niego tak,

jakby obawiała się go bardziej niż burzy, ciemności, rwącej wody i tego maniaka, który zepchnął go z drogi.

Dopiero teraz Mike uświadomił sobie, że skoro most był zalany, to ten szaleniec nie mógł się dostać do La Golindriny. Czyżby w takim razie wcale się tam nie wybierał? To mogło oznaczać tylko jedno – że ścigał Emmę.

Z domu Kary wyniesiono dwa ciała. Równie dobrze mogły to być ciała Emmy i Mike'a.

Od hoganu dzieliło go jeszcze kilka kilometrów. Większa część drogi biegła pod górę.

Zacisnął zęby i brnął przed siebie z Emmą na rękach. W tej chwili liczyło się tylko to, że obydwójce przeżyli.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Mike poślizgnął się na stromym zboczu. Powinien być ostrożniejszy, ale wyczerpanie coraz bardziej dawało mu się we znaki. Nie czuł już strug deszczu spływających z runda jego kapelusza ani obolałych rąk i nóg. Wiedział tylko, że musi posuwać się naprzód, krok za krokiem, i donieść Emmę do hoganu.

Nagle potknął się i zaczął zsuwać w dół. Emma krzyknęła. W świetle błyskawicy ujrzał wielki głaz tuż przed nimi, a zaraz za nim przepaść. Obrócił się tak, by zatrzymać się na głazie. Udało mu się, ale przy uderzeniu nadwerężył sobie bark. Wziął głęboki oddech i spojrzął w dół. O dwadzieścia centymetrów od niego znajdowała się krawędź urwiska wysokiego na mniej więcej dwadzieścia metrów.

Potrząsał głową, by oprzytomnieć, i znów ruszył pod górę. Noga już zupełnie odmawiała mu posłuszeństwa. Brnął uparcie przed siebie, ale zaczynał tracić otuchę. Jak daleko uda mu się dojść z Emmą w ramionach?

Przypomniał sobie opowieści dziadka o Długim Marszu. Wielu ludzi wtedy zginęło, ale najdzielniejsi przetrwali. Dziadek próbował zaszczerpić w nim cechy wojownika – odwagę, współczucie dla innych i wytrwałość.

Emma przez całą drogę ani razu nie otworzyła oczu, ale czuł jej konwulsyjny oddech. Zimny deszcz siekł go prosto w twarz. Musiał ją zanieść w ciepłe, bezpieczne miejsce, wysuszyć i przykryć kocami.

Brnął do przodu, usiłując dojrzeć coś w strugach ulewy. W końcu, gdy już był bliski załamania, dostrzegł na horyzoncie wierzchołki drzew. Był prawie na miejscu.

W kilka minut później, szlochając z radości, oparł się o drzwi hoganu. Poruszył klamką, ale drzwi były zamknięte na klucz. Klucz. Sterta drewna. Pod piątą belką od zachodniej strony. Jego umysł przywoływał niezbędne szczegóły jeden po drugim. Ten proces myślowy był jeszcze bardziej wyczerpujący niż wysiłek fizyczny.

Postawił Emmę pod dachem altany obrośniętej dzikim winem. Jęknęła i oparła się o niego całym ciałem.

- Mike?
- Muszę znaleźć klucz.

Po chwili wrócił i znów wziął ją na ręce. Przeszedł przez niskie, wąskie drzwi i ostrożnie położył ją na szerokim łóżku.

Ośmiokątne pomieszczenie było ciemne jak jaskinia. Zapalił zapałkę i podszedł do piecyka. Pociągnął nosem; hogan czuć było pleśnią. Nie miał już siły sprawdzać, czy nie dostały się tu węże albo skorpiony. Na razie wystarczyło, że mieli dach nad głową.

Szczękając zębami, zapalił następną zapałkę i odnalazł lampę naftową. Krzesła i stół pokrywała gruba warstwa kurzu. Na zewnątrz była studnia, ale mycie naczyń musiało poczekać.

Na szczęście znalazł stos suchego drewna. Otworzył poczerniałe drzwiczki pieca i rozniecił ogień, a gdy płomienie zaczęły skakać po metalowych ściankach, padł na łóżko obok Emmy. Nawet przez przemoczone ubranie wyczuwał ciepło jej ciała. Najbardziej na świecie pragnął już tu pozostać, zasnąć i potem obudzić się obok niej. Ale na to było jeszcze za wcześnie.

Po kilku minutach usiadł i zaczął zdejmować z niej ubranie, starając się nie wkładać w te czynności żadnych emocji. Gdy ściągnął z niej spódnicę, zaczęła się trząść. Odwracając wzrok, zsunął sweter z jej ramion i rozpiął biustonosz. Ściągając mokre majtki, uporczywie wpatrywał

się w ścianę nad głową. Przypomniał sobie przeczytane kiedyś zdanie słynnego pisarza, który stopniowo tracił wzrok: „Nie lekceważcie widzenia obwodowego. To ono pozwala nam dostrzec tygrysa w trawie”. Mimo wszystko jednak widział jej ciało w każdym szczególe: jasną skórę na ramionach, kremowe piersi, drobniutkie rozstępy na brzuchu, których kiedyś nie było. Lilly. Wiedział już wcześniej, że to Emma jest matką Lilly, ale jego serce zabiło mocniej na widok tego potwierdzenia. Zaczął się zastanawiać, przez co ona musiała wtedy przejść. Była taka młoda i zupełnie sama. Przekazała dziecko Karze, której bezgranicznie ufała. A Kara gotowa była oddać je obcym ludziom. Nie mógł jej tego wybaczyć.

Okrył Emmę kocami i długo siedział obok niej, nasłuchując bicia własnego serca i dudnienia deszczu o dach. Już nie był na nią zły za to, że oddała Lilly. Widział w jej oczach miłość i cierpienie tamtego dnia przed siedmiu laty, po premierze w Santa Fe. Wiedział, że kochała córkę. A jednak ją oddała.

Oddała własne dziecko – jak Indiana.

Był jednak przekonany, że musiała mieć po temu ważne powody i że kiedyś mu je wyjawia.

Była blada jak papier, ciężko oddychała. Mike pokuśtykał do szafki, przyniósł ręcznik i delikatnie osuszył jej mokre włosy, a potem owinał głowę ręcznikiem jak turbanem. Buzujący

w piecyku ogień rzucał na ściany migotliwe cienie. Czuł się tak, jakby byli jedynym ludźmi na świecie. Przypomniawszy sobie pierwszą noc, którą spędzili razem w kiwie. Wtedy Emma uratowała mu życie i stworzyła między nimi więź, której potem żadne z nich nie umiało do końca zerwać.

Omam nie zginęła w pożarze domu Kary. A dziś znów ktoś próbował ją zabić. Ten ktoś próbował zabić również jego. Dlaczego?

Delikatnie pogładził palcami jej czoło.

– Masz żyć, rozumiesz? – szepnął ochryple.
– Masz żyć!

Otworzyła oczy i wpatrzyła się w jego twarz. Wyciągnęła lodowatą dłoń w stronę jego policzka, ale zabrakło jej siły i ręka opadła bezwładnie.

– Jesteś bezpieczna – upewnił ją.

– Mike...

– Jestem tutaj.

Podniósł jej dłoń i przyłożył do swojej twarzy. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Mike poprawił koce i poszedł dołożyć drewna do piecyka. Potem wreszcie zdjął mokre ubrania, starając się przy tym poruszać jak najciszej, ale w hoganie każdy dźwięk rozlegał się wyraźnie: stuknięcia skórzanych butów o podłogę, brzęk klamry paska, szelest dżinsów. Emma otworzyła oczy i patrzyła na jego nagie ciało. Podszedł do szafki i wyjął suche ubrania.

Spuchnięta noga coraz bardziej go bolała.

Znalazł w szufladzie butelkę whisky i opróżnił ją w dwóch wielkich haustach. Rzucił pustą butelkę na podłogę i znalazł następną, z burgundem.

Im więcej pił, tym jaśniejsze wydawało mu się pomieszczenie. Twarz Emmy promieniała złocistym blaskiem. Turban zsunął się z jej głowy i rude włosy lśniły na poduszce. Wyglądała pięknie jak nigdy.

Przy trzeciej szklance wina zauważył ćwierćdolarówkę leżącą w niebieskim emaliowanym kubku. Wziął ją do ręki. Jeśli wypadnie reszka, będzie spał na podłodze. Jeśli orzeł – w łóżku obok Emmy.

Rzucił monetę. Wypadła reszka. Rzucił jeszcze raz. Znowu to samo. Zirytowany włożył monetę z powrotem do kubka. Gdy brzęknęła, rzęsy Emmy zadrgały.

Mike uznał to za zaproszenie.

Wsunął się do łóżka i zauważył, że Emma jest rozpalona. Policzki miała mocno zaczerwienione. Dotknął jej czoła; niemal parzyło.

– Och, Boże, Emma – jęknął.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Było jej na przemian potwornie zimno i upiornie gorąco. Gdy znów zaczęła szcząkać zębami, przysunęła się do źródła ciepła, które promieniowało spod koców. Mocne ramię objęło ją i przyciągnęło, ciepłe usta przesunęły się po jej włosach i szyi. Gdy coś niewyraźnie wymamrotała, pocałunki ustały.

Potem znów było jej gorąco i odrzuciła przykrycie. Wreszcie, po jakimś czasie, otworzyła oczy i rozejrzała się po mrocznym, pełnym cieni pomieszczeniu. Izba miała kształt ośmiokąta przykrytego kopułą. Malutkie okna wpuszczały do środka nieco szarego światła.

Dudniło jej w głowie. Leżała na niskim, twardym łóżku, przykryta szorstkimi indiańskimi kocami. W piecyku dogasały resztki żaru. Powietrze było gęste od dymu.

Czuła, że ma gorączkę. Była bardzo osłabiona i wszystko ją bolało. Nie miała nawet siły podnieść ręki i zetrzeć kropli potu z czoła. Mimo to powoli wracała jej świadomość. Jakby wynurzała się z gęstej mgły. Po chwili zobaczyła leżącego obok mężczyznę.

Jej głowa opierała się o jego ramię, jego ręka spoczywała na jej ciele. Czuła jego zapach pomieszany z zapachem wilgoci i pustynnego kurzu. Niejasno przypominała sobie, że zajmował się nią przez całą noc.

- Mike? – szepnęła.
- Śpij – mruknął uspokajającym tonem.
- Głowa mnie boli.
- Rano poczujesz się lepiej.
- Skąd ja się tu wzięłam?
- Później ci powiem.

Spróbowała się odsunąć, ale zdecydowanie przytrzymał ją przy sobie.

- Śpij... musisz być zupełnie wyczerpana.

Posłusznie przymknęła oczy. Gdy znów się ocknęła, twarz miała wtuloną w jego szyję, a dłoń w jego włosach.

Mike Greywolf. Był przejmująco męski. Zwykle bała się tego, ale nie tym razem. Teraz potrzebowała jego siły, podobnie jak kiedyś w kowie. Wtedy też zapewniał jej poczucie bezpieczeństwa.

Znów zrobiło jej się gorąco i koszmary

wróciły. Była pod wodą, uwięziona w samochodzie, i przyciskając twarz do szyby, gorączkowo łapała resztki powietrza. Mężczyzna w czerni mierzył do niej z pistoletu.

Było w tej sylwetce coś znajomego, ale zamiast twarzy widziała tylko rozmazaną plamę. A potem pojawił się Mike. Wyciągnął ją z samochodu i poniósł przez burzę.

Mike zniknął. Czerwone ściany pociemniały i zbliżyły się do niej. Twarz Kary falująca w ciemnym lustrze.

Emma zaczęła krzyczeć.

Ciepła dłoń potrząsnęła nią łagodnie.

– Obudź się. Masz zły sen.

Otworzyła oczy, ale wydawała się być w dalszym ciągu nieprzytomna.

– Emmo! To ja, Mike! Jesteś bezpieczna!

Twarz Kary. Bąbelki powietrza.

Krzyczała i krzyczała, desperacko uderzając głową o poduszkę. Była w wynajętym samochodzie, tonęła, umierała.

– Emmo...

Próbowała otworzyć oczy, ale powieki ciążyły jej, jakby były z ołowiu. Ktoś otarł jej twarz chłodnym ręcznikiem. Męski głos przemawiał do niej pieśczośliwie, koił, uspokajał.

Deszcz przestał padać, ale niebo nadal było zaciągnięte, a na horyzoncie kłębiły się paskudne

chmury. Mike wrócił do łóżka. Nie wiedział, co teraz zrobić. Musiał jakoś ratować Emmę.

– Kim jesteś? Kim jesteś? – krzychała przez sen.

– Ciiiicho – szepnął. – Wszystko w porządku.

Jestem tu z tobą.

– Kara...

– Śpij – nakazał jej.

Przewracała się z boku na bok, wołając siostrę. Nadal miała wysoką gorączkę. Mike czuwał przy niej nieustannie. Podawał jej zimną wodę do picia, ocierał twarz ręcznikiem, zmieniał przemoczone prześcieradła, trzymał za rękę, gdy zaczynała drzeć. Był przy niej za każdym razem, kiedy otwierała oczy.

Zastanawiał się, co powinien zrobić. Bał się zostawić ją tu samą i pójść na rancho po pomoc. Kto wie, co by się mogło wtedy wydarzyć. Mogłaby na przykład pójść do lasu i zabłądzić. Ktoś obcy mógłby przypadkiem trafić do hoganu. Albo zwyczajnie zmarłaby z odwodnienia. Kostka bolała go paskudnie i nie miał pojęcia, ile czasu zabrałaby mu droga do domu.

Przez całą noc i następny dzień pielęgnował ją najlepiej, jak potrafił, ale czuł się zupełnie bezradny. Emma potrzebowała lekarza i prawdziwych lekarstw.

Dopił resztkę burgunda i znów podszedł do łóżka. Przestała się już rzucać i krzyczeć. Teraz leżała bezwładnie i oddychała płytko.

Czyżby miała tu umrzeć?

W rozpaczy zakrył twarz rękami i z jego gardła wyrwał się szloch. Tak długo zwlekał z odszukaniem jej, a teraz mogło już być za późno.

– Jeśli przeżyjesz, to już nigdy więcej cię nie zawiodę – szepnął.

Nie zdawał sobie sprawy, że płacze, dopóki nie poczuł dotyku jej palców na swoim policzku.

– Dlaczego płaczesz? – zapytała szeptem.

Nic nie odpowiedział.

– Nie rób tego – poprosiła.

– Czego mam nie robić?

– Nie zamykaj się przede mną.

Patrzył w podłogę. Emma delikatnie obróciła jego głowę i spojrzała mu w oczy. Czas zatrzymał się na długą chwilę. Obydwoje widzieli w swoich oczach prawdę, do której żadne z nich nie miało odwagi się przyznać. Siła emocji zapierała im dech w piersiach.

– Wybacz mi – rzekł Mike cicho.

– Wszystko – skinęła głową.

– Nawet Karę?

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Zobaczyłem cię w tym samochodzie – powiedział. – Byłaś bardzo chora... Nie wiedziałem, co zrobić.

– Uratowałeś mi życie i to kilka razy – uśmiechnęła się i dodała nieśmiało: – Dawno temu, w stajni, coś mi obiecałeś... pamiętasz?

– Tak – odrzekł niepewnie, a gdy się zarumieniła, ukrył twarz w jej włosach. – Bardzo się wtedy bałem, że straciłem cię już na zawsze.

– Ja też.

Poprosiła go o wodę i pastę do zębów.

– Pastę do zębów? – zdumiał się i wybuchnął śmiechem. – Później! Kiedy poczujesz się lepiej.

– W takim razie połóż się tu i przytul mnie.

W kilka godzin później obudziła się, czując na sobie w mroku jego spojrzenie.

– Lepiej – wymruczała.

– Co lepiej?

– Obiecałeś... że kiedy poczuje się lepiej...

To były ostatnie słowa, jakie obydwójce wypowiedzieli przez dłuższy czas. Gdy wyciągnął rękę w stronę jej twarzy, pociągnęła go na siebie i leżała nieruchomo, patrząc na niego płonąącym wzrokiem.

Poczucie upokorzenia, które nie opuszczało go od tamtej pamiętnej nocy w stajni, minęło wreszcie. Wiedział, że musi działać powoli, bez pośpiechu. Ale jej ręce zaczęły się poruszać i już po chwili poczuł, że jest na krawędzi eksplozji.

Nic nie mówili, nawet nie wymieniali pocałunków, tylko w milczeniu oddawali wzajemnie hołd swoim ciałom. Świat Mike'a nie był już mroczny i milczący; nabrał żywych barw. Poczucie samotności i smutku minęło bez śladu.

Szybko było po wszystkim, ale ten ogień

zespolił ich dusze. Leżeli objęci, uśmiechając się do siebie.

– Emma. Emma. Emma – mrucał Mike.
– Następnym razem...

– Następnym razem co?

– Zrobię to wolniej.

– Już się nie mogę doczekać – zaśmiała się.
Na zewnątrz rozległ się głośny warkot.

– Co to takiego? – zdziwiła się Emma.

– Helikopter. Nisko leci. O ile znam twoją matkę, to pewnie szuka cię już cały stan. Chcesz, żebym wyszedł i pomachał do nich?

– Bez ubrania? Jeszcze byś się przeziębził i musiałabym cię pielęgnować – uśmiechnęła się.

– Wolę, żebyś został tutaj.

Tę noc spędzili w swoich ramionach.

Błada smuga światła słonecznego obudziła najpierw Emmę. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Najpierw zauważyła kolorowe koce i to, że jest naga, potem śpiącego obok Mike'a. Przypomniała sobie ostatnią noc i zaczerwieniła się. Jej matka chyba dostałaby zawału, gdyby się dowiedziała.

Wyplątała się ostrożnie z ramion Mike'a, narzuciła ubranie i wyszła na zewnątrz, w szary poranek. Zobaczyła czerwone skały i zielone jałowce. Powietrze pachniało świeżą żywicą. Śpiewały ptaki, wiatr poruszał konarami drzew.

Nigdy jeszcze przyroda nie wydawała jej się taka piękna.

Ciekawe, co by powiedziała jej matka, gdyby Emma oświadczyła, że zamierza dzielić życie z Mikiem? A Stuart? Pomyślała o tych latach, gdy grała dwie role, własną i siostry... O tych latach, podczas których jej życie było plątaniną kłamstw i lęku. Była niezmiernie samotna. Wszyscy, których kochała, znajdowali się daleko od niej. Już uwierzyła, że nigdy nie odnajdzie swojego miejsca na ziemi. Aż do ostatniej nocy.

Usiadła na ziemi i zakryła twarz dłońmi. Gdzieś w pobliżu trzasnęła gałązka i nagle pomiędzy jałowców wyłonił się wielki kot. To była puma, czarna, o migdałowych oczach. Ważyła przynajmniej sto kilogramów. Przystanęła i przyglądała się Emmie badawczo, zamiatając ogonem ziemię.

Wystarczyłby jeden skok...

Emma chciała zawołać Mike'a, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nie odrywała wzroku od zwierzęcia. Przez całe życie była tchórzem.

Ten wielki kot, fantastyczna maszyna do zabijania, obserwował ją z bliska w skupieniu, a ona nie mogła nic zrobić. Nie miała dokąd uciec.

Naraz poczuła, jakby jakaś zewnętrzna siła otoczyła ją ochronnym pancerzem, i w jednej chwili przestała się bać. Z odwagą, która nie pochodziła od niej samej, śmiało spojrzała

w złociste oczy zwierzęcia. Te oczy wyglądały zupełnie jak oczy Kary.

Ogon pumy zatrzymał się w ruchu. Emma ostrożnie cofnęła się o krok i w tej samej chwili kot zniknął w jałowcach.

Odwróciła się, wstrzymując oddech, i zobaczyła Mike'a, który stał w drzwiach hoganu z pistoletem wymierzonym do strzału.

W jednej chwili znalazła się w jego ramionach.

– Mike... Byłam dzielna... tak dzielna jak Kara! – zawołała z podnieceniem.

– Byłaś dzielniejsza.

– Wcale się nie bałam!

– Zachowałaś się wspaniale – oświadczył i Emma poczuła, że ta przygoda dodała jej siły. Skoro potrafiła stawić czoła pumie, to poradzi sobie ze wszystkim, a już na pewno z gniewem matki i Stuarta. Była gotowa stanąć przed nimi i oświadczyć im, że kocha Mike'a.

Nie bała się już niczego, nawet prawdy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Żółte płomyki lizały mrok. Mike jednak nie potrafił się cieszyć zapachem króliczego mięsa piekącego się na ruszcie, bo wiedział, że Emma siedzi w hoganie nadaśana. Zjedli już prawie wszystkie zapasy, uznał więc, że najsensowniej będzie wziąć berettę i upolować coś w lesie. Emma jednak nie przepadała za mięsem i gdy pojawił się w domu, trzymając za uszy dwa króliki, zamknęła mu drzwi przed nosem.

– Musiałeś zabić aż dwa? – zapytała z żalem.

– Co za pytanie – wzruszył ramionami.

– Ty barbarzyńco! – zawołała z odrazą, gdy wyciągnął z brzucha zwierzęcia wnętrzności i rzucił je w jałowce.

– Skoro nie zamierzasz mi pomóc, to lepiej idź do domu.

– Z wielką przyjemnością! – zawołała i zniknęła w hoganie, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Przez krótką chwilę, zbierając drewno na ognisko, cieszył się spokojem i samotnością. Ale zaraz zateśnił za Emmą.

Mięso pachniało zachęcająco. Noga Mike'a zaczynała się już goić. Czuł się o wiele lepiej. Po raz pierwszy od wielu lat miał wrażenie, że jest w domu.

Lubił ten hogan. Tutaj ożywała jego dusza, tutaj czuł więź ze swoim plemieniem. W głębi duszy Mike pozostał Indianinem. Nawahowie kierują się sercem. Kultura białych ludzi przyniosła mu sławę i pieniądze, ale zaczynał w niej tracić poczucie własnej tożsamości.

Emma nazwała go barbarzyńcą, tymczasem jej oparta na materializmie kultura była pod wieloma względami o wiele większym barbarzyństwem, bo unicestwiała duszę.

Popatrzył na zamknięte drzwi hoganu i pomyślał, że jeśli Emma wkrótce stamtąd nie wyjdzie, to będzie musiał przerzucić ją sobie przez ramię i wynieść na zewnątrz. Wtedy dopiero przekona się, jak to jest zadawać się z barbarzyńcą.

Na szczęście drzwi skrzypnęły i w progu ukazała się drobna postać owinięta kolorowym kocem.

– Jesteś głodna? – zapytał.

– Tak głodna, że mogłabym zjeść nawet... dwa króliki – uśmiechnęła się.

Wyczytał w jej wzroku przeprosiny.

– To znaczy, że mi wybaczasz?

– Jeśli obiecasz, że nigdy nie będziesz zabijał bez wyraźnej potrzeby.

– Przecież tego nie robię.

Zjedli przy ognisku, a potem siedzieli przytuleni. Mike dorzucił do ognia jeszcze kilka gałęzi i zaczął mówić. Rozmawiał z Emmą tak, jak kiedyś rozmawiał ze swoim dziadkiem. Mieli sobie tyle do powiedzenia.

Na początek chciał się dowiedzieć wszystkiego o Lilly.

– Gdy wróciłam wtedy ze szpitala, nie było cię w domu – zaczęła.

– Twoja matka obwiniała mnie...

– Wiem.

– Wróciłem do swojego plemienia, by się odnaleźć.

– A ja wyjechałam do Meksyku. Ciotka Zet miała przyjaciółkę, której córka prowadziła tam klinikę. Na początku pomagałam jej w pracy, a potem zaczęłam pisać... najpierw po to, by wyrzucić z siebie cierpienie, później z potrzeby serca. Przez cały czas źle się czułam, wymiotowałam... w końcu Katherine stwierdziła, że jestem w ciąży.

– Och, Emmo...

– Chciałeś to wiedzieć.

Po chwili podjęła:

– Pamiętasz to puste miejsce w galerii domu matki? Tam, gdzie powinien znajdować się portret mojego ojca?

– Twój brat zawsze tam stawał i wpatrywał się w tabliczkę z nazwiskiem.

– Bałam się tego, że ze mną będzie tak jak z ojcem, że zniknę. Zostanę wymazana, wykreślona. Ale nie mogłam wrócić do matki. Była zbyt krytyczna wobec ciebie. Wobec mnie zresztą też. Więc zadzwoniłam do Kary.

Kara, pomyślał ponuro. Zawsze zwracała się do Kary. Nigdy do niego.

– Kara wtedy próbowała się wybić. Zagrała kilka niewielkich ról, ale mieszkała już w wielkim domu na plaży. Ten dom należał do słynnego aktora.

– Pamiętam.

– Miała mnóstwo pieniędzy.

– Bez wątpienia pochodziły od jej bogatego kochanka.

Emma pominęła to milczeniem.

– Kara opowiadała mi o tobie rzeczy, przez które omal cię nie znienawidziłam. Mówiła, że pragnęłaś nas obydwu, ale każdej inaczej, że nas rozdzieliłaś i zламаłaś jej serce. Mówiła, że ją uwiodłaś.

– Niech ją diabli – mruknął Mike ze złością, wrzucając do ognia kolejną gałąź. W niebo poleciał snop iskier. – Kłamała!

– Byłam zbyt naiwna, by to dostrzec. Zbyt mało pewna siebie... i siebie.

Przez chwilę milczała, zanim podjęła:

– Byłam w ciąży i uznałam, że powinnam to przed tobą ukryć. Nie miałam środków do życia. Żadnego wykształcenia. Nie mogłam zapewnić Lilly opieki. Kara miała pieniądze... To nie była lekka ciąża, przez cały czas źle się czułam. Zwaliałam wszystkie decyzje na barki Kary. Obiecała, że znajdzie dziecku dobry dom. Zajęła się mną i w ogóle wszystkim...

– Jasne... Chciała oddać Lilly obcym.

– Och, Mike, gdyby mi nie pomogła, to nie wiem, co by ze mną było. Chodziłam do jej lekarza, pod jej nazwiskiem...

– Wykorzystała cię, żeby złapać w pułapkę tego aktora.

– Dlatego jej nazwisko znalazło się na akcie urodzenia Lilly. Ale wtedy zbyt źle się czułam, żeby się tym martwić.

– Chodziło jej o tego aktora. Gazety publikowały zdjęcia Kary wychodzącej ze szpitala z dzieckiem obok jego zdjęć. Wszyscy wierzyli, że Lilly jest jego córką. Jego żona wniosła pozew o rozwód. Ale badania krwi nie kłamią. On zaskarżył gazety i wrócił do żony, Kara dostała rolę w popularnym serialu, a ja zyskałam Lilly.

– Nie miałam o tym wszystkim pojęcia. Gdy doszłam do siebie, chciałam odzyskać Lilly. Kara

powiedziała mi wtedy, że załatwiła adopcję i Lilly trafiła do bardzo dobrych ludzi.

– Teraz przynajmniej wiesz, że kłamała.

– Nie mogłam zapomnieć Lilly. Świątowałam każde jej urodziny. Przez całe lata zaglądałam do wszystkich wózków, wypatrywałam dziewczynek w jej wieku. Wróciłam do Meksyku i skończyłam „Zdradzoną”. Ta książka była o nas, Mike. Była tak osobista, że nie mogłam się zdobyć na to, by pokazać ją wydawcy. Ale Kara przeczytała ją i wysłała do Nowego Jorku. Powieść okazała się wielkim sukcesem, a ja nie byłam na to przygotowana...

– Moje życie prawie wróciło do normy... oprócz tego, że nie było w nim Lilly. A potem pojechałam na premierę filmu, zobaczyłam Lilly i ciebie. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Kochałam was oboje, chciałam być z wami...

– Twarz Emmy pociemniała. – I byłam wściekła na Karę. Przysięgała, że zrobiła to wyłącznie dla mojego dobra i że jest w stanie wszystko mi wyjaśnić. Miałyśmy porozmawiać wieczorem po premierze, ale...

– Co się wtedy stało?

Emma pochyliła głowę.

– Nie wiem. Dlatego tak się boję. Ocknęłam się mokra, w połowie drogi na płaskowyż. Byłam zła na siebie, że kochałam się z tobą tej nocy, gdy udawałam Karę. Byłam taka zła na nią, po tym, co

powiedziałeś mi w hotelu, że mogłam posunąć się do wszystkiego.

Mike poczuł ciężar na sercu, gdy przypomniał sobie tamtą noc.

– Ja też tak się wtedy czułem. A co pamiętasz?

– Ciebie i mnie... w hotelu... Kara po premierze wydawała się jakaś dziwna, zdenerwowana. Powiedziała, że musi gdzieś wyjść, i prosiła mnie, żebym zastąpiła ją na przyjęciu. Tylko na chwilę. Wymknęła się tylnym wyjściem, potem zjawiliś się ty.

– A ja piłem, żeby zabić uczucia do ciebie. Odkąd cię zobaczyłem na placu, nie mogłem przestać o tobie myśleć. Sando powiedział mi, że przyszedł do galerii i płakał przy rzeźbach Lilly. Chciałem przycisnąć Karę, żeby powiedziała mi prawdę.

– Tylko że zamiast Kary spotkałeś mnie.

– Niestety byłem zbyt pijany i wściekły, by to zauważyć.

– Krzyczałeś na mnie, dlatego zaproponowałam, żebyśmy porozmawiali w sypialni.

Ich oczy spotkały się i obydwójce wrócili myślami do tamtej nocy. Mike dopiero teraz zrozumiał znaczenie wypowiedzianych przez nią wtedy słów: Mike, Lilly jest moja... Tak mi przykro. A gdy odchodził, wściekły, rozgoryczony na siebie, przekonany, że stracił Emmę na zawsze, powtarzała bezradnie: Kocham cię. Kocham cię...

Uciekł wtedy, wyjechał, pragnąc zapomnieć o tej nocy. Jednak dobrze wiedział, że nigdy nie zapomni i nigdy sobie nie wybaczy.

– Mike – szepnęła Emma ponad ogniskiem, przywołując go do terażniejszości. W jej oczach błyszczały emocje. – Mike, bardzo cię przepraszam za tamtą noc... nigdy się nie dowiesz, jak okropnie tego żałowałam.

– Wiem. Boże, wiem – odrzekł drżącym głosem. – To była zarazem najgorsza i najlepsza noc w moim życiu. Przez te wszystkie lata wierzyłem, że to była Kara... Gdyby nie to, odnalazłbym cię o wiele wcześniej. Nie masz pojęcia, jaki wielki kamień spadł mi teraz z serca.

Pociągnął ją w ramiona i szepnął:

– Wyjdź za mnie.

Zawahała się.

– Sama nie wiem... Nadal jest tak wiele pytań, na które nie znam odpowiedzi... tyle problemów.

– To nie było pytanie. Jesteś matką mojego dziecka. Jak sobie to wszystko wyobrażasz, jeśli nie weźmiemy ślubu?

– A ten pożar, te dwa ciała? Mike, moje życie to jeden wielki bałagan. Ktoś mnie szantażuje.

– Co takiego?!

– Nie powinnam cię w to wciągać ani narażać Lilly na niebezpieczeństwo.

– Jeśli ktoś cię szantażuje, to na pewno nie przejdę nad tym do porządku dziennego! Przez

cały czas mam przed oczami obraz twojego samochodu w rzece. I pamiętam, jak leżałem obok płonącego domu Kary przekonany, że to ty zginęłaś w płomieniach. Jakim cudem udało ci się stamtąd wydostać?

– Nie wiem. Odzyskałam świadomość dopiero na Isla Mujeres. Och, Mike... nawet tam dostałam faks od szantażysty. Napisał, żebym nie wracała do domu, bo jeśli to zrobię, komuś stanie się krzywda.

– Wyjdiesz za mnie jak najszybciej, rozumiesz? Emmo...

– To nie jest dobry sposób na zaczynanie...

Naraz na niebie rozległ się ryk helikoptera i o szyby hoganu uderzyły tumany kurzu. Tym razem maszyna wylądowała. Emma podbiegła do niej, a Mike niechętnie poszedł za nią.

Z helikoptera wysiadł szeryf, Will Gentry, i jego przysadzisty zastępca. Obydwaj trzymali dłonie na kolbach pistoletów.

Mike otarł czoło dłonią. Czy to Chavez ich przysłał? Jego twarz jednak nie wyrażała niczego.

– Emma, wszystko z tobą w porządku? – zapytał Gentry.

– Po co tu przylecieliście? – zapytała.

– Zobaczyliśmy twój samochód... i jego też. Znasz przecież Frances – wzruszył ramionami.

– Znalazłem ją i przyniosłem tutaj – wyjaśnił Mike.

- Na dwa dni? – rzucił szeryf ironicznie.
- On mówi prawdę – oburzyła się Emma.
- Jesteś gotowa, żeby wrócić do domu?

W milczeniu skinęła głową. Gentry wziął ją pod ramię i poprowadził do helikoptera, z którego dopiero teraz wyskoczyła rudowłosa kobieta z kamerą wideo w ręku.

– Mike – zawołała, widząc, że Emma i Gentry znikają już w maszynie. – Muszę z nią porozmawiać!

- Nie teraz.
- Co robiliście w tym hoganie?
- Zajmij się swoimi sprawami!
- Ona zabiła Karę, tak?

Mike odepchnął ją i poszedł za Emmą i szeryfem. Sara pobiegła za nim.

– Zabiła swoją siostrę! Zamierzam tego wkrótce dowieść!

Mike wskoczył do helikoptera i zatrzaskał drzwiczki. Natychmiast zaczęli wzbijać się do góry. Sara została na zewnątrz. Po chwili znaleźli się nad domem Frances i wylądowali na jej podwórku.

Frances i Stuart z zaciętymi twarzami stali przy frontowych drzwiach domu, a dokoła nich tłoczyła się grupa ludzi w czerni. Na parkingu stała prawie setka samochodów. Ale największy tłum – fani Kary – oddzielony był od domu policyjnymi barierkami. Co ci wszyscy ludzie tu robią,

zastanawiał się Mike. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że Frances zaplanowała przecież uroczystość ku czci Kary.

Jedno spojrzenie na nią wystarczyło, by się upewnić, że Frances nadal gotowa była zrobić niemal wszystko, by trzymać go z dala od Emmy.

Stuart trzymał się z boku. W oknie domu Mike dostrzegł Lilly. Na widok Emmy dziewczyna opuściła żaluzję. Frances podbiegła do helikoptera, nie zważając na kurz, i porwała córkę w ramiona.

– Wreszcie jesteś w domu – powiedziała ze wzruszeniem i dopiero teraz zauważyła Mike’a. Na ten widok rysy jej twarzy natychmiast się wyostrzyły.

Mury tego domu przyprawiały Mike’a o dziwny lęk. Znów poczuł się samotny jak kiedyś, znów widział, jak bardzo nie pasuje do światka Frances Shayne. Ale nie zamierzał się wycofywać. Miał tu swoje, należne mu miejsce.

– Czy już jest po uroczystości? Spóźniliśmy się? – zapytała Emma cicho.

– Will nic wam nie powiedział? – zdumiała się Frances i gdy Emma potrząsnęła głową, dodała: – Chavez z policji Los Angeles prosił, żeby Greywolf do niego zadzwonił.

Mike w milczeniu czekał na ciąg dalszy.

– Wyszły na jaw nowe fakty.

Patrzył na zimny uśmiech Frances i obawiał się, że za chwilę ją udusi.

– Kara żyje – wyrzuciła z siebie w końcu.

Emma pobladła jak płótno.

– Kara... żyje... – powtórzyła i zachwiała się.

Mike natychmiast ją pochwycił i zaniósł do wnętrza domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Dom był jasno oświetlony i pełen ludzi. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się Mike'owi w oczy, był podświetlony i zabezpieczony grubą szybą kilim utkany przez jego babcię. Przedstawiał cztery postacie boga Dontso, dwa kwiaty kukurydzy oraz Boga Tęczy. Praca nad nim zajęła babci ponad rok. Mike pamiętał, jak stał przy niej w ciemnym hoganie, podziwiając zręczność jej zdeformowanych palców przeplatających przez krosna pasma barwnej wełny. To było ostatnie dzieło, jakie udało jej się skończyć przed śmiercią.

Przez okno widział Frances odprowadzającą go zimnym spojrzeniem. Przypomnił sobie, że tamtej nocy, gdy wyrzuciła go z domu, stała przy tym samym oknie. No cóż, wyglądało na to, że są na siebie skazani. Zależało mu na Emmie i Lilly,

a skoro pragnął mieć prawdziwą rodzinę, to musiał zaakceptować również Frances. Tylko czy Emma naprawdę zechciałaby wyjść za niego, zostać żoną Indianina?

Oderwał wzrok od Frances i zdążył jeszcze zobaczyć szeroko otwarte oczy Lilly, która na widok ojca z Emmą na rękach w popłochu uciekła z kuchni, zostawiając go samego z licznymi członkami rodziny Shayne'ów. Oprócz nich była tu jeszcze lokalna arystokracja z okolic Santa Fe, kilku ważniaków z firmy Stuarta i garść osób związanych z przemysłem filmowym. Wszyscy oni patrzyli na Greywolfa z rosnącą fascynacją. Tylko niewielka grupa, w której znajdowała się Indiana, Sando, Sara i Galbraith oraz kilku dziennikarzy i właścicieli prestiżowych galerii, nadal była pogrążona w rozmowie.

Indiana, jego matka. Co ona tu, do diabła, robiła? Czy cokolwiek ją obeszło, że znów oskarżono go o morderstwo? I że sam o mały włos nie zginął?

Do diabła z nią. Do diabła z nimi wszystkimi.

Zaniósł Emmę na dużą beżową sofę. Gdy delikatnie ułożył jej głowę na poduszce, otworzyła oczy i zadrżała na widok tyłu nieznajomych twarzy. A może sprawiły to strzępki rozmów, dolatujące do ich uszu.

– ...bum, Emma mdleje...

– To przez niego...

- ...ksiądz w samym środku uroczystości...
- Policjant dzwoni i mówi, że ona żyje...
- Szkoda, że nie ma tu Kary, tylko Emma...

Ciałem Emmy wstrząsnął dreszcz. Znów przy-
mknęła oczy. Podszedł do nich Sando; Mike
niemal się ucieszył na widok znajomej twarzy.

– Dasz wiarę? – krzyczał Sando, z podniece-
niem zacierając ręce. – Kara żyje!

– Tak słyszałem.

– Ci fani są niesamowici, co? Zajęli całe
ranczo i pół Santa Fe. Twoje rzeźby sprzedają się
jak ciepłe bułeczki, szczególnie od chwili, gdy
obydwoje znikliście i znaleziono wasze samo-
chody. Ale kiedy znaleziono samochód Kary,
w galerii zapanowało zupełne szaleństwo. Wszy-
scy są pewni, że ona się tu pojawi.

– Co ja narobiłam? – jęknęła Emma zduszo-
nym szeptem.

– Stary, mam coś jeszcze lepszego. Obok
samochodu Kary były głębokie ślady opon. Cha-
vez mówi, że wygląda to, jakby jakiś inny
kierowca odjechał stamtąd w pośpiechu. Gliny
były pewne, że coś tu śmierdzi, a potem okazało
się, że Kara jest w Rzymie!

– W Rzymie?

– W pieprzonym Koloseum! Jakiś fan ścigał ją
przez kilka przecznic, zanim mu zniknęła.

– To na pewno nie była Kara, tylko jakaś inna
dziewczyna, pewna, że idzie za nią zboczeniec!

– I nie zgadniesz, kto jeszcze zadzwonił!

Mike nawet nie próbował zgadywać.

– Ray. Z Mexico City. Zobaczył pożar domu Kary w wiadomościach CNN i zadzwonił o czwartej rano. Kazał mi przekazać matce, żeby się nie martwiła. Tak jakby o tej porze nie miała nic lepszego do roboty. Był wstrząśnięty, dopóki mu nie powiedziałem, że Kara jest w Rzymie. Chyba znów się na nią napalił, tak jak kiedyś w liceum.

– A te ciała w domu Kary?

– Pokojówka...

Zadzwonił telefon. Zet odebrała i zawołała Mike'a. To był Chavez.

– Greywolf – rzucił Mike krótko.

– Dobrze, że się pan znalazł. Najwyższa pora. Mike zbył tę uwagę milczeniem.

– Zidentyfikowaliśmy te spalone zwłoki. Pewien samobójca ze wschodniego Los Angeles, niejaki Emilio Sanchez, zostawił list pożegnalny. Napisał, że wrzucił bombę do okna na piętrze. Opis zgadza się z najdrobniejszymi szczegółami. Zdaje się, że to były mąż pokojówki. Prześladował ją przez rok, odkąd znalazła sobie kochanka. W tych workach była pokojówka i jej gach, a nie jedna z bliźniaczek. Ten sukinsyn przyszedł do kostnicy na dzień przed śmiercią i próbował wyciąć jej język. Z tego wszystkiego wynika, że nic już do pana nie mamy. Przepraszam za

niewygodne krzesło. Napisałem w tej sprawie oficjalny raport.

– Nieźle mnie pan przeczochał – mruknął Mike.

Chavez nie skomentował tego zgryźliwego stwierdzenia.

– Niech pan powie Gentry’emu, że policja w Albuquerque zatrzymała na lotnisku kolejnego wielbiciela Kary. Facet nazywa się Rolando Smith. Miał w bagażniku cały arsenał i do tego jeszcze faks. Panna Shayne na pewno bardzo się ucieszy, że go dorwaliśmy. To niezły świr, prześladował ją od lat. Mówi, że nie chciał zrobić jej krzywdy, po prostu marzył, by być blisko niej. Jego poprzednia ofiara w tej chwili już nie ma twarzy.

Sara z uniesioną wysoko kamerą zbliżała się do Mike’a i Sando.

– Miło mi słyszeć, że spotkał się pan ze... swoją ulubioną siostrą – dodał Chavez na zakończenie.

Mike szybko odłożył słuchawkę, by nie powiedzieć czegoś, czego później mógłby żałować.

Sara pociągnęła go za rękaw.

– Hej, nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytania.

Stuart również zbliżył się do Emmy.

– Cieszę się, że nic ci się nie stało, siostró – rzekł.

Emma uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i poprosiła:

– Stuart, zabierz mnie stąd!

– Jak sobie życzysz – odrzekł szarmancko.

– Tylko jedno pytanie, zanim stąd pójdziesz – włączyła się Sara. – Czy zabiłaś swoją siostrę?

– Zostaw ją w spokoju, bo każę cię stąd wyrzucić – warknął Stuart.

Sara prychała jak rozwścieczona kotka.

– Nikt ze mną nie chce rozmawiać...

– Sando – szepnął Mike z desperacją. – Zrób z nią coś, szybko!

Sando pochwycił Sarę wpół.

– Hej, skarbie!

Próbowała go odepchnąć, ale otoczył ją ramionami i mocno pocałował. Upadli na sofę. Dopiero gdy Sara się uciszyła, Sando podniósł głowę i badawczym spojrzeniem mierzył wpływ, jaki wywarł na niej ten wybuch uczuć.

Sara była zarumieniona, włosy miała w jeszcze większym nieładzie niż zazwyczaj. Zanim zdążyła go zaatakować, on zrobił to pierwszy.

– Wyjdź za mnie.

– Czyś ty zwariował?

– Kupiłem ci wielki pierścionek. Chcesz zobaczyć?

Potrząsnęła głową, ale gdy wyciągnął z kieszeni aksamitne pudełeczko, w jej oczach błysnęło zainteresowanie.

– Kupiłeś to bez mojej wiedzy...

– Zaraz po naszym weekendzie. Zupełnie zwałaś mnie z nóg.

Otworzyła pudełeczko i na widok olbrzymiego brylantu zaparło jej dech w piersiach.

– Sando – mruknęła zmysłowo, pozwalając mu, by wsunął pierścionek na jej palec. – Moja matka będzie zachwycona!

– Kocham cię – rzekł i znów ją objął. Kamera upadła na podłogę.

Miłość to dziwna sprawa, pomyślał Mike, patrząc z boku, jak Sando i Sara ręka w rękę wychodzą na zewnątrz, by popatrzeć na gwiazdy.

Ale radość z pozbycia się Sary nie trwała długo, bo już po chwili przykleił się do niego Galbraith. Archeolog miał akurat katar i mówił przez nos, toteż Mike z trudem go rozumiał. Zadawał mu jakieś pytania dotyczące wykopalisk w stawie na płaskowyżu. Zapewniał, że ma na to pozwolenie.

– Jasne, kop – zgodził się Mike. Nie chciał rozmawiać z człowiekiem, który zajmował się odgrzebywaniem miast umarłych. Przy pierwszej sposobności zostawił archeologa i poszedł do kuchni poszukać Lilly.

W pierwszej chwili nic nie widział w ciemnościach, ale gdy wzrok trochę się przyzwyczaił, dostrzegł w kącie przyklejone do siebie sylwetki dziewczyny i chłopaka.

Lilly i jakiś punk z grzebieniem różowych włosów i twarzą poprzebijaną srebrnymi kolczykami. W samym nosie miał ich trzy, nie wspominając już o uszach.

– Lilly! – zawołał Mike ostro.

– Tato – mruknęła, wyplątując się z objęć punka. – Właśnie pomagam Leo.

– W czym mu pomagasz? – zdziwił się Mike, przewiercając chłopaka wzrokiem.

– Tak w ogóle – wzruszyła ramionami. – Przepraszam cię, że zachowywałam się jak... no, tak jakbyś naprawdę zabił Karę. Cieszę się, że wróciłeś do domu.

– Masz dosyć nietypowe sposoby okazywania radości.

Roześmiała się tylko. Ale na twarzy jej wybranka pokazał się grymas niesmaku.

– Nic mi nie mówiłaś, że twój ojciec jest Indianinem. Nie przepadam za nimi.

Z pogardą splunął na podłogę. Mike rzucił się w jego stronę, ale Leo wymknął się z kuchni zwinnie jak kot i zatrzasnął drzwi tuż przed jego nosem. Usłyszeli szybkie kroki na werandzie i różowy chłystek zniknął w mroku.

– Witaj w domu – powiedziała Lilly.

Różowa sypialnia wciąż wyglądała jak pokój małej dziewczynki. A jednak, podobnie jak pozostałe pomieszczenia w tym domu, był to pokój

matki. Frances osobiście wybrała wszystkie detale wnętrza i urządziła je według swojego widzi-miszę.

Na widok srebrnych szczotek do włosów z wygrawerowanymi literami K i E Emma poczuła przypływ nostalgii. Najpiękniejsze lalki z kolekcji matki siedziały równo w swoich gablotach za szkłem, a łóżka przykryte były tymi samymi jedwabnymi narzutami, na których w dzieciństwie nie wolno im było siadać. W kilku wazonach stały świeże bzy i róże.

W dzieciństwie obydwie z Karą nienawidziły tego wymuskanego pokoju, olejnych obrazów na ścianach i lalek na pokaz.

Przypomniała sobie, z jaką złością matka zdierała ze ścian przypięte pinezkami plakaty gwiazd rocka, i wygłaszała przy tym kazania o tym, że nazwisko Shayne zobowiązuje do... lepszego gustu.

Rzeczy nietykalne. W tym pokoju unosił się zapach martwoty.

Emma podeszła do gablotki i pomyślała, że ona sama też była jak jedna z tych lalek – zamknięta pod szkłem, chroniona, dopóki w jej życiu nie pojawił się Mike. Otworzyła gablotę i wyjęła pasterkę w stroju z różowej satyny.

– Emma – usłyszała za plecami głos matki.

Drgnęła i upuściła lalkę. Frances natychmiast znalazła się obok. Przyklęła i delikatnie wygładziła

pomiętą różową spódniczkę, a potem ustawiła lalkę w gablocie dokładnie w tym samym miejscu, gdzie znajdowała się przedtem.

– Kochanie, najlepiej ich nie dotykać.

– Wiem – szepnęła Emma głosem małej dziewczynki.

– Emmo... czy nadal wydaje ci się, że jesteś zakochana w Greywolfie?

– Zamierzam za niego wyjść – oświadczyła Emma, dziwiąc się własnej odwadze. Na widok spojrzenia Frances dodała szybko: – Będziemy sąsiadkami. To chyba powinno cię ucieszyć?

Frances odwróciła wzrok.

Mike zobaczył Emmę na schodach. Twarz miała zachmurzoną i wyglądała, jakby płakała, ale bacznie rozglądała się dokoła, wyraźnie kogoś szukając. Wstrzymał oddech i czekał. Zupełnie jakby w tej chwili ważyło się całe jego życie.

Dostrzegła go i jej twarz natychmiast się rozświeciła. Z radosnym okrzykiem podbiegła do niego. On również szybko ruszył w jej stronę. Spotkali się u podnóża schodów i nie zważając na tłum gapiów, wpadli sobie w ramiona.

Mike ujął jej dłoń i pocałował.

– Wyjdź za mnie – szepnął. – Powiedz im wszystkim, że za mnie wychodzisz.

– A co z Karą? A jeśli...

– Dowiemy się, co się z nią stało... razem.

– A jeśli...

– Przecież się kochamy!

Ich usta spotkały się. Mike objął ją mocno. Błysnął flesz. Sara siódmym zmysłem wyczuła, że dzieje się coś ważnego, i w porę znalazła się na miejscu. Unosząc wysoko aparat fotograficzny, strzelała jedno zdjęcie za drugim.

– Mamo... Proszę wszystkich o uwagę – powiedziała głośno Emma. Poczekała chwilę, aż rozmowy umilkną, i ciągnęła: – Mike i ja chcemy wziąć ślub.

– Nie w tym domu – prychnęła Frances.

Przez zgromadzony tłumek przebiegł szmer. Wtedy z mroku wysunęła się Indiana.

– W takim razie proponuję mój – oświadczyła.

Wzrok Mike'a stwardniał. Dziennikarze szaleli. Flesze błyskały jeden za drugim.

Indiana wyciągnęła do niego rękę. Wahał się przez dłuższą chwilę, ale w końcu ją przyjął. W jej oczach błyszczało szczere uczucie.

– Gdy byłeś małym chłopcem, kochałam niebo, ziemię, księżyc i twojego ojca – powiedziała miękko. – A przede wszystkim ciebie. Byłeś dla mnie wszystkim. Zabierałam cię ze sobą na pustynię. Rozbijaliśmy tam biwaki. Ja malowałam, a ty robiłeś dla mnie różne prezenty. A potem, pewnego dnia, zrozumiałam, że duża część mnie należy do innego świata.

Mike pamiętał te chwile i były to jego naj-

piękniejsze wspomnienia. Matka doceniała jego talent. To dzięki niej został rzeźbiarzem. Kochał te wspomnienia, dopiero o wiele później nauczył się ich nienawidzić.

– Mike, ja zawsze cię kochałam. To ja płaciłam za twoje wykształcenie, nie Frances. To dzięki moim pieniądзом mogłeś się stąd wyrwać i rozwijać swój talent. Zawsze w ciebie wierzyłam, przecież wiesz...

Mike nic nie odpowiedział. Na to było jeszcze za wcześnie.

Mieszanina bólu i radości wypalała duszę Emmy.

Weszła do ciemnego kościoła i po cichu zbliżyła się do złocistych płomieni świec przy głównym ołtarzu. Tam uklękła.

Jutro miał się odbyć jej ślub z Mikiem. Dzisiaj wykradła kilka chwil, by odwiedzić Santuario de Chimayo. W tym kościele, przez niektórych nazywanym amerykańskim Loudres, przechowywano *tierra bendita*, świętą ziemię o cudownych, uzdrawiających właściwościach. Ściany obwieszane były wotami i świadectwami cudownych uzdrowień – od porzuconych kul po fotografie i dziękczynne listy.

Emma przyszła tu prosić o wybaczenie. Zatoniona w modlitwie, nie od razu zauważyła ubraną na ciemno postać wysuwającą się z mroku. Gdy

zdała sobie sprawę z czyjejś obecności, obróciła się gwałtownie.

– Kara? – wykrzyknęła z przestraczem i dopiero po chwili spostrzegła, że była to Indiana.

– Często tu przychodzę – wyjaśniła.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Któż zna wszystkie tajemnice naszych serc i dusz? To nasza podróż, nasza walka. To święte miejsce może pomóc w odpowiedziach na niektóre pytania.

– To znaczy, że wierzysz w uzdrawiającą moc tego kościoła?

– Wierzę w inspirację. W cuda, nawet jeśli nie rozumiem ich znaczenia. Malując, często nie wiem, co maluję. Prowadzi mnie jakaś wewnętrzna siła. Tak jak tobie wewnętrzna siła każe wyjść za mojego syna. Żyć z nim. Cieszę się, Emmo. Spraw, by był szczęśliwy. Tak niewiele szczęścia zaznał w życiu.

Grupa turystów otworzyła drzwi i kościół zalało oślepiające światło słońca. Emma zamrugała powiekami.

Gdy otworzyła oczy, Indiany już nie było. Znów została sama.

Wyszła z kościoła na jasny, słoneczny dzień i po raz pierwszy od lat poczuła spokój duszy. Dlaczego przez tyle lat wołała cierpieć? Dlaczego jej matka nie dostrzegła dobroci Mike'a?

Popatrzyła na błękitne niebo. Wreszcie miała

za niego wyjść. Lilly wreszcie miała stać się jej córką. Nie potrzebowała aprobaty matki ani nikogo innego. Znalazła spokój we wnętrzu własnej duszy.

Wszystko będzie w porządku, pomyślała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Zostali mężem i żoną. Niebezpieczeństwo, które towarzyszyło im od tylu lat, wreszcie minęło.

Niestety uroczystość ślubna nie obyła się bez pewnych zgrzytów. Benedek walczył ze Stuartem o swoją firmę i teraz wszystkie gazety pełne były fotografii brata Emmy. A to, co o nim pisano, nie zawsze było pochlebne. Sprzedaż jego produktów spadała i przyszłość nie malowała się w zbyt jasnych barwach. W każdym razie właśnie tym Stuart tłumaczył swój kiepski nastrój.

Frances zachowywała się jeszcze bardziej oziębło niż zwykle. Przyjechała na uroczystość już po zakończeniu ślubnej ceremonii. Lilly nie ukrywała rozczarowania, że jej matką nie jest gwiazda filmowa. Na ślub ubrała się w długi do

ziemi kostium z czarnej krepy. Całości dopełniał czarny lakier na paznokciach i ciężkie martensy.

– Daj jej trochę czasu – tłumaczył Mike Emmie ze znużeniem.

– Ona nie chce mnie. Chce być córką gwiazdy filmowej.

– Pewnego dnia zrozumie, ile ma szczęścia, że jest twoim dzieckiem.

Raymond także przyjechał na ślub i obrzucał Emmę ponurymi, złowieszczymi spojrzeniami. Podobnie jak wszyscy, ciągle wypytywał o Karę. Koniecznie chciał się dowiedzieć, gdzie ona jest i dlaczego nie pojawiła się na ślubie siostry. Pytał o to Emmę kilkakrotnie.

Tylko Indiana zachowała się wspaniale. Ozdobiła swój dom tysiącem białych róż i wstążkami w kolorze kości słoniowej i odnosiła się do nich obydwójga z wielkim szacunkiem. Mike cieszył się, że zechciała wziąć udział w uroczystości. W prezencie ślubnym dała im obraz przedstawiający Mike'a jako dziecko razem z nią na pustyni. Ale największym prezentem była jej odważnie ujawniona miłość i fakt, że szczerze cieszyła się z jego ślubu z Emmą.

Mike wiedział, że do końca życia nie zapomni blasku w oczach Emmy, gdy wypowiadali słowa przysięgi i gdy potem wsuwał obrączkę na jej palec. W tej chwili bardzo wyraźnie poczuł, że nie jest już sam na świecie.

Mimo wszystko nadal leżał między nimi cień Kary. Może już na zawsze miał tam pozostać. Jej zniknięcie zapewne było jednym z powodów, dla których nie wyjechali w podróż poślubną.

Może już nigdy nie mieli się dowiedzieć, co się z nią stało. Mike był przekonany, że dopóki mają siebie, Kara nigdy nie wejdzie pomiędzy nich. Lilly wkrótce zaakceptuje matkę i będą prawdziwą rodziną. Szczerze w to wierzył.

Skąd w takim razie brał się prześladowający go niepokój?

Emma. Kara.

Emma wzięła ślub z tym Indianinem.

Z twarzą wykrzywioną wściekłością obserwował ceremonię przez wysokie północne okno pracowni Greywolfa. Niewiele stąd było widać.

Minęła już północ. Czy oni nigdy nie pójdą do domu?

W końcu zniknęli.

Urok ceremonii napełniał go odrazą. Ten czarny, okropny Indianin. Emma promieniejąca i zakochana.

Kiedyś udawała, że kocha jego. Nadal go kochała. Był tego pewien. Znał ją dobrze.

Nie mógł tego znieść.

Po tym, co zrobiła, nie zasługiwała na szczęście. Ale to nie był główny motyw jego działania. Miał dowody, że jej zaniki pamięci

były udawane. Zamierzał ją publicznie zdemaskować, ale potrzebował jeszcze trochę czasu.

Napięcie rośnie w nim od dnia, gdy wróciła do domu, aż w końcu stało się nie do zniesienia.

Księżyc oświetlał jedną ze ścian pracowni, przy której stały dwa kobiece popiersia – jedno z brązu, drugie z marmuru. Obok nich znajdowało się męskie popiersie z belgijskiego czarnego marmuru. Pod przeciwległą ścianą panował mrok.

Jednak jego uwagę przyciągnął zakryty płótnem posąg stojący na postumencie pośrodku pracowni. Zerwał zasłonę i zaparło mu dech z wrażenia.

Była to gliniana rzeźba o wielkiej sile wyrazu przedstawiająca Emmę. Piękno jej rysów zniewalało. Poczuli się tak, jakby ktoś wydzierał mu serce z piersi.

Na całym świecie nie było bardziej zdradzieckiej istoty niż słodka Emma. Nawet ta suka Kara nie mogła się z nią równać.

Emma zasłużyła na śmierć. Ostrzegali ją, żeby tu nie wracała. Wiedział, że wcześniej czy później opowie o wszystkim Greywolfowi, a na to nie mógł pozwolić.

Patrzył na rzeźbę i czuł, jak wzbierają w nim mordercze instynkty. Jego wielkie, silne dłonie wyrwały kawały gliny z miejsc, gdzie w twarzy znajdowały się oczy. Rozszarpał rzeźbę kawa-

łek po kawałku, aż pozostała z niej tylko bezkształtna bryła.

Emma miała być następna.

Emma bała się coraz bardziej.

Mike mylił się. Nic nie było w porządku. Nie wiadomo dlaczego od dnia ślubu nie potrafiła się uwolnić od cienia Kary. Miała wrażenie, że siostra nieustannie ją prześladuje.

Bliźniaczki, niestety, znów stały się nierozłączne, a Mike poczuł się zepchnięty na boczny tor. Może dlatego nie spieszył się z dokończeniem rzeźby przedstawiającej Emmę.

We trójkę wracali do domu z Santa Fe. Mike prowadził samochód lewą ręką, a prawą przyciskał dłoń żony do swojego uda. Emma jednak była nieobecna myślami. Nie zwracała uwagi nawet na kwaśny humor Lilly. Przed oczami wciąż miała twarz Kary pod czarną taflą wody, bąbelki powietrza uciekające z pobielałych ust. Wiedziała, że jej siostra tonie i próbuje jej przesłać jakąś ważną wiadomość.

Zacisnęła palce na dłoni Mike'a. Kara w wodzie? Dlaczego ta wizja wydawała jej się taka realna? A jednocześnie miała wagę ostrzeżenia. Emma przeczuwała jakieś niebezpieczeństwo. Podobne wrażenie miała poprzedniego dnia, gdy rozpakowując stare obrazy, natrafiła na szkice Kary i jej, wykonane ręką Mike'a.

Mike wyczuł nastrój żony i przyciągnął ją bliżej do siebie.

– Co się dzieje? – zapytał ze szczerą troską.

Emma wołałaby, żeby nie czytał w niej jak w otwartej księdze. To był jej problem, nie jego.

– Wszystko w porządku – odrzekła.

– Akurat – mruknął, ale puścił jej rękę.

Lilly siedziała z tyłu, ponura i milcząca. Przez cały dzień ignorowała ich oboje. Za każdym razem, gdy Mike chciał jej coś powiedzieć, gniewnym gestem wsuwała słuchawki na uszy.

– Ta wyprawa nie ma żadnego sensu – mruknęła, gdy Mike zawiózł je w miejsce, gdzie Emma kiedyś zobaczyła ją po raz pierwszy.

– Widziałas ostatnio jakieś ładne sukienki? – zapytał kpiąco.

– Nie mam nastroju do zakupów. Prosiłam przecież, żebyś pozwolił mi zostać w domu. Wyjazdy z wami są nudne.

– A skąd wiesz, skoro przez całe popołudnie nie zdjęłaś słuchawek z uszu?

– Porozmawiaj lepiej ze swoją żoną.

– To też nie jest takie łatwe – odrzekł z nie-szczęśliwą miną i Emma poczuła na sobie jego zmartwiony wzrok.

Leo wciąż wydzwaniał do Lilly i dlatego Mike wołał nie zostawiać jej w domu samej. Ona jednak przez cały dzień bardzo się starała zepsuć im humor, a teraz nastawiła discmana na pełny regulator.

– Lilly! – wrzasnął Mike przez ramię. – Wyłącz to i dla odmiany porozmawiaj z nami!

– Dobrze! Kiedy moja prawdziwa matka wróci do domu?

– Przecież już jest w domu – prychnął Mike ze złością, skręcając kierownicę ostro w prawo.

Lilly mocno uderzyła pięścią w oparcie przedniego fotela.

– To nieprawda! Nienawidzę cię! – krzyknęła do Emmy.

– Nie mów rzeczy, których później będziesz żałować – ostrzegł ją Mike.

Lilly założyła słuchawki i znów włączyła discmana.

– Och, Mike, czy musiałeś jej to powiedzieć w ten sposób? – westchnęła Emma.

– Przepraszam, ale wydaje mi się, że to akurat nie ma znaczenia. – Po krótkim wahaniu zapytał: – Emmo, o co właściwie chodzi? Rozmowy z tobą zaczynają ostatnio przypominać rozmowy z Lilly.

– Przepraszam – mruknęła tylko i przez resztę drogi nikt już się nie odezwał.

Przy wjeździe na ranczo ujrzeli Nigela Galbraitha, Willa Gentry’ego, kilku policjantów, karetkę i grupę dziennikarzy. Pomiędzy różowymi kolumnami amfiteatru wznoszącymi się do nieba, na marmurowym bloku leżała ludzka czaszka i kilka kości, a dokoła stał krąg brzuchatych policjantów w mundurach.

Bez żadnego powodu Emma znów zobaczyła bladą twarz i długie pasma włosów unoszące się w wodzie.

Nigel. Miał prowadzić wykopaliska w jakimś stawie. Emma wyraźnie widziała Karę, która cofnęła się o krok i wpadła do... do...

Mike otworzył drzwi samochodu z jej strony. Podeszła do grupki mężczyzn. Dopiero teraz zauważyła między nimi Stuarta i Raymonda. Jej matka też tam była. Wszyscy stali w milczeniu, jak duchy.

Z bliska zobaczyła obok kości strzępki niebieskiego jedwabiu w czarne półksiężyce. Wzór był aż nadto znajomy.

To była jej sukienka. Kara miała wtedy na sobie jej sukienkę.

Emma poczuła wilgoć na policzkach i podniosła głowę, zastanawiając się, kiedy zaczął padać deszcz.

Kara wróciła.

W tydzień później Will przedstawił Zet raport koronera. Kości nie miały więcej niż siedem lub osiem lat i należały do młodej kobiety mniej więcej wzrostu Emmy. Zęby były w idealnym stanie, więc żaden dentysta nie mógł potwierdzić tożsamości. Will dodał, że na pustyni ciągle znajduje się jakieś ciała i większość z nich nigdy nie zostaje zidentyfikowana.

Mike widział, że stopniowo, dzień po dniu Emma coraz bardziej oddala się od niego, a wraz z nią oddalają się jego marzenia o szczęściu.

Tak samo jak przedtem, tracił ją przez Karę. Tylko że tym razem było jeszcze gorzej. Emma nie potrafiła się uwolnić. Sprzątała w domu, rozpakowywała pudła, przez cały czas zadręczając się pytaniami. Czy to ona zepchnęła siostrę w przepaść?

– Przecież nawet nie mamy pewności, czy to jej kości! – wykrzyknął kiedyś Mike, bliski obłędu.

– Pamiętam, jak Kara spadała... i potem bąbelki powietrza... te bąbelki.

– Przestań.

– Byłam mokra, więc musiałam tam za nią wskoczyć. Może zbyt długo czekałam. Woda była czarna i zimna, okropna, o wiele gorsza od tej cedrowej skrzyni. Nie mogłam oddychać. Próbowałam nurkować, ale tam było bardzo głęboko i szybko się zmęczyłam.

– Nie masz żadnej pewności, czy cokolwiek z tego naprawdę się zdarzyło!

– Czy to znaczy, że popadam w szaleństwo? A może jednak ją zabiłam?

– Przestań – mruknął cichym, opanowanym tonem. – Tak jakby nie było innych możliwości...

– Nie mogę znieść myśli, że...

– Nawet jeśli to się zdarzyło naprawdę, to

znaczy jeśli to zrobiłaś przypadkiem, Kara na to zasłużyła!

Po tych słowach Emma przestała się do niego odzywać.

Oddalała się od niego coraz bardziej. Nie potrafiła kochać siebie, więc jemu też na to nie pozwalała. Znow otoczyła serce szczelnym murem. Tak samo zachowywała się wobec Lilly. Z dnia na dzień przyszłość ich małżeństwa rysowała mu się w coraz mroczniejszych barwach.

Czasami szedł na pustynię. To jałowe miejsce przypominało mu, czym było jego życie bez Emmy. Jak najszybciej musiał znaleźć jakiś sposób, by jej pomóc.

Była coraz bledsza i szczuplejsza. Wieczorami, gdy robili coś razem lub po prostu siedzieli, nigdy nie odzywała się do niego pierwsza. Nawet gdy się kochali, była nieobecna duchem.

Na pozór wszystko układało się gładko. Rzeźby Emmy zostały przesłane z Mesyku. Wszystkie rzeźby Greywolfa, które do niej należały, ustawiono w amfiteatrze. Mike zamienił jedną z nieużywanych sypialni w gabinet, w którym mogła pisać. Ale poczucie winy Emmy zżerało jej duszę, a także ich miłość.

Duch Kary wciąż stał pomiędzy nimi. Tak jak kiedyś Kara, teraz Emma zaczęła chodzić na spacer

lubił odwiedzać miejsc należących do umarłych, nie towarzyszył jej w tych wyprawach, ale wyraźnie okazywał swoje niezadowolenie. Skutek był taki, że po kilku kłótniach Emma zaczęła się tam wymykać potajemnie. Wspinaczka na płaskowyż była długa i niebezpieczna. Mike wolałby, by Emma zabierała ze sobą choćby psa, ona jednak nie chciała.

Za każdym razem wracała stamtąd bledsza i smutniejsza.

Wyznaj wszystko Willowi. Powiedz mu, że tu byłaś. Że ją zabiłaś.

Ale gdy nachodziły ją takie myśli, spoglądała na mężczyznę, którego poślubiła, a potem na rudowłosą nastolatkę ze słuchawkami na uszach, i wiedziała, że nie może tego zrobić. Jeszcze nie teraz.

Zbyt wiele lat spędziła z dala od nich. Widziała, że Mike nie jest szczęśliwy, ale nic na to nie potrafiła poradzić.

Pewnego popołudnia, gdy Lilly była w szkole, a Emma układała czyste rzeczy w jej szufladach, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i usłyszała mroczny głos, podobny trochę do głosu Kary:

- Dlaczego mnie zabiłaś?
- Kto mówi? – zapytała bez tchu.
- Nie unikniesz odpowiedzialności! Lepiej by było, gdybyś nie wychodziła za Mike'a.

– Ale kto..?

– Dobrze wiesz, kto. Kiedyś byliśmy nierozłączne. Dopóki mnie nie zamordowałaś.

Głośny śmiech, śmiech Kary. A potem cisza.

Emma stała jak skamieniała, nie mogąc złapać tchu. Gdy wreszcie doszła do siebie, jak szalona wybiegła z domu. Musiała znaleźć Mike'a.

Był w swojej pracowni, przy wielkim bloku marmuru, z którego miała powstać fontanna przedstawiająca cztery dzikie konie. To było duże, ważne zlecenie. Nie mogła mu teraz przeszkadzać, szczególnie że od dnia ślubu prawie nic nie zrobił.

Nagi do pasa, ciął kamień młotem pneumatycznym. Po jego piersi spływały strugi potu. Spędzał teraz w pracowni wiele godzin dziennie. Wiedziała, że ucieka od niej, od jej rozpaczy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Słońce szybko zachodziło za horyzont, rzucając czerwone odblaski na skały, Emma jednak dostrzegała tylko białą twarz unoszącą się w czarnej wodzie i wpatrzone w nią puste, zmętniałe oczy.

– Kara, jak to się stało? – szepnęła.

Zerwał się chłodny wiatr. Jakiś zbłąkany kamień wpadł do wody i wizja zniknęła. Skąd się brały dziwne dźwięki, które dobiegały do uszu Emmy? Grzechotanie, bębnienie, stukot żółwich skorup. A może Mike miał rację, obawiając się tego miejsca? Czy to była muzyka umarłych?

Morderczyni, zawołał nagle jakiś nieziemski głos.

Poczuła powiew zimnego powietrza i na moment przestała oddychać.

Za jej plecami zachrząścił żwir i drobne kamyki posypały się lawiną do jeziora. Obok odbicia jej twarzy w lustrze wody pojawiło się drugie.

– Niesamowity nastrój tu panuje, prawda?
– rzekł mężczyzna.

Emma gwałtownie wciągnęła powietrze. Znów znalazła się w wypożyczonym samochodzie i tonęła w rwących wodach potoku, błagalnie wyciągając rękę, a on stał na brzegu z twarzą zalaną deszczem.

Dopiero teraz przypomniała sobie, że on tam był. Boże...

– Mike! – zawołała i cofnęła się o kilka kroków, ale zatrzymała się, wyczuwając stopą skraj urwiska. – Mike...

Przypląnęło do niej kolejne wspomnienie. Ten mężczyzna był tu wtedy, gdy Kara zginęła.

A teraz przyszedł, by zabić również ją.

– Mike! – wykrzyknęła najgłośniejszym głosem, jaki mogła, wiedziała jednak, że jest za daleko od domu, by ktokolwiek ją usłyszał.

Znów usłyszała tancerzy śmierci. Cienie snuły się po zrujnowanych kamiennych murach. Miała wrażenie, że muzyka dochodzi z kiwy, w której po raz pierwszy zobaczyła Mike'a.

Duchy. Czy słyszała głosy zmarłych dlatego, że sama zbliżała się do śmierci?

Mike zaklął, obchodząc dokoła blok różowego granitu, i naraz przypląnęła inspiracja.

Podszedł do stołu i znalazł piłę. Ostrze było tępe. Pogrzebał w kartonowym pudle, gdzie zwykle przechowywał zapasowe tarcze, ale nic nie znalazł. Przypomniawszy sobie, że zostawił je w drugiej, mniejszej pracowni obok. Nie wchodził tam od dnia ślubu.

Pomieszczenie było ciche i ciemne. Zaraz za progiem Mike natknął się na dwa posążki leżące na podłodze. Obydwa miały oderwane głowy.

– Chryste! – jęknął, rozglądając się dokoła. Pracownia była kompletnie zdemolowana. Ktoś pozrywał ze ścian szkice węglem i podarł je na strzępy. Cała podłoga była usłana skrawkami papieru. Wiadra z wodą były poprzewracane, a wszystkie gipsowe modele rozbite. Narzędzia elektryczne leżały w napełnionym wodą zlewie.

Rusztowanie podtrzymujące gliniany model posągu Emmy było rozbite na cztery części. Ale najgorsze było to, co stało się z samym posągiem. W miejscu oczu ziały dwie głębokie dziury. Nieznana ręka oderwała również piersi.

Z gardła Mike'a wydobył się zwierzęcy, wściekły pomruk. Kto mógł to zrobić? Jedna za drugą przez jego głowę przebiegały chaotyczne myśli. Usłyszał wycie wiatru ma zewnątrz.

Idź tam, skąd dochodzą krzyki.

Myśl. Skoncentruj się.

Przypomniiał sobie, że Emma niedawno zarzwała do jego pracowni. Wydawała się smutna i przestraszona, ale on nie miał ochoty rozpocząć kolejnej kłótni, więc nawet nie podniósł głowy. Do cholery, dlaczego nie przerwał wtedy pracy?

I gdzie ona teraz jest?

Poczuł zimny strach. Wybiegł z pracowni i jak burza wpadł do domu.

– Emma!

Nikt nie odpowiedział. Okna w ich sypialni były otwarte, a z ogrodu dobiegał radosny śpiew ptaków. Wyrzwał na zewnątrz i jego wzrok zatrzymał się na płaskowyżu.

Naraz wyraźnie zobaczył jej przerażoną twarz w czarnej wodzie jeziora.

Bez namysłu pochwycił strzelbę, wsunął do kieszeni dzinsów garść kul i pobiegł do stajni, gdzie stały konie Frances. Bart parsknął, gdy Mike założył mu uzdę. Nie zwracając sobie głowy siodłaniem konia, dosiadł go na oklep i wyszeptał kilka słów do ucha.

Koń wybiegł ze stajni i z szybkością wiatru pogalopował w stronę płaskowyżu.

Lilly była zdumiona, gdy zobaczyła Emmę biegnącą w stronę płaskowyżu.

– Emmo! Mamo! Mam dla ciebie prezent!

Ale Emma nawet się nie obejrzała. Lilly po-

biegła za nią, ściskając prezent w ręku. Na zajęciach plastycznych w szkole wyrzeźbiła drewnianego kota.

Biegła za Emmą, przepętniona poczuciem winy. Nie chciała jej odpychać, ale ostatnio zbyt dużo się na nią zważyło: śmierć Kary, powrót Emmy, plotki, że Kara odnalazła się w Europie, chociaż nawet nie zadzwoniła do domu.

Lilly często chwaliła się koleżankom w szkole, że jest córką gwiazdy filmowej, toteż gdy jej ojciec poślubił Emmę i koleżanki zaczęły z niej pokpiwać, musiała na kimś wyładować złość. Chciała, by Emma była równie nieszczęśliwa jak ona.

Emma na początku traktowała ją bardzo dobrze, i jak Lilly jej się odwdzięczyła? Złością i niechęcią. To przez nią ojciec znów zaczął na całe dni zamykać się w pracowni. Emma zaś przestała przychodzić wieczorami do jej sypialni, by porozmawiać.

Sara na krótko przed rozwodem zaczęła się zachowywać podobnie. A Lilly nie chciała, by Emma odeszła! Emma była jej matką. Teraz Lilly już w to nie wątpiła.

Cieężko dysząc, przedzierała się między jałowcami. Nie zamierzała wchodzić zbyt wysoko na wzgórze, ale musiała znaleźć Emmę. Chciała ją przeprosić.

Naraz ciszę przerwał krzyk Emmy. Lilly zatrzymała się w miejscu jak sparaliżowana.

Dźwięki dobiegające od strony kiwy ucichły wreszcie.

– Stuart – szepnęła Emma, cofając się w panice. – Ty też tu byłeś z Karą tamtej nocy!

– Wiedziałem, że sobie to przypominisz.

– Ale ja nie...

Zobaczyła wymierzoną w siebie lufę pistoletu.

– Koniec tej zabawy, słodka siostrzyczko.

– Stuart! Przecież jesteś moim bratem!

– Niezmiernie mi przykro.

– Czy to ty zabiłaś Karę?

– Nie. To był wypadek. Ale to nieważne. Gdybyś o tym komukolwiek powiedziała, byłbym zrujnowany.

– Przecież możemy o tym zwyczajnie porozmawiać!

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Kiedy?

– Dzwoniłaś do mnie przed chwilą, udając Karę. Szantażowałaś mnie przez siedem lat!

– Nie!

– Tak jak ona szantażowała mnie wcześniej!

– Dlaczego?

– Pytasz, jakbyś nie wiedziała. Bo byłem w stajni wtedy, gdy ty zeszłaś z góry. Ona zawsze mnie szpiegowała i potem skarżyła. Tamtej nocy

wzięłem cię za nią i uderzyłem cię tak mocno, że omal nie zginęłaś. A ona to widziała.

– Ale dlaczego? – powtórzyła Emma bezradnie i zadrżała.

– Byłem na nią wściekły, bo ukradła czek, który matka dała mi na założenie pierwszej firmy. A ona chciała wyjechać za te pieniądze do Hollywood. Odkryłem tę kradzież i poszedłem za Karą do stajni. Widziałem, jak wchodziła na górę do Greywolfa, i wściekłem się jeszcze bardziej. A potem ty zesłaś. Usłyszałem kroki na schodach i wypuściłem Rio z boksu. Inne konie też. Ale to byłaś ty, a nie ona. To cię uderzyłem drzwiami do boksu Rio.

– Próbowaleś ją zabić...

– Nie. Chciałem ją tylko nastraszyć, żeby oddała mi pieniądze. Ale gdy okazało się, że ty jesteś ranna, matka dostała szału. Kiedy poprosiłem Karę o zwrot pieniędzy, ona zagroziła, że powie matce, kto cię tak urządził. Wiedziałem, że gdyby to zrobiła, matka odmówiłaby mi pomocy. Ale to jeszcze nie koniec tej historii. Kara prowadziła w Hollywood bardzo kosztowny tryb życia. Ciągle brakowało jej pieniędzy.

– A ty jej płaciłeś.

– Szybko udało mi się rozkręcić firmę. Musiałem chronić własne nazwisko. Gdy Kara przyjechała tu na premierę filmu, postanowiłem, że skończę z tym raz na zawsze. Była sławna i miała

dość własnych pieniędzy. Chciała, żebyśmy spotkali się tutaj. Wiesz, jaka ona była. Uważała się za pępek świata. Przyszła tu i zaczęła się chwalić, że jest wielką gwiazdą, a ja tylko maniakiem od komputerów... Doprowadziła mnie do furii.

– Więc jednak ją zabiłeś?

– Rozzłościłem się i chciałem się na nią rzucić, a ona zrobiła unik w bok i poślizgnęła się. Chyba uderzyła głową w kamień, zanim wpadła do jeziora. Stałem tu i patrzyłem, jak tonie. I wtedy ty się pojawiłaś. Wskoczyłaś do jeziora i długo jej szukałaś. W końcu z wyczerpania wpadłaś w histerię. Prosiłaś, żebym ja też tam wskoczył, ale wiedziałem, że ona na pewno już nie żyje, więc zostawiłem cię tu i poszedłem do domu.

– Och, Stuart... – wyszeptała Emma pobielalymi ustami.

– Znaleźli cię następnego dnia, a ty opowiedziałas im tę idiotyczną historyjkę o zaniku pamięci. Potem zniknęłaś i pojawiłaś się znów jako ty i jako ona. Tylko niepotrzebnie zaczęłaś mnie szantażować.

– Ale ja nie...

– A w dodatku dzwoniłaś i udawałaś, że jesteś Karą.

– Stuart, ja tego nie robiłam!

– Głos w słuchawce był ten sam. Mam już

dość tego gadania. W żadnym razie nie dostaniesz ode mnie pięciu milionów.

– Ale...

– Teraz twoja kolej umrzeć.

Wymierzył pistolet prosto w jej pierś.

– Stuart, przysięgam, nie szantażowałam cię! Mnie też ktoś szantażował. I też odbierałam takie telefony. Rzekomo to była Kara. Mówiła, że zapłacę za jej śmierć...

– Jesteś dobrą aktorką. O wiele za dobrą! – Po twarzy Stuarta spłynęły łzy. Pistolet w jego ręku zadrżał. – Zamknij oczy – szepnął.

– Nie!

– Skocz tak, jak ona skoczyła. Jeśli nie skoczysz, to przysięgam, że sam cię zepchnę z tego urwiska!

Ruszył w jej stronę po zdradliwych, ruchomych kamieniach. Naraz stracił grunt pod stopami i rozpaczliwie wymachując ramionami, upadł.

Emma zaczęła krzyczeć.

Idź tam, skąd dochodzi krzyk.

Mike przykucnął na piętach i oparł lufę na kamieniu, żeby ją ustabilizować. W celowniku widział dwie postaci. Nagle mężczyzna rzucił się przed siebie. Emma krzyknęła, budząc echo w ciemnym kanionie.

Patrzył bezradnie na strome zbocze. Nie zdoła dotrzeć tam na czas. Obawiał się strzelać z tej

odległości, żeby nie zranić Emmy. Znów ogarnęła go panika, jak wtedy podczas burzy, gdy po omacku brnął do jej samochodu.

Tym razem w żaden sposób nie mógł jej ocalić.

Naraz przeszył go dreszcz i całe ciało zaczęło go łaskotać. Był Indianinem i wiedział, że w tej chwili przemawiają do niego pokolenia przodków. Rzucił się na ziemię i zaczął układać kamienie w stos, odmawiając modlitwę do Matki Ziemi. Potem krzyknął, by przywołać ducha dziadka.

– Jeszcze tylko jeden mały krok, Emmo – perswadował Stuart łagodnym tonem maniaka. – To nie będzie bolało.

Spod jej stóp osuwały się drobne kamyki. Wiedziała, że ona również za chwilę poleci w dół.

Naraz zbłąkany promień słońca oświetlił petroglif na pobliskiej skale. Po raz pierwszy zauważyła ten rysunek. Przedstawiał pumę, podobną do tych, które wymalowano na ścianach pobliskiej kiwy, a także do tej, która wyszła spomiędzy jałowców obok hoganu Mike'a. Teraz również Emma poczuła siłę oczu zwierzęcia utkwionych w jej twarzy.

Poczuła też, że chroni ją jakaś zewnętrzna siła, potężniejsza od wszystkiego, co знаła. Rysunek wykonany ręką starożytnego wojownika okazał

się jej zbawieniem. Znów usłyszała grzechot dochodzący od strony kiwy.

Naraz opuścił ją lęk.

– Stuart, na litość boską – wyszeptała spokojnie. – Posłuchaj mnie. Jesteś moim starszym bratem. Kocham cię bez względu na to, co kiedykolwiek zrobiłeś. Ten, kto cię szantażuje, szantażuje również mnie!

Stuart jednak był jak opętany.

– Nie udawaj świętej – prychnął z furją.
– Nadeszła twoja kolej, by zginąć!

– Nie – rozległ się nagle czyjś głos. – Teraz twoja kolej.

Zza zrujnowanego muru obok kiwy wyłonił się Raymond, popychając przed sobą Lilly. Stuart obrócił się na pięcie i pociągnął za spust, ale ręka mu zadrżała i pocisk trafił w skałę.

Z kiwy wytrysnęło błękitne światło. W jego centrum wszyscy troje zobaczyli sylwetkę dziewczyny o płomiennorudych włosach. U jej stóp brzęczały dzwoneczki. Potem światło pociemniało i z otworu wyleciała ciemna, skrzeczająca chmara.

– Nietoperze – mruknęła Emma bez cienia lęku.

Nietoperze wirowały coraz wyżej. Hałasy ucichły. Stuart cofnął się z przerażeniem i postąpił o jeden krok za daleko.

Nogi wpadły do wody, a głowa uderzyła

o kamień. Był już martwy, gdy ciało osunęło się do jeziora. Wydęte ubranie jeszcze przez kilka sekund utrzymywało go na powierzchni, po czym, gdy nasiąkło wodą, zanurzyło się powoli. Na powierzchni jeziora pojawiło się kilka bąbelków powietrza, a potem wszystko zamarło.

Raymond pochwycił Lilly za gardło.

– Lilly! Raymond! – zawołała Emma ze zgrozą i zamarła w bezruchu.

– Czy ten sukinsyn na pewno nie żyje? – zapytał Raymond.

– Tak myślę – odrzekła Emma niskim, napiętym głosem. – To ty... przez te wszystkie lata... To ty mnie szantażowałeś, przez ciebie omal nie postradałam zmysłów! To ty próbowałeś mi wmówić, że zabiłam Karę! I jego też szantażowałeś. Kazałeś tej kobiecie zadzwonić do mnie dzisiaj, żeby mnie nastraszyć!

– Tak.

– Ale dlaczego?

– Bo kochałem Karę. Może nawet bardziej niż ty, chociaż to była inna miłość. Podążaliśmy mroczną, niebezpieczną ścieżką. Nikt nie potrafił mnie zaspokoić tak jak ona. Była moją obsesją. Ale ona nie odwzajemniała mojego uczucia. Używała mnie od czasu do czasu, jak zażywa się narkotyk. Byłem jej kochankiem w Hollywood na długo przed tym, zanim ty ukradłaś jej tożsamość. Zwabiła mnie do Santa Fe na premierę. Miałem

się z nią tutaj spotkać tej nocy, gdy zginęła. Obiecywała mi spektakl pogańskiej miłości... Mówiła, że to będzie prawie jak w kościele. Ale nie przyszła. Nie mogłem jej potem znaleźć, zobaczyłem za to ciebie i Stuarta, gdy schodziliście z płaskowyzu. Na waszych twarzach widziałem, że jedno z was musiało ją zabić – a może zrobiliście to razem – i zapragnąłem zemsty. A potem ty zniknęłaś i wróciłaś jako ona... Musiałem się dowiedzieć, co tu zaszło. Kto ją zabił. Myślałem, że wydobędę to z ciebie, ale nie udało się.

– To dlatego spotykałeś się ze mną w Los Angeles.

– Niestety cholernie dobrze pilnowałaś swoich tajemnic.

– Bo nie mogłam sobie nic przypomnieć.

Raymond zaśmiał się gorzko.

– No cóż, teraz już po wszystkim. Koniec tych męczarni. Stuart zginął w taki sam sposób jak ona. Wystraszył się śmiertelnie i spadł. Kiedyś tak samo wystraszył ją. Ja nie kiwnąłem nawet palcem. To on do mnie strzelił. Ludzki umysł jest najpotężniejszą bronią, jaka istnieje. Kara też o tym wiedziała.

Odwrócił się, chcąc odejść.

– Nie możesz tak po prostu odejść. Zabiłeś Stuarta.

– To on do mnie strzelał. Sam się zabił. Nie

mów mi, co mam robić. Ten świat pełen jest miejsc, w których można się doskonale ukryć. Ty i Stuart dobrze o tym wiecie, a ja wiele się od was nauczyłem. Operacja plastyczna, nowy kolor włosów, zmiana tożsamości – roześmiał się. – Może nawet dołączę do Kary w Rzymie...

– Ale przecież... nie możesz...

– Zaraz zobaczysz, że mogę – wzruszył ramionami.

Emma rzuciła się za nim.

– Musisz powiedzieć wszystkim, co się naprawdę wydarzyło!

– Ty to zrobisz za mnie – rzekł i odepchnął ją.

Lilly, która do tej pory stała jak sparaliżowana, teraz odzyskała siły.

– Uderzyłeś moją matkę! – krzyknęła i rzuciła się na niego jak lwica. Raymond stracił równowagę i zachwiał się. Gdy dziewczyna znów uczyniła krok w jego kierunku, z całej siły uderzył ją pięścią w szczękę, aż upadła bezwładnie u jego stóp.

– Lilly! – wykrzyknęła Emma, zakrywając ją swoim ciałem.

Raymond przeskoczył przez obydwie kobiety i zniknął.

Gdy Lilly odzyskała przytomność, leżała na ziemi obok dużej skały, na której namalowana była puma. Obok niej klęczeli rodzice z twarzami

jaśniejącymi radością. Otworzyła usta i zaraz je zamknęła, by się przekonać, czy nie ma złamanej szczęki.

– Masz wszystkie zęby na miejscu? – zapytał Mike niespokojnie.

– Jasne – odrzekła, próbując się uśmiechnąć.

Emma gładziła ją po twarzy i włosach. Mama. Wreszcie odzyskała matkę.

– Mamo... Zrobiłam to dla ciebie – powiedziała dziewczyna nieśmiało, wyciągając do niej rękę z rzeźbą, którą przez cały czas trzymała kurczowo w dłoni. – Dzisiaj w szkole. Chciałam ci ją dać, gdy Raymond mnie zaatakował.

– Jest piękna! To najpiękniejszy kot na całym świecie – oświadczyła Emma.

– Uważajcie, bo zaraz będę miał napad zazdrości – uśmiechnął się Mike.

– Gdzie jest wujek Stuart? – zapytała Lilly.

– Spadł. Miał wypadek, pamiętasz?

– Czy on chciał cię zastrzelić? Rodzony brat?

Emma zawahała się.

– Wszystko mu się pomieszało. Nie wiedział, co robi.

– Lubiałam go – szepnęła Lilly.

Emma pogładziła ją po dłoni.

– To dobrze. On też cię lubił. Zawsze o tym pamiętaj, bez względu na to, co o nim usłyszysz.

– Chcę cię o coś prosić.

– Mów śmiało, kochanie.

- Nie odchodź już więcej. Nigdy.
- Nie odejdę, skarbie. Jesteśmy rodziną, a rodzinę ma się na zawsze.

Trzymając się za ręce, wrócili do domu.